

Pierre Boulle
Most
na rzece Kwai



PIERRE BOULLE

Most na rzece Kwai

«LE PONT DE LA RIVIERE KWAI»

Przełożył Juliusz Kydryński

To nie było zabawne, raczej tragiczne; był on doskonałym przykładem ofiar Wielkiego Żartu. Ale ponieważ świat stoi na żarcie, więc w gruncie rzeczy jest on godny szacunku. A poza tym był to ktoś, kogo można by nazwać dobrym człowiekiem.

Joseph Conrad

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Być może, że niezgłębiona przepaść, która – w pojęciu wielu osób – istnieje między duchem Zachodu a Wschodu, jest tylko wynikiem złudzenia. Być może, jest ona tylko konwencjonalnym wyrazem nie uzasadnionego niczym mniemania, które pewnego dnia przetworzono perfidnie w uszczypliwe twierdzenie, nie oparte w swym założeniu na żadnej wiarygodnej przesłance. Może podczas tej wojny konieczność „ratowania twarzy” była sprawą życia lub śmierci tak dla Brytyjczyków, jak i dla Japończyków? Może kierowała ona – bez ich świadomości – postępowaniem jednych również ściśle i z równym fatalizmem, z jakim rządziła drugimi, a także bez wątpienia przedstawicielami wszystkich innych narodów? Być może, posunięcia każdego z dwóch wrogów, pozornie przeciwstawne, były przejawami różnymi, ale w sposób nieistotny, tej samej niematerialnej rzeczywistości? Może mentalność japońskiego pułkownika Saito była w gruncie rzeczy taka sama jak mentalność jego jeńca, pułkownika Nicholsona?

Takie pytania zaprzętały myśli majora – lekarza Cliptona. On także był jeńcem, podobnie jak pięciuset innych nieszczęśników zagnanych przez Japończyków do obozu nad rzeką Kwai. Podobnie jak sześćdziesiąt tysięcy Anglików, Australijczyków, Holendrów i Amerykanów, których skierowano grupami do jednego z najmniej cywilizowanych zakątków świata, do dżungli burmańsko – syjamskiej, aby zbudowali tam linię kolejową, łączącą Zatokę Bengalską z Bangkokiem i Singapur. Clipton odpowiadał sobie czasem twierdząco, przyznając, że ten punkt widzenia miał wszelkie cechy paradoksu i wymagał wzniesienia się ponad oczywiste fakty. Aby go przyjąć, trzeba było w szczególności odmówić wszelkiego istotnego znaczenia zarówno obelżywym słowom, uderzeniom kolb, ciosom kijów i innym, bardziej niebezpiecznym oznakom brutalności, poprzez które wypowiadała się dusza japońska, jak i manifestowaniu dostojnej godności, z której pułkownik Nicholson

uczynił swój główny atut w walce o uznanie wyższości rasy brytyjskiej. Jednakże Clipton ulegał tej opinii w momentach, gdy postępowanie szefa doprowadzało go do takiej wściekłości, że ulgę przynosiło mu jedynie abstrakcyjne i gorliwe poszukiwanie początkowych przyczyn tego stanu rzeczy.

Niezmiennie więc dochodził do wniosku, że zespół cech składających się na osobowość pułkownika Nicholsona (do owej szacownej kolekcji zaliczał bez ładu i składu: poczucie obowiązku, sentyment dla cnót przodków, poszanowanie autorytetu, opętanie przez dyscyplinę i pasję, aby dobrze wywiązać się z powierzonego zadania) najlepiej dałby się określić słowem „snobizm”. W okresach owych gorączkowych dociekań uważał go za snoba, za doskonały typ snoba wojskowego, którego wzór powoli rozwijał się i dojrzewał od czasów epoki kamiennej, a tradycja gwarantowała jego trwanie.

Clipton był zresztą z natury obiektywny i posiadał rzadką umiejętność rozważania problemu z wielu, bardzo różnych punktów widzenia. Ów wniosek uspokajał nieco burzę rozpętaną w jego mózgu przez pewne posunięcia pułkownika; czuł się nagle skłonny do pobłażliwości i, niemal z rozrzewnieniem, uznawał wysoką wartość jego zalet. Przyznawał, że jeśli składały się one na pojęcie snoba, to posuwając się nieco dalej należałoby prawdopodobnie – zgodnie z logiką – zaliczyć do tej samej kategorii najpiękniejsze uczucia, a wreszcie i w miłości macierzyńskiej można by się dopatrzeć najdoskonalszego przejawu snobizmu na świecie.

Waga, jaką pułkownik Nicholson przywiązywał do dyscypliny, była niegdyś słynna w rozmaitych częściach Azji i Afryki. Można to było stwierdzić raz jeszcze w roku 1942 w Singapur, podczas klęski, jaka nastąpiła po inwazji na Półwysep Malajski.

Gdy naczelne dowództwo wydało rozkaz złożenia broni, grupa młodych oficerów z jego pułku opracowała plan przedarcia się do wybrzeża, zdobycia okrętu i popłynięcia do Indii Holenderskich. Pułkownik Nicholson – aczkolwiek podziwiał ich zapał i odwagę – unicestwił ten projekt wszelkimi środkami, jakie miał do dyspozycji.

Z początku próbował ich przekonać. Tłumaczył im, że takie przedsięwzięcie stoi w wyraźnej sprzeczności z otrzymanymi instrukcjami. Skoro naczelny dowódca podpisał kapitulację całych Malajów, żaden poddany Jego Królewskiej Mości nie może uciekać nie popełniając tym samym aktu nieposłuszeństwa. Jeśli idzie o niego, widział tylko jeden możliwy sposób postępowania: oczekiwać na miejscu, aż przybędzie wyższy oficer japoński, aby przyjąć ich kapitulację, i to zarówno kadry oficerskiej, jak i tych kilkuset żołnierzy, którzy uniknęli masakry ostatnich tygodni.

–Jakież to przykład dla wojska – mówił – jeśli dowódcy uchylają się od spełnienia swego obowiązku!

Argumenty swoje wspierał przenikliwą siłą, jakiej w ciężkich sytuacjach nabierał

jego wzrok. Oczy Nicholsona miały barwę Oceanu Indyjskiego w okresie ciszy, a twarz, wiecznie spokojna, była wyraźnym obrazem duszy, której obce są rozterki wewnętrzne. Nosił jasne, rudawe wąsiki spokojnych bohaterów, a różowe zabarwienie skóry świadczyło o czystym sercu, które kontroluje niczym nie zakłócone, regularne krążenie krwi, Clipton, który towarzyszył mu podczas całej kampanii, co dzień zdumiewał się obserwując, jak w jego oczach, w sposób niemal cudowny, brytyjski oficer armii indyjskiej – istota, którą zawsze uważał za legendarną, a która teraz potwierdzała swoje realne istnienie ową skrajnością, wywołującą w nim bolesne ataki irytacji, to znów wzruszenia – jak ów oficer brytyjski przybierał kształty żywego człowieka.

Clipton bronił sprawy młodych oficerów. Pochwalał ich i powiedział mu to. Pułkownik Nicholson surowo go zganiał, wyrażając bolesne zdziwienie wobec faktu, że człowiek w wieku dojrzałym, zajmujący odpowiedzialne stanowisko dzieli chimeryczne nadzieje bezrozumnych młodzików i popiera awanturnicze pomysły, z których nigdy nie wynika nic dobrego.

Wyjaśnwszy swe racje, wydał dokładne i surowe rozkazy. Wszyscy oficerowie, podoficerowie i szeregowcy mają pozostać na miejscu i oczekiwać przybycia Japończyków. Kapitulacja nie była ich sprawą osobistą, dlatego w żadnym wypadku nie powinni się czuć upokorzeni. On sam dźwiga ten ciężar na swoich barkach – w imieniu całego pułku.

Większość oficerów usłuchała, gdyż siła jego perswazji była wielka, autorytet ogromny, a nie podlegające dyskusji męstwo nie pozwalało przypisywać takiego postępowania innym względem, jak tylko poczuciu obowiązku. Kilku odmówiło jednak posłuszeństwa i uszło w dżunglę. Pułkownikowi Nicholsonowi sprawiło to prawdziwy ból. Ogłosił ich za dezertersów i z tym większą niecierpliwością oczekiwał przybycia Japończyków.

W przewidywaniu tego wydarzenia obmyślił sobie ceremoniał noszący piętno powściągliwej godności. Postanowił po namyśle, że nieprzyjacielskiemu pułkownikowi, który będzie przyjmował jego kapitulację, wręczy – jako symbol poddania się zwycięzcy – rewolwer, który nosił u boku. Wielokrotnie wypróbował ten gest i był pewien, że łatwo wyciągnie broń z kabury. Włożył swój najlepszy mundur i polecił, aby żołnierze dokonali starannej toalety. Następnie zarządził zbiórkę, kazał ustawić broń w kozły i sprawdził ich wyrównanie.

Pierwsi pojawili się prości żołnierze, nie znający żadnego cywilizowanego języka. Pułkownik Nicholson nie ruszył się z miejsca. Potem nadjechał ciężarówką podoficer i rozkazał Anglikom na migi, aby złożyli broń na platformie samochodu. Pułkownik zabronił swym żołnierzom wykonać jakikolwiek ruch. Zażądał widzenia się z wyższym oficerem. Nie było jednak oficera, ani niższego, ani wyższego, a Japończycy nie rozumieli jego żądania. Wpadli w złość. Żołnierze przybrali groźną postawę, podczas

gdy podoficer wydawał ochryple wrzaski wskazując na broń w kozłach. Pułkownik rozkazał swym ludziom pozostać na miejscu i nie ruszać się. Skierowano na nich pistolety maszynowe, a pułkownika popychano grubiańsko. Pozostał niewzruszony i ponowił swoje żądanie. Anglicy zaczęli okazywać niepokój, a Clipton zastanawiał się, czy dowódca pozwoli ich wszystkich zmasakrować przez miłość dla swych zasad i dla form, gdy wreszcie pojawił się samochód pełen japońskich oficerów. Jeden z nich nosił dystynkcje majora. W braku kogoś lepszego pułkownik Nicholson postanowił poddać się jemu. Kazał swym ludziom stanąć na baczność. Sam zasalutował przepisowo i odpiąwszy od pasa kaburę z rewolwerem podał ją szlachetnym gestem.

Major, przestraszony tym podarunkiem, najpierw cofnął się o krok, potem wydał się bardzo zakłopotany; na koniec wybuchnął długim, barbarzyńskim śmiechem, który podjęli zaraz jego towarzysze. Pułkownik Nicholson wzruszył ramionami i przybrał wyniosłą postawę. Pozwolił jednak swym żołnierzom złożyć broń na ciężarówkę.

Okres spędzony w obozie jeńców niedaleko Singapur pułkownik Nicholson poświęcił utrzymaniu anglosaskiego porządku wobec bezładnych i bałaganiarskich poczynań zwycięzców. Clipton, który pozostał przy nim, już wtedy zastanawiał się, czy należało go za to błogosławić, czy przeklinać.

Na skutek rozkazów, jakie wydał, aby swym autorytetem potwierdzić i uzupełnić instrukcje japońskie, ludzie z jego jednostki zachowywali się dobrze i żywili źle. Konserwy i rozmaite produkty, które jeńcy z innych pułków „organizowali” na zbombardowanych przedmieściach Singapur, omijając czujność strażników, a często za ich milczącym przyzwoleniem, były pożądanym dodatkiem do szczupłych racji żywnościowych. Ale pułkownik Nicholson w żadnym wypadku nie tolerował plądrowania. Kazał swym oficerom wygłaszać pogadanki, w których piętnował niegodziwość takiego postępowania i wykazywał, że jedynym sposobem, w jaki żołnierz brytyjski może wzbudzić dla siebie szacunek u swych przejściowych zwierzchników, jest nienaganne sprawowanie się. Wykonywanie tego rozkazu sprawdzał przy pomocy okresowych inspekcji, bardziej surowych niż inspekcje strażników.

Owe pogadanki na temat przyzwoitego zachowania się żołnierza w obcym kraju nie były jedynymi obowiązkami, jakie nałożył na swój pułk. W tym czasie jednostka nie miała zbyt wiele pracy, gdyż w okolicach Singapur Japończycy nie podejmowali żadnych ważniejszych budowli. Przekonany, że próżniactwo jest dla ducha wojska szkodliwe, i pełen niepokoju o stan jego morale, pułkownik ustalił program zajęć dla wypełnienia wolnego czasu. Nałożył na swych oficerów obowiązek czytania i objaśniania żołnierzom całych rozdziałów wojskowego regulaminu; urządzał egzaminy i rozdzielał nagrody w formie podpisanych przez siebie dyplomów. Rzecz zrozumiała, że na tych kursach nie pominięto nauki o dyscyplinie. Podkreślano zwłaszcza, stale i z naciskiem, obowiązek salutowania wyższemu rangą, nawet w

obozie jeńców. W ten sposób privates[1], którzy musieli w dodatku salutować wszystkim Japończykom bez względu na stopień, ryzykowali co chwilę, że jeśli zapomną o rozkazie, otrzymają z jednej strony serię kopniaków i uderzeń kolbą od strażników, a z drugiej – napomnienie pułkownika i wyznaczone przez niego kary, dochodzące czasami do kilku godzin stania na baczność w czasie przewidzianym na odpoczynek.

Fakt, że ludzie poddali się owej spartańskiej dyscyplinie, że więc poddali się autorytetowi nie popartemu żadną władzą, lecz pochodzącemu od człowieka, który sam cierpiał udręczenia i grubiaństwa, ten fakt właśnie budził czasem podziw Cliptona. Zastanawiał się, czy ich posłuszeństwo należy przypisać szacunkowi dla osobowości pułkownika, czy też pewnym przywilejom, jakimi cieszyli się dzięki niemu, bo nie można było zaprzeczyć, że jego nieprzejednana postawa dawała wyniki, nawet w stosunku do Japończyków. Bronią pułkownika w postępowaniu z nimi była: stanowczość, nieugiętość w zachowywaniu przyjętych przez siebie zasad, umiejętność obstawania przy jakimś punkcie aż do otrzymania satysfakcji i Podręcznik prawa wojkowego, zawierający postanowienia konwencji genewskiej i haskiej, który ze spokojem podsuwał pod nos synom Nipponu za każdym razem, gdy prawo międzynarodowe zostało przez nich naruszone. Odwaga i całkowita pogarda dla metod gwałtu fizycznego przyczyniły się bez wątpienia w dużym stopniu do podniesienia jego autorytetu. W wielu wypadkach, gdy Japończycy przekroczyli prawa przysługujące zwycięzcy, nie ograniczył się tylko do protestu. Interweniował osobiście. Raz został brutalnie pobity przez szczególnie bestialskiego wartownika, którego żądania były bezprawne. Nie puścił płazem tego incydentu i wreszcie sprawił, że jego prześladowca został ukarany. W ten sposób zaprowadził swój własny regulamin, bardziej tyrański niż wymysły nippońskie.

–Najważniejsze – mówił do Cliptona, gdy ten przedkładał mu, że w tych okolicznościach mógłby ze swej strony okazać nieco łagodności – najważniejsze, żeby chłopcy czuli, że wciąż jeszcze my nimi dowodzimy, a nie Japończycy. Dopóki utrzymamy ich w tym mniemaniu, dopóty będą żołnierzami, a nie niewolnikami.

Clipton, zawsze bezstronny, przyznał, że były to słowa rozsądne i że postępowaniem pułkownika kierują zawsze wzniosłe pobudki.

Miesiące spędzone w obozie pod Singapur jeńcy wspominali teraz jako okres szczęśliwy i wdychali z żalem, rozmyślając o swojej obecnej sytuacji w tym niegościnnym zakątku Syjamu. Przybyli tu po ciągnącej się bez końca podróży koleją wzdłuż całego Półwyspu Malajskiego i po wyczerpującym marszu, podczas którego, osłabieni przez klimat i brak pożywienia, wyrzucali stopniowo, bez nadziei na ich odzyskanie, co cięższe i co cenniejsze części swego mizernego ekwipunku. Powstająca już legenda na temat linii kolejowej, którą mieli budować, nie nastrajała ich optymistycznie.

Pułkownika Nicholsona i jego jednostkę przewieziono nieco później niż innych i gdy przybyli do Syjamu, prace już się rozpoczęły. Po morderczym marszu pierwsze kontakty z nowymi władzami japońskimi nie były zbyt zachęcające. W Singapur mieli do czynienia z żołnierzami, którzy po pierwszym upojeniu triumfem – poza kilkoma, raczej rzadkimi, wybuchami pierwotnej dzikości – okazali się niewiele więcej barbarzyńscy niż zwycięzcy z Zachodu. Inną zdawała się być mentalność oficerów odkomenderowanych do konwojowania jeńców alianckich wzdłuż całej drogi koleją. Od samego początku zachowywali się jak okrutni dozorczy skazańców, gotowi w każdej chwili zmienić się w wymyślnych oprawców.

Pułkownik Nicholson wraz z resztą swego pułku, którego dowództwem wciąż jeszcze się szczyił, został najpierw przeniesiony do ogromnego ośrodka, służącego za obóz przejściowy dla wszystkich konwojów. Część tego obozu służyła już jednak za kwatery stałe. Przebywali tam niedługo, ale i to wystarczyło, aby sobie zdali sprawę, czego się będzie od nich wymagać i w jakich warunkach będą musieli żyć aż do ukończenia pracy. Nieszczęśliwi pracowali jak juczne zwierzęta. Zadanie, które każdy miał do wykonania, nie byłoby może zbyt ciężkie na siły mocnego, dobrze odżywionego mężczyzny, lecz włożone na barki godnych litości, wynędzniałych istot, jakimi stali się w ciągu niecałych dwóch miesięcy, zmuszało ich do pracy od świtu do zmierzchu, a czasem i przez część nocy. Byli przemęczeni i przygnębieni wyzwiskami i ciosami, które spadały na ich grzbiety za najmniejsze uchybienie; żyli w ciągłej obawie znacznie straszliwszych kar. Ich stan fizyczny wstrząsnął Cliptonem. Malaria, dyzenteria, beri – beri, wrzody były zjawiskiem codziennym, a lekarz obozowy wyznał mu, że obawia się o wiele cięższych epidemii, przeciwko którym nie może zastosować żadnych środków zapobiegawczych. Nie posiadał bowiem najbardziej podstawowych lekarstw.

Co do Nicholsona, to zmarszczył brwi i nic nie powiedział. Nie był w tym obozie „służbowo”, czuł się tu prawie gościem. Raz tylko wyraził swoje oburzenie podpułkownikowi angielskiemu odpowiedzialnemu przed władzami japońskimi: gdy zauważył, że wszyscy oficerowie, aż do stopnia majora, wykonują tę samą pracę co żołnierze, to znaczy kopią i zwożą ziemię jak robotnicy. Podpułkownik spuścił oczy.

Wyjaśnił, że zrobił, co mógł, aby nie dopuścić do tego upokorzenia, i ustąpił jedynie wobec brutalnej przemocy chcąc uniknąć represji, od których ucierpieliby wszyscy. Pułkownik Nicholson, niezbyt przekonany, pokiwał głową, a potem zamknął się w wyniosłym milczeniu.

W tym punkcie zbornym pozostali przez dwa dni: otrzymali od Japończyków jakieś nędzne zapasy na drogę oraz trójkąt z grubego płótna ze sznurkiem mającym przytrzymać je wokół bioder i nazywany przez nich „uniformem do pracy”; wysłuchali także przemówienia generała Yamashita, siedzącego na zaimprovizowanej estradzie, z szablą przy boku i z rękami w jasnoszarych rękawiczkach, który tłumaczył im złą angielszczyznę, że znaleźli się tutaj, pod jego najwyższą komendą, z woli Jego Cesarskiej Wysokości, i wyjaśnił, czego on od nich oczekuje.

Ta gadanina trwała ponad dwie godziny. Przykro jej było słuchać, raniła dumę narodową w równym stopniu co obelgi i uderzenia. Generał mówił, że synowie Nipponu nie chowają urazy do tych, których obalamuciły kłamstwa ich rządu; że będą ich traktować po ludzku dopóty, dopóki będą się oni zachowywać jak „zentlemen”, to znaczy, będą ze wszystkich sił, lojalnie pracować dla wspólnego dobra obszaru południowoazjatyckiego. Wszyscy powinni być wdzięczni Jego Cesarskiej Wysokości, który daje im okazję okupienia ich błędów poprzez udział we wspólnym dziele budowy kolei żelaznej. Yamashita wyjaśnił następnie, że dla wspólnego dobra będzie musiał zastosować ścisłą dyscyplinę i nie zniesie żadnego nieposłuszeństwa. Lenistwo i niedbalstwo będzie uważane za przestępstwo. Wszelka próba ucieczki będzie karana śmiercią. Oficerowie angielscy będą przed Japończykami odpowiedzialni za postępowanie swych ludzi i za ich stosunek do pracy.

–Choroby nie będą żadnym usprawiedliwieniem – dorzucił generał Yamashita. – Racjonalna praca wspaniale utrzymuje ludzi w formie fizycznej, a dyzenteria nie ośmiela się zaatakować kogoś, kto podejmuje codzienny wysiłek, aby wypełnić swój obowiązek wobec cesarza.

Zakończył optymistycznym tonem, który słuchaczy przyprawił o wściekłość.

–Pracujcie radośnie i z zapałem – rzekł. – Oto moja zasada. Od dzisiaj powinna być ona i waszą. Ci, którzy będą według niej postępować, nie muszą niczego się obawiać na przyszłość ani z mojej strony, ani ze strony oficerów wielkiej armii Nipponu, pod której opieką się znajdujecie.

Następnie grupy jeńców rozproszono, kierując każdą do przydzielonego jej rejonu. Pułkownika Nicholsona i jego pułk skierowano do obozu nad rzeką Kwai. Obóz ten znajdował się dość daleko, o parę mil zaledwie od granicy Burmy Jego komendantem był pułkownik Saito.

Pierwsze dni spędzone w obozie nad rzeką Kwai zaznaczyły się kilkoma przykrymi incydentami. Zapanowała więc od początku atmosfera wroga i naładowana elektrycznością.

Powodem pierwszych niepokojów była proklamacja pułkownika Saito, obwieszczająca, że wszyscy oficerowie mają pracować razem ze swoimi ludźmi i w tych samych warunkach. Spowodowała ona uprzejmy, lecz energiczny protest pułkownika Nicholsona, który ze szczerym obiektywizmem wyraził swój punkt widzenia, dodając na zakończenie, że zadaniem brytyjskich oficerów jest wydawanie rozkazów swoim żołnierzom, a nie manewrowanie łopatą czy oskardem.

Saito wysłuchał protestu do końca, nie okazując zniecierpliwienia, co pułkownikowi wydawało się bardzo dobrą wróżbą. Następnie kazał mu odejść mówiąc, że musi się nad tym zastanowić. Pełen dobrych myśli, pułkownik Nicholson wrócił do nędznego bambusowego baraku, który zajmował razem z Clijtonem i dwoma innymi oficerami. Tam, dla własnej satysfakcji, powtórzył niektóre argumenty, jakich użył, aby ugiąć Japończyka. Wszystkie wydawały mu się niezbite, ale za najważniejszy uważał ten: dodatkowa robota, wykonywana przez kilku ludzi nie nawykłych do pracy fizycznej, jest bez znaczenia. Nieocenione natomiast znaczenie posiada zachęta ze strony kompetentnych zwierzchników. W interesie samych Japończyków i dla dobra sprawy byłoby więc znacznie lepiej utrzymać prestiż i autorytet oficerów, co stanie się niemożliwe, gdy zmusi się ich do pracy na równi z żołnierzami. Pułkownik w podnieceniu rozwijał jeszcze raz tę tezę wobec swych oficerów.

–Wreszcie: mam słuszość czy nie? – spytał majora Hughesa. – Czy pan, przemysłowiec, może sobie wyobrazić właściwe wykonanie tego rodzaju przedsięwzięcia bez hierarchii odpowiedzialnych zwierzchników?

Wskutek strat poniesionych w tragicznej kampanii sztab Nicholsona składał się teraz tylko z dwóch oficerów, nie licząc lekarza Clijtona. Udało mu się zatrzymać ich przy sobie od czasu Singapur, ponieważ cenił ich rady i lubił, zanim powziął jakąś decyzję, poddać swe poglądy krytycznej ocenie we wspólnej dyskusji. Obydwaj oficerowie byli rezerwistami. Pierwszy z nich, major Hughes, był w cywilu dyrektorem towarzystwa górniczego na Malajach. Został przydzielony do pułku Nicholsona, a ten poznał się od razu na jego zdolnościach organizacyjnych. Drugi, kapitan Reeves, był przed wojną inżynierem robót publicznych w Indiach. Przydzielony do saperów, w czasie pierwszych walk odłączył się od swojej jednostki i został przygarnięty przez pułkownika, który zrobił go swym doradcą. Nicholson lubił otaczać się specjalistami. Nie był tępym wojskowym. Lojalnie przyznawał, że pewne instytucje cywilne używają czasami metod, które armia może pożytecznie wykorzystać, i nie zaniedbywał żadnej okazji, żeby się czegoś nauczyć. Cenił zarówno techników, jak organizatorów.

–Z pewnością ma pan słuszność, Sir – odpowiedział Hughes.

–Takie jest i moje zdanie – rzekł Reeves. – Budowa linii kolejowej i mostu (sądzę, że idzie tu o zbudowanie mostu na rzece Kwai) nie może się oprzeć na pośpiesznej improwizacji.

–Prawda, pan jest przecież w tych sprawach specjalistą! – głośno przypomniał sobie pułkownik. – Widzicie więc – zakończył – spodziewam się, że wlałem nieco oleju w ten pusty łąb.

–Ponadto – dorzucił Clipton wpatrując się w swego dowódcę – gdyby ten rozsądny argument nie wystarczył, istnieje przecież jeszcze Podręcznik prawa wojskowego i umowy międzynarodowe.

–Istnieją jeszcze umowy międzynarodowe – zgodził się pułkownik Nicholson. – Zachowałem je sobie na następną rozmowę, jeśli będzie potrzeba.

Clipton mówił z odcieniem pesymistycznej ironii, ponieważ mocno się obawiał, że apel do zdrowego rozsądku nie wystarczy. W obozie, w którym zatrzymali się w czasie marszu przez dżunglę, dotarły do niego pewne pogłoski na temat charakteru Saito. Przystępny czasem głosowi rozsądku, kiedy był trzeźwy, japoński oficer stawał się – jak mówiono – najordynarniejszym chamem po pijanemu.

Pułkownik Nicholson wniósł swój protest rankiem pierwszego dnia. Dzień ten był przeznaczony na ulokowanie jeńców w na pół zdemolowanych barakach obozu. Saito – tak jak obiecał – zastanowił się nad tym protestem. Wywody Nicholsona wydały mu się podejrzane i – dla rozjaśnienia umysłu – zaczął pić. Stopniowo doszedł do przekonania, że pułkownik Nicholson kwestionujący jego rozkazy okazał się niedopuszczalnie bezczelny. I niepokój Saito przekształcił się w zimną furię.

Na krótko przed zachodem słońca, doprowadziwszy się do paroksyzmu wściekłości Saito postanowił natychmiast umocnić swój autorytet i zarządził generalną zbiórkę. Także i on miał zamiar wygłosić przemówienie. Już po pierwszych jego słowach wiadomo było, że nad rzeką Kwai zgromadziły się złowrogie chmury.

–Nienawidzę Brytyjczyków...

Zaczął od tego zdania i wtrącał je potem co pewien czas zamiast interpunkcji. Mówił dobrze po angielsku, ponieważ pracował kiedyś w krajach brytyjskich jako attache wojskowy, zanim musiał opuścić to stanowisko z powodu pijaństwa. Kariera jego kończyła się żałośnie na obowiązkach więziennego strażnika; nie mógł spodziewać się awansu. Jego niechęć do jeńców pogłębiało jeszcze upokorzenie, jakiego doznawał na myśl, że nie brał bezpośredniego udziału w wojnie.

–Nienawidzę Brytyjczyków – zaczął pułkownik Saito. – Znajdujecie się tutaj, pod

moją wyłącznie komendą, aby wykonać pracę potrzebną dla zwycięstwa wielkiej armii Nipponu. Pragnę wam zapowiedzieć raz na zawsze, że nie zniosę najmniejszego dyskutowania moich rozkazów. Nienawidzę Brytyjczyków. Przy pierwszej próbie protestu ukarzę was w straszliwy sposób. Dyscyplina musi być zachowana. Jeśli niektórzy z was zamierzają się opierać, przypominam im, że mam nad wami wszystkimi władzę życia i śmierci. Nie zawaham się przed użyciem tej władzy, aby zapewnić solidne wykonanie robót powierzonym przez Jego Cesarską Wysokość. Nienawidzę Brytyjczyków. Nie wzruszy mnie śmierć kilku jeńców. Nawet śmierć was wszystkich jest drobiazgiem dla wyższego oficera wielkiej armii Nipponu.

Stał na stole, tak jak to uczynił generał Yamashita. I podobnie jak on uznał za stosowne włożyć parę jasnoszarych rękawiczek i lśniące buty zamiast sandałów, w których widziano go przed południem. Miał oczywiście szablę u boku i co chwilę uderzał w nią, aby dodać wagi swym słowom czy też może po to, by się podniecić i utrzymać w stanie wściekłości, który uważał za nieodzowny. Był groteskowy. Wykonywał nieopanowane ruchy głową jak marionetka. Był pijany. Upił się wódką europejską, whisky i koniakiem, zagrabionymi w Rangunie i w Singapur.

Słuchając tej mowy, boleśnie działającej mu na nerwy, Clipton przypomniał sobie radę daną mu niegdyś przez przyjaciela, który długo przebywał wśród Japończyków: „Jeśli będzie pan miał z nimi do czynienia, niech pan nigdy nie zapomina, że ten naród uważa swoje boskie pochodzenie za pewnik nie podlegający dyskusji.” Jednak po chwili namysłu doszedł do wniosku, że żaden naród na świecie nie żywi najmniejszej wątpliwości co do swego boskiego pochodzenia w bliższej czy dalszej przeszłości. Szukał więc innych powodów tej drapieżnej zarozumiałości. Co prawda, zaraz przyznał, że wiele zasadniczych elementów mowy Saito wypływało z pewnych cech umysłowości wspólnych dla Wschodu i dla Zachodu. W zdaniach eksplodujących na wargach Japończyka Clipton rozpoznał i powitał rozmaite wpływy: dumę rasową, mistykę władcy, lęk przed tym, że można nie być potraktowanym poważnie, dziwny kompleks, który kazał Saito błędzić podejrziwym i niespokojnym wzrokiem po twarzach jeńców, jakby obawiał się, że zobaczy na nich uśmiech. Saito przebywał niegdyś w Wielkiej Brytanii. Musiał wiedzieć, jak bardzo kpią sobie tam z pewnych cech Japończyków i ile żarcików wzbudzał sposób bycia, naśladowany przez naród pozbawiony poczucia humoru, wśród narodu, któremu poczucie to było wrodzone. Brutalność jego wyrażen i nieopanowanych gestów trzeba było jednak tłumaczyć prymitywną dzikością. Clipton czuł dziwny niepokój słuchając wywodów na temat dyscypliny, ale widząc, że trzęsie się jak kukła, doszedł do wniosku, uspokojony, że jedno przynajmniej przemawia na korzyść gentlemana z Zachodu: nie zachowuje się tak pod wpływem alkoholu.

Stojąc przed frontem swych ludzi, otoczeni przez strażników, którzy dla podkreślenia furii swego dowódcy przybrali groźną postawę, oficerowie słuchali w milczeniu. Zacisnąwszy pięści, z wysiłkiem starali się nadać twarzy wyraz pozornej obojętności na wzór tej, która malowała się na obliczu Nicholsona; pułkownik wydał

instrukcję, aby wszelkie objawy wrogości przyjąć ze spokojem i godnością.

Po tym wstępie, mającym oddziaływać na ich wyobraźnię, Saito przeszedł do sedna sprawy. Ton jego stał się spokojniejszy, niemal uroczysty i przez chwilę jeńcy spodziewali się, że usłyszą wreszcie kilka rozsądnych słów.

–Słuchajcie mnie wszyscy. Wiecie, na czym polega praca, którą Jego Cesarska Wysokość raczył przydzielić jeńcom brytyjskim. Idzie o połączenie stolic Syjamu i Burmy, żeby umożliwić japońskim konwojom przebycie czterystu mil wśród dżungli i otworzyć drogę do Bengalu dla armii, która uwolniła te dwa kraje od europejskiego ucisku. Nippon potrzebuje tej linii kolejowej dla swoich dalszych zwycięstw, dla zdobycia Indii i szybkiego zakończenia tej wojny. Jego Cesarska Wysokość rozkazał, żeby tę pracę ukończyć, jak się da najszybciej, w ciągu sześciu miesięcy. Leży to także w waszym interesie. Kiedy wojna się skończy, będziecie może mogli wrócić do swych domów pod osłoną naszej armii.

Pułkownik Saito ciągnął tonem jeszcze bardziej umiarkowanym, jak gdyby już zupełnie uwolnił się od oparów pijaństwa.

–Wy, którzy znajdujecie się w tym obozie pod moją komendą, czy wiecie, jakie jest wasze zadanie? Zgromadziłem was, żeby was o tym pouczyć.

Macie zbudować tylko dwa krótkie odcinki tej linii i połączyć je z innymi sektorami. Ale przede wszystkim macie wznieść most na rzece Kwai, którą tam widzicie. To jest wasze główne zadanie i powinniście być z niego dumni, gdyż jest to najważniejszy obiekt na całej linii. Praca jest przyjemna. I potrzeba do niej ludzi zdolnych, a nie zwykłych łopaciarzy. Co więcej, będziecie mieli zaszczyt zaliczać się do pionierów pracy dla wspólnego dobra obszaru południowoazjatyckiego...

...Jeszcze jedna zachęta, której mógłby użyć człowiek Zachodu” – mimo woli pomyślał Clipton.

Saito pochylił się do przodu całą górną częścią ciała i znieruchomiał, z prawą ręką na rękojeści szabli, wpatrując się w pierwsze szeregi jeńców.

–Oczywiście, praca będzie wykonywana pod technicznym kierownictwem kwalifikowanego inżyniera japońskiego. W sprawach dyscypliny będziecie podlegać mnie i moim podkomendnym. Nie odczujecie więc braku kadry oficerskiej. Dla tych wszystkich powodów, które chciałem wam wyjaśnić, wydałem rozkaz, aby oficerowie brytyjscy pracowali ramię w ramię ze swymi żołnierzami. W obecnych okolicznościach nie mogę tolerować darmozjadów. Mam nadzieję, że nie będę musiał powtarzać tego rozkazu. W przeciwnym razie...

Saito wpadł nagle w początkową wściekłość i zaczął gestykulować jak szaleniec.

–W przeciwnym razie użyję siły. Nienawidzę Brytyjczyków. Jeśli będzie trzeba, każę was raczej wszystkich wystrzelać, a nie będę żywił leniów. Choroba nie będzie powodem zwolnienia. Chory zawsze jest jeszcze zdolny do wysiłku. Jeśli będzie trzeba, zbuduję ten most z kości jeńców. Nienawidzę Brytyjczyków. Praca rozpocznie się jutro o świcie. Zbiórka tutaj, na głos gwizdka. Oficerowie ustawią się w osobnym rzędzie. Utworzą oni oddział, który będzie wykonywał tę samą pracę co inni. Otrzymacie narzędzia i japoński inżynier udzieli wam wskazówek. Na zakończenie chcę wam tego wieczoru przypomnieć odezwę generała Yamashita: „Pracujcie radośnie i z zapalem.” Zapamiętajcie to sobie.

Saitę zszedł z estrady i długim, wściekłym krokiem udał się do swojej kwatery. Jeńcy złamali szeregi i skierowali się ku barakom, pod przykrym wrażeniem tej bezładnej gadaniny.

–Zdaje się, że on pana nie zrozumiał, Sir; myślę że trzeba się będzie odwołać do międzynarodowych konwencji – rzekł Clipton do pułkownika Nicholsona, który milczał w zamyśleniu.

–Ja też tak sądzę, Clipton – poważnie odparł pułkownik. – i obawiam się, że będziemy mieli kłopoty.

IV

W pierwszej chwili Clipton zląkł się, aby kłopoty przewidywane przez pułkownika Nicholsona nie trwały krótko i nie zakończyły się, w samych początkach, przerażającą tragedią. Jako lekarz, był jedynym oficerem nie zainteresowanym bezpośrednio w tym sporze. I tak już przeciążony pielęgnacją licznych chorych, ofiar straszliwego marszu przez dżunglę, nie został zaliczony do drużyny roboczej. Niepokój Cliptona jeszcze się pogłębił, gdy po raz pierwszy zobaczył barak, pompatycznie nazwany „szpitalem”, do którego udał się przed świtem.

Zbudzeni jeszcze po ciemku gwizdkami i krzykiem strażników, żołnierze wyszli na zbiórkę w podłym nastroju, zmęczeniu, gdyż sen wskutek niewygody pomieszczeń i ukąszeń moskitów nie przynosił im wypoczynku. Oficerowie ustawili się w oznaczonym miejscu. Pułkownik Nicholson wydał im dokładne instrukcje.

–Trzeba okazać tyle dobrej woli – powiedział – na ile pozwoli nam nasze poczucie honoru. Ja także stawię się na zbiórce.

Uważał za całkiem zrozumiałe, że posłuszeństwo wobec rozkazów Saito ograniczy się tylko do tego.

Długo stali na baczność, bez ruchu na zimnie i wilgoci, dopóki, ze wschodem słońca, nie zauważyli, że nadchodzi pułkownik Saito, w otoczeniu kilku niższych oficerów i poprzedzany przez inżyniera, który miał kierować pracą. Wyglądał ponuro, ale gdy ujrzał grupę brytyjskich oficerów stojących w szeregu za swym dowódcą, twarz mu się rozjaśniła.

Za Japończykami nadjechała ciężarówka pełna narzędzi. Podczas gdy inżynier zajął się ich rozdzielaniem, pułkownik Nicholson wystąpił krok naprzód i zażądał rozmowy z Saito. Twarz tamtego pokryła się cieniem. Nie powiedział ani słowa, lecz pułkownik udał, że bierze jego milczenie za zgodę, i podszedł do niego.

Clipton nie mógł śledzić ruchów Nicholsona, gdyż pułkownik stał do niego tyłem. Po chwili jednak odwrócił się profilem i lekarz zobaczył, że otwiera przed nosem Japończyka małą książeczkę, wskazując mu palcem jakiś paragraf. Był to bez wątpienia Podręcznik prawa wojskowego. Saito zawahał się. Clipton myślał przez chwilę, że może w nocy doszły w nim do głosu jego lepsze instynkty, lecz szybko zrozumiał, że się łudził na próżno. Po wczorajszej przemowie, nawet gdyby gniew Saito minął, obowiązek „ratowania twarzy” nakazywał mu bezwzględny sposób postępowania. Twarz mu pociemniała. Myślał, że skończył już z tą historią, a tymczasem ten brytyjski pułkownik stawia mu opór. Opanowała go znowu histeryczna wściekłość. Pułkownik Nicholson czytał cichym głosem, wodząc palcem po książce i nie zauważając tej zmiany. Clipton, który śledził fizjonomię Japończyka,

o mało nie krzyknął, żeby ostrzec swego dowódcę. Było już za późno. Dwoma gwałtownymi ruchami Saito wyrwał pułkownikowi książkę i wymierzył mu policzek. Stał teraz tuż przed nim, pochylony do przodu, z oczami wychodzącymi z orbit, gestykulując i w groteskowy sposób mieszając obelgi angielskie z japońskimi.

Pomimo zdumienia – nie oczekiwał bowiem takiej reakcji – pułkownik Nicholson zachował spokój. Podniósł książkę, która upadła w błoto, wyprostował się, górując nad Japończykiem o głowę, i powiedział po prostu:

–W tych warunkach, pułkowniku Saito, skoro władze japońskie nie przestrzegają praw obowiązujących w świecie cywilizowanym, uważamy się za zwolnionych od obowiązku posłuszeństwa. Pozostaje mi tylko zawiadomić pana o rozkazach, jakie wydałem. Oficerowie nie będą pracować. Powiedziawszy to zniósł obojętnie i w milczeniu drugi atak, bardziej jeszcze brutalny niż pierwszy. Zdawało się, że Saito stracił zmysły. Rzucił się na Nicholsona i, unosząc się na palcach, bił go pięściami po twarzy.

Sytuacja stała się poważna. Kilku angielskich oficerów wystąpiło z szeregu i zbliżało się groźnie. W gromadzie jeńców podniósł się szmer. Podoficerowie japońscy krzyknęli krótkie komendy i żołnierze zarepetowali broń. Pułkownik Nicholson poprosił swych oficerów, aby wrócili na miejsca, i wezwał żołnierzy do spokoju, z ust, spływała mu krew, ale zachował swój nieodmienny, władczy wygląd.

Saito, ciężko oddychając, cofnął się i uczynił ruch jakby sięgał po rewolwer; potem wydało się, że się rozmyślił. Cofnął się jeszcze trochę i wydał rozkazy głosem niebezpiecznie spokojnym. Strażnicy japońscy otoczyli jeńców i popędzili ich przed sobą. Prowadzili ich w kierunku rzeki, na miejsce pracy. Podniosły się protesty, niektórzy próbowali stawić opór. Wielu patrzyło na Nicholsona niespokojnym, pytającym wzrokiem. On dał im znak, by byli posłuszni. Wkrótce zniknęli, a oficerowie brytyjscy pozostali na miejscu, twarz w twarz z pułkownikiem Saito.

Ten znów przemówił, tonem umiarkowanym, który Cliptonowi wydał się niepokojący. Nie mylił się. Kilku żołnierzy oddaliło się, a potem powróciło z dwoma karabinami maszynowymi, która stały zwykle u wejścia do obozu. Ustawili je teraz po prawej i lewej ręce Saito. Niepokój Cliptona przerodził się w prawdziwą trwogę. Oglądał tę scenę przez bambusową ściankę swego „szpitala”. Poza nim, jeden przy drugim, tłoczyło się około czterdziestu nieszczęśników, pokrytych ropiejącymi ranami. Niektórzy przywlekli się do niego i patrzyli także. Jeden z nich wydał głuchy okrzyk:

–Doktorze, oni chyba nie... To niemożliwe! Ta małpa się nie odważy! Ale stary jest uparty!

Clipton był prawie pewny, że Japończyk odważy się. Większość oficerów, stojących

za swoim pułkownikiem, podzielała to przekonanie. Od zdobycia Singapur zdarzyło się już wiele zbiorowych egzekucji. Widocznie Saito oddalił jeńców, żeby nie mieć krępujących świadków. Mówił teraz po angielsku, rozkazując oficerom wziąć narzędzia i udać się do pracy.

Ponownie zabrzmiał głos pułkownika Nicholsona. Oświadczył, że nie usłuchają rozkazu. Nikt się nie ruszył. Saito wydał drugą komendę. Do karabinów maszynowych założono taśmy z nabojami i skierowano lufy na grupę oficerów.

–Doktorze! – jęknął znowu żołnierz stojący obok Cliptona. – Doktorze, mówię panu, stary nie ustąpi... On nie rozumie. Trzeba coś zrobić!

Słowa te ocuciły Cliptona, który czuł się do tej pory jak sparaliżowany. Było oczywiste, że „stary” nie docenia sytuacji. Nie przypuszczał, że Saito posunie się tak daleko. Trzeba było natychmiast coś zrobić – jak mówił ten żołnierz – aby mu wytłumaczyć, że nie wolno poświęcać życia dwudziestu ludzi dla satysfakcji, jaką daje opór i miłość zasad; że ustępstwo wobec brutalnej przemocy nie splami ani jego honoru, ani jego godności; zrozumieli to przecież wszyscy jeńcy w innych obozach. Słowa cisnęły mu się na usta. Wybiegł na plac wołając do Saito:

–Proszę chwilę poczekać, pułkowniku! Ja mu wytłumaczę!

Pułkownik Nicholson obrzucił go surowym wzrokiem.

–Dość, Clipton! Niczego mi nie trzeba tłumaczyć. Dobrze wiem, co robię.

Lekarz nie miał zresztą czasu, aby dobiec do tamtych. Dwaj strażnicy brutalnie zatrzymali go w miejscu. To nagłe wystąpienie przywiodło jednak Saito do opamiętania; zawahał się. Clipton krzyczał jednym tchem, bardzo szybko, pewien, że inni Japończycy go nie rozumieją:

–Ostrzegam pana, pułkowniku; byłem świadkiem całej sceny, ja i czterdziestu chorych w szpitalu. Nie uda się panu powołać wobec władz na ogólny bunt i próbę masowej ucieczki.

To była ostatnia, niebezpieczna karta do wygrania. Nawet wobec władz japońskich Saito nie potrafiłby usprawiedliwić takiej egzekucji bez jej uzasadnienia. Nie wolno mu tego zrobić przy brytyjskim świadku. Biorąc logicznie, będzie musiał albo wystrzelać wszystkich chorych razem z ich lekarzem, albo zrezygnować ze swej zemsty.

Clipton zorientował się, że na razie wygrał partię. Saito robił wrażenie, że długo się namyśla. W rzeczywistości dusiła go wściekłość i wstyd porażki; nie kazał jednak strzelać.

Nie wydał zresztą żadnego rozkazu obsłudze siedzącej przy wycelowanych karabinach. Żołnierze siedzieli więc przy nich długo, bardzo długo, gdyż Saito drżał przed „utrataą twarzy”, gdyby polecił im się wycofać. Spędzili tam dużą część przedpołudnia, bojąc się poruszyć, dopóki plac zbiórki nie opustoszał całkowicie.

Sukces był zresztą bardzo względny i Clipton nie miał nawet odwagi myśleć o losie, jaki czekał buntowników. Pocięszał się mówiąc sobie, że uchronił ich od najgorszego. Strażnicy odprowadzili oficerów do obozowego więzienia. Nicholsona wzięło między siebie dwóch ogromnych Koreańczyków należących do gwardii przybocznej Saito. Zabrali go do biura japońskiego pułkownika. Była to mała klitka sąsiadująca z pokojem mieszkalnym, co pozwalało Saito na częste sięganie do swych zapasów alkoholu. Saito z wolna podążył za swym więźniem i starannie zamknął za nim drzwi. Wkrótce potem Clipton, który w gruncie rzeczy był człowiekiem wrażliwym, zadrżał usłyszawszy odgłosy uderzeń.

V

Po półgodzinnym katowaniu pułkownika wrzucono do komórki, w której nie było pryczy ani stołka i gdzie musiał leżeć na wilgotnej, błotnistej ziemi, gdy zabrakło mu siły, by stać. Za całe pożywienie dano mu miseczkę ryżu mocno posypanego solą, a Saito ostrzegł, że będzie go tam trzymał, dopóki nie zdecyduje się usłuchać jego rozkazów.

W ciągu tygodnia nie widział nikogo poza koreańskim strażnikiem, który co dzień, samowolnie, dosypywał trochę soli do porcji ryżu. Pułkownik zmuszał się jednak do przełknięcia paru łyżek, potem jednym łykiem wypijał swoją niewystarczającą rację wody i kładł się na ziemi próbując znosić z pogardą cierpienia. Nie wolno mu było opuszczać tej komórki, która wkrótce stała się ohydną kloaką.

Z końcem tygodnia pozwolono wreszcie Cliptonowi odwiedzić go. Przedtem doktor został wezwany przez Saito, którego zastał w ponurym nastroju. Tyran był niespokojny. Clipton zorientował się, że waha się między gniewem a niepokojem, który usiłuje pokryć chłodnym tonem.

–Nie odpowiadam za to, co się dzieje – powiedział. – Most na rzece Kwai musi być zbudowany szybko i japoński oficer nie może tolerować takich wybryków. Niech mu pan da do zrozumienia, że ja nie ustąpię. Niech mu pan powie, że przez niego w taki sam sposób są traktowani wszyscy oficerowie. Jeśli to nie wystarczy, przez jego upór będą także cierpieć żołnierze. Pana na razie zostawiłem w spokoju, pana i pańskich chorych. Byłem na tyle wyrozumiały, żeby dotychczas uważać ich za zwolnionych od pracy. Będę tę wyrozumiałość uważał za słabość, jeśli on nie zmieni swego postępowania.

Odprawił go tymi groźnymi słowami i Cliptona zaprowadzono do więzienia. Z początku lekarz był wstrząśnięty i przerażony stanem, do jakiego doprowadzono jego szefa, a także i wyniszczeniem fizycznym, jakiemu organizm pułkownika uległ w tak krótkim czasie. Dźwięk jego głosu, ledwie dosłyszalny, wydawał się dalekim i stłumionym echem owych władczych akcentów, które brzmiały jeszcze w uchu lekarza. Ale to były jedynie zewnętrzne pozory. Duch pułkownika Nicholsona nie uległ żadnej metamorfozie, a słowa były ciągle te same, choć wypowiadał je zmienionym głosem. Clipton, który wchodząc tu zdecydowany był namawiać Nicholsona do poddania się, zdał sobie sprawę, że nie ma żadnej szansy, aby go przekonać. Szybko wyczerpał przygotowane argumenty, potem zamilkł.

Pułkownik nawet nie dyskutował, lecz powiedział po prostu:

–Proszę zawiadomić wszystkich o mojej nieodwołalnej decyzji. Pod żadnym warunkiem nie zniosę tego, żeby oficer z mego pułku wykonywał pracę fizyczną.

Clipton opuścił komórkę, raz jeszcze wahając się między podziwem a rozdrażnieniem, poważnie zaniepokojony postępowaniem swego dowódcy, niepewny, czy należy go czcić jako bohatera, czy uznać za straszliwego głupca; zastanawiał się, czy nie byłoby rzeczą stosowną modlić się do Stwórcy, aby jak najszybciej, w aureoli męczeństwa, powołał do siebie tego niebezpiecznego szaleńca, którego postępowanie groziło ściągnięciem najgorszych katastrof na obóz nad rzeką Kwai. To, co powiedział Saito, było bliskie prawdy. Inni oficerowie traktowani byli w sposób niewiele bardziej ludzki, a żołnierze spotykali się na każdym kroku z brutalnością strażników. Odchodząc Clipton myślał o niebezpieczeństwach, jakie groziły chorym.

Saito musiał oczekiwać na jego wyjście, bo szybko ku niemu podszedł, i z prawdziwym niepokojem w oczach zapytał:

–A więc?

Był trzeźwy. Sprawiał wrażenie przygnębionego. Clipton próbował osądzić, jak dalece postawa pułkownika mogła przyczynić się do osłabienia prestiżu Saito, potem zebrał odwagę i postanowił okazać się stanowczym.

–A więc pułkownik Nicholson nie ustąpi przed siłą. Ani jego oficerowie. A wobec sposobu, w jaki został potraktowany, nie mogłem go namawiać do ustępstw.

Zaprotestował przeciwko systemowi kar stosowanemu wobec jeńców, powołując się – on także – na konwencje międzynarodowe, potem na lekarski punkt widzenia, a wreszcie na zwykły humanitaryzm, i posunął się aż do oświadczenia, że tego rodzaju okrucieństwo równa się morderstwu. Oczekiwał gwałtownej reakcji, ta jednak nie nastąpiła. Saito mruknął tylko, że wszystko to stało się z winy pułkownika, i szybko się oddalił. W tej chwili Clipton pomyślał, że Saito w głębi duszy nie był okrutny, a jego postępowanie można było świetnie wytłumaczyć nawarstwianiem się w nim różnych rodzajów lęku: obawą przed własnymi dowódcami, którzy musieli dawać mu się we znaki w związku z mostem, i obawą przed podwładnymi, wobec których „stracił twarz”, skoro się okazało, że nie potrafi zapewnić sobie posłuszeństwa.

Właściwa Cliptonowi skłonność do uogólniania sprawiła, że w tym połączeniu lęku przed zwierzchnikami i lęku przed podwładnymi ujrzał zasadnicze źródło ludzkich nieszczęść. Gdy sformułował tę myśl, wydało mu się, że już kiedyś czytał gdzieś podobną maksymę. Sprawilo mu to pewnego rodzaju przyjemność, która przygłuszała nieco jego niepokój. Ciągnął dalej te medytacje i na progu szpitala zakończył je wnioskiem, że cała reszta nieszczęść, najstraszliwszych być może na świecie, zawiniona została przez tych, którzy nie mieli ani przełożonych, ani podwładnych.

Saito musiał to przemyśleć. W ciągu następnego tygodnia traktował jeńca łagodniej,

a w końcu poszedł do Nicholsona i zapytał, czy zdecydował się wreszcie zachowywać jak gentleman. Przybył spokojny, z zamiarem odwołania się do jego rozsądku, ale widząc, że pułkownik nawet słyszeć nie chce o dyskusji nad zagadnieniem, które już rozstrzygnął, powtórnie stracił panowanie nad sobą i doprowadził się do takiego stanu histerycznej wściekłości, że nie przypominał już istoty cywilizowanej. Pułkownik został znowu pobity, a Koreańczyk o małpiej twarzy otrzymał surowe rozkazy przywrócenia nieludzkiego reżimu z pierwszych dni. Saito pobił nawet strażnika. W paroksyzmie złości tracił zwykle świadomość tego, co robi i mówi, toteż oskarżał strażnika o zbytnią łagodność. Gestykulował jak obłąkany, wymachiwał pistoletem i groził, że własnoręcznie zastrzeli dozorcą i więźnia, aby przywrócić dyscyplinę.

Clipton, który raz jeszcze próbował interweniować, sam został pobity, a ze szpitala wyrzucono wszystkich chorych, jacy byli w stanie utrzymać się na nogach. Aby uniknąć zachłostania na śmierć, musieli dowlec się na miejsce pracy i dźwigać ciężary. Przez kilka dni w obozie nad rzeką Kwai panował terror. Odpowiedzią pułkownika Nicholsona na to podłe traktowanie było wyniosłe milczenie.

Wydawało się, że usposobienie Saito jest raz usposobieniem pana Hyde, zdolnego do popełniania wszelkich okropności, to znów względnie ludzkim usposobieniem doktora Jekylla. Po okresie terroru nastąpiło nadzwyczajne złagodzenie kursu. Pułkownikowi Nicholsonowi przywrócono nie tylko pełną rację pożywienia, lecz otrzymał on nawet rację dodatkową, w zasadzie zarezerwowaną dla chorych. Cliptonowi pozwolono na widzenie się z Nicholsonem i na pielęgnowanie go, a Saito oświadczył mu nawet, że czyni go osobiście odpowiedzialnym za zdrowie pułkownika.

Pewnego wieczora Saito kazał przyprowadzić więźnia do swego pokoju i odesłał strażników. Zostawszy z nim sam na sam, poprosił Nicholsona, żeby usiadł, wyciągnął ze swych zapasów puszkę amerykańskiej wołowiny, papierosy i butelkę najlepszej whisky. Powiedział mu, że jako żołnierz żywi głęboki podziw dla jego postawy, ale że toczy się wojna, za którą żaden z nich dwóch nie jest odpowiedzialny. Pułkownik Nicholson potrafi zapewne zrozumieć, że on, Saito, musi słuchać rozkazów swoich zwierzchników. Otóż rozkazy te mówią, że most na rzece Kwai powinien być zbudowany bardzo szybko. Był więc zmuszony zaprząć do pracy wszystkie ręce, jakie miał do dyspozycji. Pułkownik nie przyjął wołowiny, papierosów ani whisky, ale z zainteresowaniem słuchał, co tamten mówi. Odpowiedział wreszcie spokojnie, że Saito nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak zabrać się do pracy o takim znaczeniu.

Powrócił do swych początkowych argumentów. Zdawało się, że konflikt przedłuży się w nieskończoność. Nie można było przewidzieć, czy Saito zechce dyskutować rozsądnie, czy da się unieść nowemu atakowi szału. Długo siedział w milczeniu, podczas gdy przedmiot sporu rozstrzygał się jak gdyby w tajemniczym wymiarze

wszechświata. Pułkownik skorzystał z tego aby zadać pytanie:

–Chciałbym pana zapytać, pułkowniku Saito, czy jest pan zadowolony z przebiegu początkowych prac?

Owo perfidne pytanie mogło być przesunąć szalę w kierunku ataku hysterii, gdyż prace rozpoczęto w sposób bardzo kiepski. Była to jedna z głównych trosk pułkownika Saito, którego pozycja była narażona w tej walce w równym stopniu co honor. Jednakże nie była to godzina pana Hyde. Saito stracił rezon, spuścił oczy i mruknął coś niewyraźnie. Potem wetknął jeńcowi do ręki szklanę pełną whisky, nalał drugą dla siebie i powiedział:

–Widzi pan, pułkowniku Nicholson, nie jestem pewien, czy pan mnie dobrze zrozumiał. A między nami nie powinno być nieporozumień. Kiedy mówiłem, że wszyscy oficerowie muszą pracować, nie miałem ani przez chwilę na myśli pana, ich przełożonego. Moje rozkazy dotyczyły innych...

–Żaden oficer nie będzie pracował – odparł pułkownik, stawiając nietkniętą szklanę na stole.

Saito powstrzymał gest zniecierpliwienia i starał się zachować spokój.

–Sam się nad tym od kilku dni zastanawiałem – odparł. – Myślą, że oficerów wyższych stopni mógłbym zatrudnić w administracji. Jedynie niżsi oficerowie pracowaliby i...

–Żaden oficer nie będzie pracował fizycznie – odrzekł pułkownik Nicholson, – Oficerowie powinni rozkazywać swoim żołnierzom.

Saito nie potrafił już dłużej powstrzymać wściekłości. Lecz gdy pułkownik znów znalazł się w komórcie nie ustąpiwszy ani na krok ze swych pozycji – pomimo pokus, gróźb, uderzeń, niemal błagań – przekonany był, że gra jest już bliska końca i że na kapitulację nieprzyjaciela nie trzeba będzie długo czekać.

VI

Prace nie posuwały się naprzód. Pułkownik dotknął Saito w najboleśniejże miejsce, gdy zapytał go o postępy; i mądrze przewidywał, że konieczność doprowadzi Japończyka do ustępstw.

Pod koniec trzech pierwszych tygodni nie tylko nie było jeszcze ani śladu mostu, lecz kilka prac wstępnych więźniowie wykonali tak przemyślnie, że naprawienie popełnionych błędów wymagało pewnego czasu.

Rozwścieczeni z powodu maltretowania ich dowódcy, którego odwagę i nieugiętość podziwiali, rozjątrzeni ulewą przekleństw i uderzeń, jakich nie szczędzili im strażnicy, oburzeni, że muszą pracować jak niewolnicy na korzyść wroga, załamani na skutek odseparowania ich od oficerów i pozbawieni słów zwykłej komendy – żołnierze brytyjscy współzawodniczyli z sobą w opieszałości czy, lepiej jeszcze, w popełnianiu najbardziej elementarnych błędów pod maską gorliwości.

Żadna kara nie potrafiła osłabić ich perfidnego zapału i mały japoński inżynier aż płakał czasem z rozpaczą. Strażników było za mało, aby mogli nieustannie śledzić jeńców, a poza tym brakło im inteligencji, aby wykryć partactwo. Założenie dwóch odcinków linii rozpoczynano już ze dwadzieścia razy. Proste i krzywe, uczenie obliczone i wytyczone białymi palikami przez japońskiego inżyniera, zmieniały się, gdy tylko ten się odwrócił, w labirynt linii łamanych, odchylających się pod nedorzecznymi kątami. Gdy inżynier powracał, widok ten wyrwał mu z ust żalony okrzyk. Położone na przeciwległych brzegach rzeki, dwa krańce linii, które most miał połączyć, leżały na różnych poziomach i nie wyglądało na to, że kiedyś znajdą się dokładnie naprzeciw siebie. Jedna z grup rzucała się nagle i zawzięcie do wydobywania ziemi, wykopując wreszcie rodzaj krateru, którego dno leżało o wiele niżej od przepisanego poziomu. Tymczasem naiwni strażnicy cieszyli się widząc, że ludzie wzięli się wreszcie z zapalem do pracy. Gdy zjawiał się inżynier, wpadał we wściekłość i bił – bez różnicy – więźniów i strażników. Ci ostatni zrozumiałwszy, że raz jeszcze sobie z nich zakpiono, mścili się z kolei na jeńcach, ale zło zostało dokonane i trzeba było wielu godzin lub dni, aby je naprawić.

Jedną grupę ludzi odkomenderowano do dżungli, do wycinania drzew odpowiednich na budowę mostu. Jeńcy ci dokonywali troskliwej selekcji i dostarczali pni jak najcieńszych i najbardziej powykrzywianych; to znów ogromnym nakładem sił zwalali drzewo – olbrzyma, które padało w rzekę, a z niej niepodobna go było wydobyć; albo wreszcie wybierali pnie stoczone wewnątrz przez robaki i nie wytrzymujące najmniejszego obciążenia.

Saito, który codziennie przeprowadzał inspekcję na miejscu pracy, wyładowywał swą wściekłość w coraz gwałtowniejszych wybuchach. Z kolei on miotał obelgi, groził

i bił, oskarżał nawet inżyniera, który z oburzeniem oświadczał, że to robotnicy są do niczego. Na co Saito coraz głośniejsze wyrzaskiwał jeszcze straszliwsze przekleństwa i obmyślał nowe barbarzyństwa, które położyłyby kres temu głuchemu oporowi. Pastwił się nad jeńcami jak rozjątrzony strażnik, któremu wszystko wolno, a który drży ze strachu, że go wyrzucą za nieudolność. Tych, których przyłapano na akcie złej woli lub na sabotażu, przywiązywano do drzew, bito ciernistymi różgami i pozostawiano całymi godzinami, skrwawionych, nagich, na pastwę mrówek i tropikalnego słońca. Clipton widział ich, gdy wieczorem przybywali do szpitala niesieni przez towarzyszy, trawieni gwałtowną gorączką, z plecami odartymi ze skóry. Ale nie mógł nawet dłużej się nimi opiekować. Saito o nich pamiętał. Gdy tylko mogli już utrzymać się na nogach, odsyłał ich z powrotem do pracy i rozkazywał strażnikom mieć ich specjalnie na oku.

Wytrzymałość tych zuchów wzruszała Cliptona, a niekiedy doprowadzała go do łez. Zdumiewał się patrząc, jak znoszą to prześladowanie. Zawsze znalazł się wśród nich jeden, który, gdy zostali sam na sam, znajdował dość siły, aby się podnieść i mrużąc oko wyszeptać w żargonie, który zaczął się rozpowszechniać wśród wszystkich jeńców w Burmie i Syjamie:

–Ten f...ing bridge jeszcze nie zbudowany, doktorze. F...ing railway tego f...ing cesarza nie przeszła jeszcze przez f...ing rzekę w tym f...ing kraju. Nasz f...ing stary ma rację i wie, co robi. Jak go pan zobaczy, niech mu pan powie, że wszyscy jesteśmy za nim i że ta f...ing małpa nie dała sobie jeszcze rady z f...ing armią angielską!

Najdziksze okrucieństwa nie dawały żadnego rezultatu. Ludzie się do nich przyzwyczaili. Przykład, jaki dawał pułkownik Nicholson, upajał ich mocniej niż piwo i whisky, których byli pozbawieni. Jeśli jeden z jeńców poniósł zbyt ciężką karę, by móc dalej pracować, a represje zagrażały jego życiu, znajdował się zawsze drugi, aby go zastąpić. To była ustalona reguła.

„Jeszcze więcej należy ich podziwiać za to – myślał Clipton – że nie ustępują przed kłiwą obłudą Saito, okazywaną przez niego w owych godzinach zwątpienia, gdy z przykrością spostrzegał, że wyczerpał już serię zwykłych tortur, a jego wyobraźnia wzdragała się przed wynajdywaniem innych.”

Pewnego dnia kazał zebrać jeńców przed swoim biurem, zleciwszy uprzednio zakończyć pracę wcześniej niż zwykle, aby – jak powiedział – nie przemęczać ich. Kazał rozdać ryżowe ciastka i owoce kupione u syjamskich chłopów z sąsiedniej wioski – podarunek od armii japońskiej, aby zachęcić ich do nie ustawiania w wysiłku. Wyrzekł się swojej dumy i wprost nurzał się w podłości. Chępił się, że jest, jak oni, człowiekiem z ludu, prostym, pragnącym tylko wypełnić swój obowiązek bez dodatkowych kłopotów. Wykazywał im, że oficerowie odmówiwszy swej pracy zwiększyli zadanie każdego z nich. Rozumiał rozżalenie jeńców i nie miał go im za złe.

Tak dalece nie czuł do nich urazy, że chciałby z własnej woli, aby dowieść im swej sympatii, zmniejszyć normę. Inżynier ustalił, że jeden człowiek ma zrzucić na nasyp półtora metra sześciennego ziemi dziennie. A więc on, Saito, postanowił zmniejszyć normę do jednego metra sześciennego. Uczynił to, ponieważ litował się nad ich cierpieniami, za które nie jest odpowiedzialny. Spodziewa się, że wobec jego braterskiego gestu oni także okażą dobrą wolę i szybko skończą tę łatwą pracę, która powinna przyczynić się do skrócenia tej przekłetej wojny.

Pod koniec przemówienia zniżył się niemal do błagań, lecz prośby odniosły nie większy skutek niż tortury. Nazajutrz jeńcy dostosowali się do wydanego zarządzenia. Każdy skrupulatnie wydobył i wywiózł swój metr sześcienny ziemi. Niektórzy nawet więcej. Ale miejsce, na które tę ziemię zrzucono, urągało najelementarniejszemu poczuciu zdrowego rozsądku.

Wreszcie Saito ustąpił. Wyczerpał już wszelkie sposoby, a opór jeńców uczynił go godnym politowania. W dniach poprzedzających tę kapitulację przemierzał obóz z dzikim spojrzeniem osaczonego zwierzęcia. Posunął się tak daleko, że błagał najmłodszych poruczników, aby sami wybrali sobie rodzaj pracy obiecując im specjalne premie i znacznie powiększone racje żywnościowe. Ale wszyscy pozostali niewzruszeni, a on, spodziewając się inspekcji wysokich władz japońskich, zdecydował się na sromotną kapitulację.

Spróbował rozpaczliwego manewru dla „uratowania twarzy” i zamaskowania swego odwrotu, lecz ta żalosna próba nie wprowadziła w błąd nawet jego własnych żołnierzy. Siódmego grudnia 1942 roku, w rocznicę przystąpienia Japonii do wojny, ogłosił, że dla uczczenia tej daty proklamuje zniesienie wszystkich kar. Odbił rozmowę z pułkownikiem i oświadczył mu, że pragnie dać mu dowód swej niezwykłej przychylności: oficerowie zostaną zwolnieni od obowiązku pracy fizycznej. W zamian wyraził nadzieję, że będą oni z zapalem kierować działalnością swych ludzi, aby praca ich przynosiła dobre rezultaty.

Pułkownik Nicholson oświadczył, że zobaczy, co będzie mógł zrobić. Od chwili, w której wzajemne stosunki oparte zostały na poprawnych zasadach, nie było powodu, dla którego miałby się sprzeciwiać programowi swoich zwycięzców. Było dla niego rzeczą oczywistą, że oficerowie – tak, jak to się dzieje we wszystkich cywilizowanych armiach świata – mają być odpowiedzialni za postawę swych żołnierzy.

Była to całkowita kapitulacja ze strony japońskiej. Wieczór zwycięstwa czczono w barakach brytyjskich pieśniami, wiwatowaniem i dodatkową porcją ryżu, którą Saito, zaciskając zęby, rozkazał wydać dla podkreślenia swej dobrej woli. Tego samego wieczora pułkownik japoński zamknął się wcześniej w swoim pokoju, opłakiwał splamiony honor i topił wściekłość w samotnym pijaństwie, które trwało bez przerwy do północy, aż zwałił się na łóżko, półżywy. Do takiego stanu doprowadzał się tylko w wyjątkowych okolicznościach, miał bowiem niezwykle mocną głowę, która

pozwalala mu na ogol wytrzymywac najbardziej barbarzyńskie mieszaniny trunkow.

VII

Pułkownik Nicholson, w towarzystwie swych zwykłych doradców, majora Hughes i kapitana Reeves, szedł w stronę rzeki Kwai, wzdłuż nasypu kolejowego, przy którym pracowali jeńcy.

Szedł powoli. Nie musiał się śpieszyć. Zaraz po uwolnieniu odniósł drugie zwycięstwo, uzyskując dla siebie i swoich oficerów – tytułem rekompensaty za niesłusznie poniesioną karę – cztery dni zupełnego wypoczynku. Saito zacisnął pięści na myśl o tej nowej zwłoce, ale zgodził się. Wydał nawet rozkazy, aby więźniów traktowano grzecznie, i zbił po twarzy jednego ze swoich żołnierzy, który, jak mu się zdawało, ironicznie się na to uśmiechnął.

Jeśli pułkownik Nicholson poprosił o cztery dni wolne, uczynił to nie tylko w celu zebrania sił po piekle, które przeszedł, lecz także po to, aby się zastanowić, zorientować w sytuacji, przedyskutować ją ze swym sztabem i ustalić plan działania, jak to powinien uczynić każdy sumienny dowódca, zamiast rzucać się na oślep w wir improwizacji, czego najbardziej nienawidził.

Niewiele czasu potrzebował na stwierdzenie, że ludzie jego systematycznie uprawiali sabotaż. Hughes i Reeves nie mogli powstrzymać się od okrzyków na widok zdumiewających rezultatów ich działalności.

–Wspaniały nasyp kolejowy! – powiedział Hughes. – Sir, proponuję, aby pan wyróżnił jego wykonawców w rozkazie pułkowym. I pomyśleć, że po tym miały jechać pociągi z amunicją!

Pułkownik nie uśmiechnął się.

–Piękna praca! – dorzucił kapitan Reeves, były inżynier robót publicznych. – Nikt, będący przy zdrowych zmysłach, nie zgadłby, że oni chcą puścić pociąg po tym torze saneczkowym. Wolałbym raz jeszcze stawić czoło armii japońskiej niż odbyć podróż po takim torze, Sir.

Pułkownik, w dalszym ciągu poważny, spytał:

–Czy pańskim zdaniem, Reeves, pańskim zdaniem jako technika, wszystko to tutaj może się na cokolwiek przydać?

–Nie sądzę, Sir – odparł Reeves po namyśle. – Szybciej by poszło, gdyby zostawić cały ten kram i zbudować inną linię trochę dalej.

Pułkownik Nicholson wydawał się coraz bardziej pogrążony w myślach. Kiwał głową i szedł dalej w milczeniu. Zależało mu na obejrzeniu całego miejsca pracy przed

wyrobieniem własnego sądu.

Zbliżali się do rzeki Kwai. Wokół przyszłej linii kolejowej krzątało się około pięćdziesięciu ludzi, prawie nagich, noszących jedynie płócienny trójkąt, który Japończycy wydawali jako ubranie robocze.

Obok nich przechadzał się strażnik z karabinem na ramieniu. Jedni w pewnej odległości kopali ziemię, inni przenosili ją na bambusowej macie i wyrzucali po obu stronach linii wytyczonej białymi palikami. Linia ta początkowo biegła prostopadle do stromego brzegu rzeki, ale dzięki perfidnej pomysłowości jeńców udało się poprowadzić ją niemal równoległe do niego. Inżyniera japońskiego tu nie było. Można go było dostrzec po drugiej stronie rzeki, gestykulującego pośrodku innej grupy jeńców, którą co rano tratwami przewożono na lewy brzeg. Słychać było także jego wrzaski.

–Kto wytyczył tę linię palikami? – spytał pułkownik przystając.

–”On” to zrobił, Sir – odparł angielski kapral stając na baczność przed swym dowódcą i wskazując palcem na inżyniera. – „On” to zrobił, ale ja mu troszeczkę pomogłem. Po jego odejściu dokonałem małej poprawki. Nie zawsze zgadzamy się w poglądach, Sir.

I ponieważ strażnik nieco się oddalił, skorzystał z tego, żeby w milczeniu zmrużyć oko. Pułkownik Nicholson nie odpowiedział na ten porozumiewawczy znak. Był równie ponury jak przedtem.

–Widzę to – powiedział lodowatym tonem.

Poszedł naprzód bez dalszych komentarzy, aż zatrzymał się przed innym kapralem. Ten znów z pomocą kilku ludzi i z wielkim nakładem sił usuwał z miejsca pracy ogromne korzenie, wciągając je na szczyt wzniesienia zamiast zrzucać w dół. A wszystko to działo się pod tępym spojrzeniem japońskiego strażnika.

–Ilu ludzi pracuje dziś w tej grupie? – rozkazującym tonem zapytał pułkownik.

Strażnik wytrzeszczył na niego oczy i zastanawiał się, czy wolno mu pozwalać na takie wypytywanie jeńców; ale ton był tak autorytatywny, że nie ruszył się z miejsca. Kapral poderwał się na baczność i odpowiedział z wahaniem:

–Dwudziestu albo dwudziestu pięciu, Sir. Nie jestem całkiem pewny. Jeden człowiek zachorował, jak tylko przyszliśmy na miejsce. Dostał jakiegoś zawrotu... I to nieoczekiwanego, Sir, bo podczas pobudki był całkiem zdrowy. Trzech czy czterech kolegów „musiało” go odprowadzić do szpitala, Sir, bo sam nie mógł iść. Tamci jeszcze nie wrócili. To był najtęższy i najsilniejszy człowiek w grupie, Sir. W tych warunkach nie będziemy mogli wykonać naszej normy, Sir. Zdaje się, że wszystkie

nieszczęścia sprzysięgły się przeciw tej kolei.

–Kaprale – rzekł pułkownik – powinni wiedzieć dokładnie, ilu ludzi mają pod swoimi rozkazami... A jaka jest ta norma?

–Metr sześcienny ziemi dziennie na jednego człowieka, Sir. Wydobyć i przenieść. Ale przy tych przeklętych korzeniach, Sir, wydaje mi się, że to będzie ponad nasze siły.

–Widzę to – powiedział pułkownik jeszcze bardziej oschle.

Oddalił się mrużąc coś niezrozumiale przez zęby. Hughes i Reeves szli za nim.

Razem ze swą swią wszedł na wzniesienie, z którego mógł ogarnąć wzrokiem rzekę i cały teren pracy. Rzeka Kwai miała na tym odcinku więcej niż sto metrów szerokości, a strome brzegi wznosiły się bardzo wysoko ponad poziom wody. Pułkownik obejrzał teren ze wszystkich stron, potem przemówił do swych podkomendnych. Wygłaszał oklepane frazesy, ale czynił to głosem, który odzyskał całą swą siłę.

–Ci ludzie, mam na myśli Japończyków, dopiero co wyszli ze stanu dzikości, i to za szybko. Próbowali naśladować nasze metody, ale ich sobie nie przyswoili. Odbierzcie im wzory, a będą zgubieni. Tutaj, w tej dolinie, nie może się im udać przedsięwzięcie, które wymaga odrobiny doświadczenia. Nie wiedzą o tym, że zyskuje się na czasie, jeśli pomyśli się trochę na początku, zamiast coś robić bez ładu i składu. Co pan o tym sądzi, Reeves? Linie kolejowe i mosty to pański resort.

–Zapewne, Sir – odparł kapitan z instynktownym ożywieniem. – w Indiach wykonałem ponad dziesięć budowli tego typu. Z tego materiału, który znajduje się w dżungli, i z tymi robotnikami, którymi dysponujemy, wykwalifikowany inżynier zbudowałby ten most w niecałe sześć miesięcy... Przyznaję, że są chwile, kiedy ich nieudolność doprowadza mnie do pasji!

–Mnie także – oświadczył Hughes. – Wyznaję, że widok tej anarchii czasem mnie irytuje, kiedy tak łatwo można by...

–A mnie? – przerwał pułkownik. – Myślicie, że mnie bawi ten skandal? To, co zobaczyłem dziś rano, doprawdy mną wstrząsnęło.

–W każdym razie sądzę, że co do inwazji w Indiach, to możemy być spokojni, Sir – rzekł śmiejąc się kapitan Reeves – jeśli, jak twierdzą, ta linia ma im do tego służyć. Most na rzece Kwai nie jest jeszcze gotów na przyjęcie ich pociągów!

Pułkownik Nicholson szedł za własną myślą, a niebieskie oczy przenikliwie lustrowały współpracowników.

–Gentlemen – powiedział – sądzę, że potrzeba nam będzie dużo stanowczości, aby z powrotem ująć w karby naszych ludzi. Nauczyli się w tych warunkach lenistwa i niedbalstwa, nie licujących z godnością żołnierzy angielskich. Musimy być cierpliwi i taktowni, gdyż nie są oni bezpośrednio odpowiedzialni za ten stan rzeczy. Powinni czuć nad sobą władzę, a tego ich pozbawiono. Bicie nie potrafi jej zastąpić, oglądaliśmy właśnie tego dowody... Bezlądna krzątanina, bez żadnych pozytywnych wyników. Japończycy sami dowiedli, że nie mają pojęcia o dowodzeniu ludźmi.

Zapadło milczenie, podczas którego dwaj oficerowie zastanawiali się w duchu nad istotnym znaczeniem tych słów. A słowa były jasne. Bez niedomówień. Pułkownik Nicholson mówił ze zwykłą sobie prostotą. Jeszcze przez chwilę głęboko się namyślał, a potem podjął:

–A zatem na początek polecam panom, podobnie jak polecę to wszystkim oficerom, daleko idącą wyrozumiałość. Ale nasza cierpliwość nie może w żadnym wypadku posuwać się aż do słabości, gdyż moglibyśmy wkrótce stoczyć się na dno tak samo jak te pierwotne istoty. Zresztą sam będę mówił z ludźmi. Od dziś musimy poprawić najbardziej rażące błędy. Oczywiście ludziom nie wolno opuszczać pracy pod byle jakim pretekstem. Kaprale muszą bez namysłu odpowiadać na zadawane im pytania. Nie mam potrzeby przypominać panom o konieczności stanowczego powstrzymywania wszelkich prób sabotażu czy innych wybryków. Linia kolejowa musi biec poziomo, a nie może przypominać toru saneczkowego, jak pan to bardzo słusznie zauważył, Reeves...

CZĘŚĆ DRUGA

I

W Kalkucie pułkownik Green, szef Oddziału 316, uważnie studiował raport, który został mu przedłożony po przebyciu skomplikowanej drogi urzędowej. Z pół tuzina tajnych urzędów wojskowych i paramilitarnych opatrzyło ten raport swymi uwagami. Oddział 316 („Plastic Destructions Co. Ltd.” [\[2\] – jak nazywali go wtajemniczeni](#)) [nie miał jeszcze tego znaczenia, jakie później, pod koniec wojny, osiągnął na Dalekim Wschodzie. Ale już wtedy interesował się żywo, z zapalem i w określonym celu, inwestycjami japońskimi w okupowanych Malajach, Burmie, Syjamie i Chinach. Ubóstwo swych środków Oddział rekompensował zuchwalstwem agentów.](#)

–Doprawdy, pierwszy raz widzę, że wszyscy się zgadzają – mruknął pułkownik Green. – Musimy coś zrobić.

Pierwsza część tej uwagi skierowana była pod adresem licznych tajnych agentur, z którymi Oddział 316 miał obowiązek współpracować, a z których każda zazdrośnie strzegła własnej odrębności i metod działania. Rezultatem tego stanu rzeczy były często zupełnie sprzeczne opinie, jakie wymienione urzędy reprezentowały w określonej sprawie. Pułkownika Greena, który musiał ustalać plan działania na podstawie otrzymanych informacji, doprowadzało to do wściekłości. Domeną Oddziału 316 była „akcja” i pułkownik Green nie pozwalał sobie na teoretyczne rozważania i dyskusje, o ile nie były z nią bezpośrednio związane. Był nawet znany z tego, że co najmniej raz dziennie wykladał tę koncepcję swoim podwładnym. Dużo czasu zabierały mu próby wydobycia z raportów prawdy; brał przy tym pod uwagę nie tylko same informacje, lecz także psychiczne nastawienie ludzi, od których pochodziły (optymizm, pesymizm, chęć upiększania faktów lub, przeciwnie, całkowitą niezdolność w ich interpretowaniu).

Specjalne miejsce w sercu pułkownika Greena zajmował sam wielki, osławiony, niezrównany Intelligence Service, który, czując się z natury powołanym jedynie do spraw intelektu, systematycznie odmawiał współpracy z ciałem wykonawczym, zamykał się w wieży z kości słoniowej, nie pozwalał wglądać w swoje najcenniejsze dokumenty nikomu, kto mógłby z nich skorzystać, pod pretekstem, że są na to zbyt tajne, i starannie składał je w ogniotrwałej kasie. Pozostawały tam przez całe lata, dopóki nie stały się zupełnie bezużyteczne, a mówiąc ściślej, dopóki – długo po zakończeniu wojny – któryś z wybitnych mężów nie uczuł potrzeby spisania przed śmiercią swych pamiętników, aby zwierzyć się potomnym i wyjawić oszołomionemu narodowi, ile razy tego to a tego dnia i w takich to a takich okolicznościach Intelligence Service wnikliwie i całkowicie przejrzał plan nieprzyjaciela: miejsce i czas, w którym tenże powinien być uderzyć, zostały z góry precyzyjnie określone.

Przewidywania te sprawdziły się co do joty, ponieważ rzeczony nieprzyjaciel istotnie uderzył w danych okolicznościach i odniósł zwycięstwo, które również zostało przewidziane.

W ten przynajmniej sposób – może nieco przesadny – patrzył na te sprawy pułkownik Green, który w tym, co dotyczyło informacji, nie uznawał „sztuki dla sztuki”. Mruknął coś niezrozumiale, myśląc o jakichś dawnych historiach; ale później, wobec ścisłości i cudownej zgodności informacji w obecnym przypadku, musiał przyznać, niemal ze smutkiem, że tym razem wywiady wykonały dobrą robotę. Pocieszył się – niezbyt lojalnie – myślą, że informacje zawarte w raporcie były już od dawna znane w całych Indiach. Wreszcie zebrał je i uporządkował, myśląc o tym, jak je wykorzystać.

„Kolej burmańsko – syjamska znajduje się w trakcie budowy. Sześćdziesiąt tysięcy jeńców alianckich, spędzonych przez Japończyków, tworzy drużyny robocze i pracuje w straszliwych warunkach. Mimo ogromnych strat można przypuszczać, że praca ta, mająca dla wroga szczególne znaczenie, zostanie ukończona w ciągu kilku miesięcy... W załączeniu prowizoryczny szkic trasy. Zawiera on wiele miejsc, w których na rzekach mają powstać drewniane mosty...”

Doszedłszy w myślach do tego punktu pułkownik Green poczuł, że wrócił mu dobry humor, i uśmiechnął się z zadowoleniem. Czytał dalej:

„Lud syjamski jest bardzo niezadowolony ze swych opiekunów, którzy zarekwirowali ryż i których wojsko zachowuje się jak w podbitym kraju. Szczególnie wzburzeni są wieśniacy mieszkający w rejonie linii kolejowej. Wielu wyższych oficerów syjamskiej armii, a nawet kilku członków dworu królewskiego nawiązało potajemnie kontakt z aliantami; gotowi są poprzeć wewnątrz kraju akcję antyjapońską, do której zgłaszają się dobrowolnie liczni partyzanci. Proszą o broń i o instruktorów.”

–Nie ma się co namyślać – zdecydował pułkownik Green. – Muszę wysłać patrol w rejon tej kolei.

Powziąwszy decyzję zastanawiał się długo nad rozmaitymi przymiotami, jakie powinien posiadać dowódca takiej wyprawy. Po żmudnych eliminacjach wezwał majora Shearsa, dawnego oficera kawalerii, który przeszedł do Oddziału 316 w okresie, gdy ta specjalna instytucja dopiero się tworzyła, i sam był właściwie jednym z jej założycieli. Sam Oddział powstał tylko dzięki uporczywym zabiegom poszczególnych osób popieranych bez zapału przez kilka osobistości ze świata wojskowego. Shears wrócił właśnie z Europy, gdzie z powodzeniem wykonał kilka delikatnych misji. Pułkownik Green odbył z nim długą rozmowę, udzielił mu wszelkich informacji i wytyczył główne linie jego zadania.

–Weźmie pan z sobą trochę sprzętu – powiedział. – Resztę zrzuci się panu na spadochronach w miarę potrzeb. Co do samej akcji, zorientuje się pan na miejscu, ale niech się pan nie spieszy zanadto. Moim zdaniem trzeba raczej poczekać, aż skończą budowę linii, i wtedy zadać decydujący cios, a nie budzić czujności przez akcje bez większego znaczenia.

Dokładne określenie charakteru akcji i rodzaju sprzętu, o który chodziło, było zbyteczne. Sens istnienia „Plastic Destructions Co. Ltd.” wykluczał potrzebę wszelkich dodatkowych wyjaśnień.

W międzyczasie Shears miał nawiązać kontakt z Syjamczykami, upewnić się o ich dobrej woli i lojalności, a potem rozpocząć szkolenie partyzantów.

–Wyobrażam sobie, że na razie wystarczy trzech ludzi – zaproponował pułkownik Green. – Co pan o tym myśli?

–Wydaje mi się to słuszne, Sir – zgodził się Shears. – Trzon oddziału musi stanowić przynajmniej trzech Europejczyków; jeśli nas będzie więcej, ryzykujemy zwrócenie na siebie uwagi.

–A więc w tym punkcie zgadzamy się. Kogo chce pan zabrać ze sobą?

–Proponuję Wardena, Sir.

–Kapitana Wardena? Profesora Wardena? Ma pan szczęśliwą rękę, Shears. Razem z panem to będzie dwóch naszych najlepszych agentów.

–O ile zrozumiałem, Sir, chodzi tu o ważną misję – powiedział Shears obojętnym tonem.

–Chodzi o bardzo ważną misję, tak z dyplomatycznego jak i operatywnego punktu widzenia.

–Warden jest właśnie człowiekiem, jakiego mi potrzeba, Sir. Były profesor orientalistyki! Zna język syjamski i będzie mógł się porozumieć z krajowcami. Jest rozsądny i opanowany... na tyle, na ile to jest potrzebne.

–Bierz pan Wardena. A kto trzeci?

–Muszę się zorientować, Sir. Prawdopodobnie któryś z młodych absolwentów kursu. Jest między nimi wielu, którzy by się nadali. Powiem panu jutro.

Oddział 316 założył w Kalkucie szkołę, w której kształcono młodych ochotników.

–Dobrze. Proszę spojrzeć na tę mapę. Zaznaczyłem na niej punkty, w których

można dokonać zrzutów, i te, w których, jak zapewniają agenci, można ukryć się u Syjamczyków bez ryzyka, że was Japończycy odkryją. Rozpoznanie lotnicze zostało już przeprowadzone.

Shears pochylił się nad mapą i nad powiększonymi zdjęciami lotniczymi. Uważnie badał rejon, który Oddział 316 wybrał jako teren jego dywersyjnej działalności w Syjamie. Poczł dreszcz, który przenikał go zawsze, ilekroć miał wyruszyć na nowe zadanie do nieznanego kraju. Wszystkie misje Oddziału 316 miały w sobie coś podniecającego, ale tym razem atrakcyjność przygody wzmagał charakter tych gór, pokrytych dżunglą i zamieszkałych przez lud przemytników i myśliwych.

–Wiele miejsc wchodzi w rachubę – podjął pułkownik Green. – Na przykład ta mała, odosobniona wioska w pobliżu granicy burmańskiej, zdaje się o dwa lub trzy dni marszu od linii kolejowej. Według pobieżnego szkicu mapy, kolej ma przechodzić przez rzekę... przez rzekę Kwai, jeśli mapa jest w porządku. Tam będzie prawdopodobnie jeden z najdłuższych mostów na całej linii.

Shears uśmiechnął się, podobnie jak to uczynił jego szef, na myśl o wielu punktach, w których linia będzie przebiegała przez rzeki.

–Zastrzegam się, że przemyślę to jeszcze, Sir, ale na razie wydaje mi się, że to miejsce byłoby doskonałe na główną kwaterę.

–Dobrze. Pozostaje więc tylko zorganizować zrzuty. Myślę, że zrobi się to za trzy lub cztery tygodnie, jeśli Syjamczycy się zgodzą. Czy pan już kiedyś skakał?

–Nigdy, Sir. Spadochroniarstwo weszło w progi ani wyszkolenia, kiedy wyjechałem z Europy. Zdaje mi się, że Warden także nie skakał.

–Proszę chwilę poczekać. Zapytam naszych specjalistów, czy mogą przeprowadzić z wami kilka skoków treningowych.

Pułkownik Green ujął za słuchawkę, połączył się z władzami RAF – u i wyjawil swą prośbę. Odpowiedź była dość długa i widocznie niezadowolająca. Shears, który nie spuszczał go z oczu, zauważył, że pułkownik stracił humor.

–Czy to naprawdę jest wasze ostateczne zdanie? – spytał pułkownik Green.

Słuchał jeszcze przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, potem odłożył słuchawkę. Po chwili milczenia zdecydował się wreszcie na udzielenie wyjaśnień.

–Chce pan poznać opinię specjalisty? Dobrze. Powiedział dosłownie: „Jeśli pan absolutnie upiera się przy tym, żeby pańscy ludzie wykonali kilka skoków treningowych, umożliwię im to, ale szczerze odradzam. Chyba że znajdą sześć miesięcy czasu na poważną naukę. Moje doświadczenia z tego rodzaju wyczynami w

takim terenie sprowadzają się do następujących wniosków: jeśli wykonają tylko jeden skok, niech pan uważa, mają pięćdziesiąt szans na sto, że sobie coś połamią. Jeśli skoczą drugi raz, mają osiemdziesiąt szans na sto. Przy trzecim skoku jest absolutnie pewne, że nie wyjdą cało. Rozumie pan? To nie jest kwestia treningu, to jest rachunek prawdopodobieństwa. Najrozsądniej będzie, jeśli wykonają tylko jeden skok: dobry.” Tak właśnie powiedział. Pan musi zdecydować.

–Jedną z wielkich zalet naszej nowoczesnej armii jest to, że mamy specjalistów od rozwiązywania wszelkich trudności, Sir – poważnie odparł Shears. – Nie możemy być od nich mądrzejsi. a w dodatku opinia tego specjalisty wydaje mi się zupełnie rozsądna. Jestem pewien, że ścisły umysł Wardena ją oceni i że będzie mojego zdania. Tak, jak nam poradził, wykonamy jeden skok... dobry.

–Odnoszę wrażenie, Reeves, że nie jest pan zadowolony – powiedział pułkownik Nicholson do kapitana saperów, którego postawa wyrażała stłumiony gniew. – o co chodzi?

–Niezadowolony!... Idzie o to, że nie możemy dalej pracować w ten sposób, Sir. Zapewniam pana, że to niemożliwe. Sam zresztą postanowiłem dzisiaj panu o tym powiedzieć. Major Hughes także się ze mną zgadza.

–O co idzie? – powtórzył pułkownik marszcząc brwi.

–Jestem w zupełności zdania Reevesa, Sir – rzekł Hughes, który opuścił miejsce robót, aby spotkać się ze swym dowódcą. – Ja także muszę panu oświadczyć, że to nie może trwać dłużej.

–Ale co?

–Jesteśmy pogrążeni w całkowitej anarchii. Nigdy, w całej mojej karierze, nie obserwowałem podobnej ignorancji ani takiego braku metody. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Drepczemy w miejscu. Wszyscy wydają rozkazy bez związku. Ci ludzie, Japończycy, nie mają naprawdę żadnego pojęcia o komenderowaniu. Jeśli będą się uporczywie wtrącać do roboty, nigdy nie zrobi się jej dobrze.

Od czasu kiedy angielscy oficerowie stanęli na czele grup, prace niewątpliwie szły rażniej, ale choć można było zauważyć postęp tak pod względem ilości, jak i jakości, było rzeczą oczywistą, że nie wszystko obraca się na lepsze.

–Wytłumaczcie się, panowie. Pan pierwszy, Reeves.

–Sir – powiedział kapitan wyciągając z kieszeni kartkę papieru – zanotowałem tylko największe błędy, inaczej lista byłaby zbyt długa.

–Proszę mówić. Po to tu jestem, żeby wysłuchać uzasadnionych skarg i rozważyć wszelkie sugestie. Czuję doskonale, że coś tu nie jest w porządku. Do panów należy powiedzieć mi co.

–A więc po pierwsze, Sir, to szaleństwo budować most w tym miejscu.

–Dlaczego?

–Bagienne dno, Sir! Kto kiedy słyszał, żeby budować most kolejowy na ruchomym podłożu. Tylko ci tutaj mogą mieć podobne pomysły. Założę się z panem, Sir, że most rozleci się pod ciężarem pierwszego pociągu.

–To poważna sprawa, Reeves – powiedział pułkownik Nicholson, utkwivszy jasne oczy w swym współpracowniku.

–Bardzo poważna, Sir, i próbowałem tego dowieść japońskiemu inżynierowi... Inżynierowi? Mój Boże, raczej niecnemu kombinatorowi. Jak można wytłumaczyć coś typowi, który nie ma zielonego pojęcia, co to jest wytrzymałość gruntu, który szeroko otwiera oczy, gdy mu się podaje liczby określające nacisk, i który nie umie nawet przyzwoicie mówić po angielsku. A jednak starałem się być cierpliwym, Sir. Próbowałem wszystkiego, żeby go przekonać. Przeprowadziłem nawet dla niego małe doświadczenie, sądząc, że nie będzie mógł zaprzeczyć, skoro zobaczy na własne oczy. Ale szkoda było zachodu. Uparł się, żeby zbudować most na tym bagnie.

–Doświadczenie, Reeves? – zapytał pułkownik Nicholson, w którym słowo to zawsze wzbudzało duże zainteresowanie.

–Bardzo proste, Sir. Dziecko by je zrozumiało. Widzi pan ten słup w wodzie, tuż przy brzegu? To ja kazałem go wbić młotem. Otóż wszedł on już w ziemię bardzo głęboko, a nie trafiliśmy jeszcze na twarde gruntu. Za każdym razem, kiedy uderzy się w niego z góry, Sir, zapada się jeszcze głębiej, tak jak wszystkie filary mostu zapadną się pod ciężarem pociągu, gwarantuję to. Trzeba by założyć fundamenty z betonu, a na to nie mamy środków.

Pułkownik uważnie obejrzał słup i zapytał Reevesa, czy mógłby sam zobaczyć takie doświadczenie. Reeves wydał rozkaz. Kilku jeńców zbliżyło się i uchwyciło linę. Ciężki młot, zawieszony na rusztowaniu, spadł dwa lub trzy razy na głowicę pala, który zagłębił się w widoczny sposób.

–Widzi pan, Sir – triumfował Reeves. – Moglibyśmy uderzać weń do jutra, wciąż byłoby to samo. I wkrótce zniknąłby pod wodą.

–Dobrze – odparł pułkownik – a w tej chwili na ile stóp jest zagłębiony w ziemi?

Reeves podał dokładną cyfrę, którą miał zanotowaną, i dorzucił, że najwyższe drzewa z dżungli nie byłyby dość długie na to, by sięgnąć twardego gruntu.

–Doskonale – stwierdził pułkownik Nicholson z widoczną satysfakcją. – To jasne, Reeves. Dziecko, jak pan mówi, potrafiłoby to zrozumieć. Podoba mi się to doświadczenie. Inżynier nie był przekonany? Ale ja jestem; i proszę sobie dobrze zapamiętać, że to jest istotne. A teraz, jakie rozwiązanie pan proponuje?

–Przesunąć most, Sir. Wydaje mi się, że mniej więcej o milę stąd znalazłoby się właściwe miejsce. Oczywiście, trzeba by to sprawdzić...

–Trzeba to sprawdzić, Reeves – powiedział pułkownik spokojnym głosem – i trzeba

mi dostarczyć danych, żebym mógł ich przekonać.

Zanotował to sobie jako pierwszy punkt i zapytał:

–Co dalej, Reeves?

–Materiał do budowy mostu, Sir. Ścinać takie drzewa! Nasi ludzie zaczęli je sprytnie wybierać, nieprawdaż? Ale oni przynajmniej wiedzieli, co robią. a z tym nieszczęsnym inżynierem jest niewiele lepiej. Każę ścinać byle co i byle jak, nie troszcząc się o to, czy drzewa są twarde czy miękkie, sztywne czy giętkie i czy wytrzymają ciężar, jaki im przypadnie. To hańba, Sir!

Pułkownik Nicholson zrobił drugą notatkę na kawałku papieru, który zastępował mu notes.

–Co jeszcze, Reeves?

–Zachowałem to na koniec, gdyż, być może, jest to sprawa najważniejsza, Sir. Mógł pan to spostrzec tak jak ja: rzeka ma przynajmniej czterysta stóp szerokości. Brzegi są wysokie. Nawierzchnia mostu będzie się wznosić o sto stóp ponad wodą. To poważne zadanie, a nie dziecinna zabawka. A więc prosiłem wiele razy tego inżyniera, żeby mi pokazał swój plan budowy. A on potrząsnął głową, tak jak oni to wszyscy robią, kiedy są zakłopotani... dopóki wreszcie kategorycznie tego nie zażądałem. Otóż... może pan w to wierzyć lub nie, Sir, ale planu w ogóle nie ma. On nie zrobił planu! i nie ma zamiaru go zrobić!... Wydawało mi się, że nie rozumie, o co w ogóle chodzi. Ma zamiar zbudować ten most tak, jakby przerzucał kładkę przez rów; kilka pali wbitych na chybił trafił i nad nimi parę belek! To się nie będzie trzymać, Sir. Naprawdę, wstyd mi, że przykładam ręki do tego sabotażu.

Był tak szczerze oburzony, że pułkownik Nicholson uznał za właściwe wypowiedzieć kilka słów uspokojenia:

–Niech się pan nie denerwuje, Reeves. Dobrze pan zrobił, wyrzucając z siebie to, co panu leżało na sercu. Doskonale rozumiem pański punkt widzenia. Każdy posiada swą miłość własną.

–Z pewnością, Sir. Mówię całkiem szczerze. Wolałbym w dalszym ciągu znosić ich prześladowania niż przyczynić się do narodzin tej potworności.

–Zgadzam się z panem całkowicie – rzekł pułkownik, notując sobie ten ostatni punkt. – Sytuacja jest rzeczywiście bardzo poważna i nie możemy pozwolić, żeby sprawy toczyły się na przyszłość w ten sposób. Zwróć na to uwagę, przyrzekam panu... Teraz pan ma głos, Hughes.

Major Hughes był równie podniecony jak jego kolega. Ten stan psychiczny był u

niego dość dziwny, gdyż z natury miał usposobienie spokojne.

–Sir, nigdy nie uda nam się osiągnąć na budowie dyscypliny ani skłonić naszych ludzi do pracy na serio, jeśli japońscy strażnicy będą się co chwilę wtrącać do naszych rozkazów. Proszę na nich spojrzeć, Sir, toż to prawdziwe bydlęta! Nie dalej jak dziś rano podzieliłem każdą grupę pracującą przy nasypie na trzy drużyny: pierwsza kopała ziemię, druga ją przenosiła, trzecia rozrzucała i równała groblę. Ja sam zadałem sobie trud ustalenia hierarchii tych grup i sprecyzowania ich zadań tak, aby zachować synchronizację...

–Właśnie – powiedział pułkownik, znowu bardzo tym zainteresowany. – Rodzaj specjalizacji.

–Otóż to, Sir... Pomijając wszystko inne, znam się na pracach ziemnych! Zanim zostałem dyrektorem, byłem kierownikiem robót. Kopałem szyby o głębokości ponad trzysta stóp! a więc dziś rano moje drużyny, podzielone w ten sposób, zabrały się do pracy. Robota szła wspaniale. Ludzie już dobrze przekroczyli normę określoną przez Japończyków. Świetnie! i oto nadchodzi jedna z tych małp, zaczyna rzucać się, wrzeszczeć i żąda połączenia z powrotem tych trzech grup w jedną. Bo to łatwiejsze do nadzoru, przypuszczam... Idiota! Rezultat – zamęt, bałagan, anarchia. Ludzie przeszkadzają sobie nawzajem i praca nie postępuje naprzód. Niedobrze się robi, Sir. Proszę na nich spojrzeć.

–Rzeczywiście, widzę – zgodził się pułkownik Nicholson po dokładnej obserwacji. – Zauważyłem już ten nieporządek.

–Co więcej, Sir, ci głupcy ustalili normę w wysokości jednego metra sześciennego ziemi na człowieka, nie wiedząc, że nasi żołnierze, dobrze kierowani, mogą wykonać o wiele więcej. Mówiąc między nami, Sir, to jest norma dla dziecka. A oni, kiedy widzą, że każdy już wykopał, wywiózł i rozrzucił swój metr sześcienny, Sir, ogłaszają koniec pracy. Mówię panu, to durnie! Choćby zostało tylko parę brył ziemi, którą trzeba przenieść, żeby połączyć dwa odcinki nasypu, czy przypuszcza pan, że oni zażądają dodatkowego wysiłku, i to nawet wtedy, gdy słońce jeszcze jest wysoko? Nigdy w życiu! Każą przerwać pracę, Sir. Jakżeż ja mogę wydać rozkaz dalszej pracy? Jak mógłbym spojrzeć w twarz moim ludziom?

–Naprawdę myśli pan, że ta norma jest niska? – spytał pułkownik Nicholson.

–Jest całkiem po prostu śmieszna, Sir – wtrącił się Reeves. – w Indiach, w klimacie równie ciężkim jak ten i w terenie o wiele trudniejszym, kulisi z łatwością wykopują półtora metra sześciennego.

–Tak i mnie się zdawało – mruknął pułkownik. – Kiedyś w Afryce zdarzyło mi się kierować pracą tego rodzaju przy budowie drogi. Moi ludzie pracowali o wiele

szybciej... Oczywiście, tak dłużej być nie może – zdecydował energicznie. – Dobrze, że mi panowie o tym powiedzieli.

Raz jeszcze przeczytał swoje notatki, zastanowił się, a potem zwrócił do swych dwóch współpracowników:

–Czy chcecie, panowie, wiedzieć, jaki z tego wszystkiego, moim zdaniem, wypływa wniosek? Niemal wszystkie braki, o których panowie mnie powiadomili, mają jeden wspólny początek: absolutny brak organizacji. Ja zresztą w pierwszym rządzie jestem temu winien: trzeba było załatwić te sprawy na samym początku. Zawsze traci się czas, jeśli chce się iść naprzód zbyt szybko. Przede wszystkim musimy stworzyć właśnie to: zwykłą organizację.

–Słusznie powiedziane, Sir – zgodził się Hughes. – Przedsięwzięcie tego rodzaju skazane jest na niepowodzenie, jeśli od samego początku nie posiada solidnej podstawy.

–Najlepiej będzie, jeśli zrobimy wspólną naradę – powiedział pułkownik Nicholson.

–Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć... Japończycy i my. Po to, aby ustalić rolę i odpowiedzialność każdego z nas, konieczna jest wspólna narada. Narada, otóż to! Dziś jeszcze pomówią o tym z Saito.

Narada odbyła się w kilka dni później. Saito niezbyt dobrze zrozumiał, o co chodziło, ale zgodził się wziąć w niej udział i nie ośmielił się zażądać dodatkowych wyjaśnień w obawie, że skompromituje się nieznaną zwyczajów przyjętych przez cywilizację, której nienawidził, lecz która wbrew jego woli wywierała na nim wrażenie.

Pułkownik Nicholson ułożył listę spraw do omówienia i razem z oficerami czekał w długim baraku, który służył za jadalnię. Saito nadszedł w towarzystwie inżyniera, kilku przybocznych strażników i trzech kapitanów, których przyprowadził dla powiększenia swej świty, chociaż nie rozumieli ani słowa po angielsku. Oficerowie brytyjscy podnieśli się z miejsc i stanęli na baczność. Pułkownik przepisowo zasalutował. Saito wydawał się zbity z tropu. Przybył tutaj z zamiarem umocnienia swego autorytetu i od razu wyraźnie uczuł swoją niższość wobec tych honorów, oddawanych z tradycyjną i majestatyczną poprawnością.

Zapanowało dość długie milczenie, podczas którego pułkownik Nicholson pytającym wzrokiem patrzył na Japończyka, gdyż jemu oczywiście przysługiwało prawo przewodniczenia. Konferencja nie mogła się rozpocząć bez przewodniczącego. Zachodnie obyczaje i zachodnia uprzejmość kazały pułkownikowi czekać, aż tamten uzna obrady za otwarte. Lecz Saito czuł się coraz bardziej nieswojo i z trudem znosił sytuację, w której stał się centralnym punktem zainteresowania dla zebranych. Uczuł się bardzo małym wobec tych zwyczajów cywilizowanego świata. Jednakże przed podwładnymi nie mógł się przyznać, że ich nie rozumie, a poza tym paraliżowała go obawa, żeby zabierając głos nie popełnić jakiegoś błędu. Mały inżynier japoński wydawał się jeszcze mniej pewny siebie.

Saito zrobił ogromny wysiłek, aby się opanować. Tonem, w którym brzmiało niezadowolenie, zapytał pułkownika Nicholsona, co ma do powiedzenia. Uważał, że to będzie dla niego najmniej kompromitujące. Widząc, że nic więcej z niego nie wyciągnie, pułkownik zdecydował się przejąć inicjatywę i wygłosić przemówienie, którego strona angielska słuchała z wzrastającym niepokojem. Anglicy zaczęli już bowiem tracić nadzieję, że usłyszą kiedyś takie słowa. Pułkownik rozpoczął od słowa gentlemen, po czym oświadczył, że otwiera naradę, i w kilku słowach wyłożył swoje postulaty: należy mianowicie odpowiednio zorganizować prace przy budowie mostu na rzece Kwai i ustalić ogólne wytyczne planu działania, określając dokładnie, kto i za co jest odpowiedzialny. Clipton, który był również obecny – pułkownik wezwał go, gdyż jako lekarz miał także coś do powiedzenia na temat ogólnej organizacji – zauważył, że jego dowódca odzyskał dawny imponujący wygląd i że jego swoboda wzrastała, w miarę jak pogłębiało się zakłopotanie Saito.

Po krótkiej, klasycznej części wstępnej pułkownik przeszedł do rzeczy i poruszył pierwszy, zasadniczy problem.

–Przede wszystkim, pułkownik Saito, musimy pomówić o miejscu budowy mostu. Miejsce to, jak sądzę, wybrano nieco zbyt pośpiesznie i teraz wydaje nam się, że koniecznie trzeba je zmienić. Mamy na widoku punkt znajdujący się mniej więcej o milę stąd, w kierunku biegu rzeki. Oczywiście pociąga to za sobą dodatkowe przedłużenie toru. Lepiej też będzie przenieść cały obóz i zbudować nowe baraki w pobliżu miejsca pracy. Myślę jednak, że w tym wypadku nie wolno się nam wahać.

Saito chrząknął chrapliwie i Clipton pomyślał, że zaczyna wpadać w gniew. Łatwo było wyobrazić sobie, co przeżywał. Upłynęło już sporo czasu; minął z górą miesiąc i nie wykonano jeszcze żadnej efektywnej pracy, a oto teraz proponują mu znaczne powiększenie zakresu robót. Zerwał się z miejsca, z ręką zaciśniętą na głowicy szabli, ale pułkownik Nicholson nie dał mu czasu na żadne wystąpienie.

–Pozwoli pan, pułkownik Saito – powiedział władcym tonem. – Na moje polecenie mój współpracownik kapitan Reeves, oficer saperów, który jest u nas specjalistą w sprawach budowy mostów, przygotował małe sprawozdanie. W wyniku tego sprawozdania...

Dwa dni przedtem, zbadawszy dokładnie sposób pracy inżyniera japońskiego, przekonał się osobiście o jego ignorancji. Natychmiast powziął energiczne postanowienie. Chwycił swego współpracownika za ramię i krzyknął:

–Słuchaj pan, Reeves. Nigdzie nie zajdziemy z tym partaczem, który na mostach zna się jeszcze mniej ode mnie. Pan jest inżynierem, prawda? Więc weźmie się pan do tej roboty od nowa i niech pan zupełnie nie zwraca uwagi na to, co on mówi ani co robi. Przede wszystkim niech pan znajdzie właściwe miejsce pod budowę. Potem zobaczymy.

Reeves, szczęśliwy, że może znów oddać się zajęciu sprzed wojny, dokładnie przestudiował teren i wielokrotnie zbadał dno rzeki w rozmaitych miejscach. Wyszukał grunt prawie idealny pod budowę. Twardy piasek mógł świetnie wytrzymać ciężar mostu.

Zanim Saito znalazł słowa, aby wyrazić swoje oburzenie, pułkownik oddał głos Reevesowi, który wyjaśnił kilka zasad technicznych, przytoczył wielkość nacisku w tonach na cale kwadratowe, uwzględniając wytrzymałość gruntu, i wykazał, że jeśliby się upierano przy budowie mostu na bagnistym podłożu, to nie wytrzyma on ciężaru pociągów. Gdy skończył, pułkownik podziękował mu w imieniu wszystkich zebranych i podsumował:

–Wydaje mi się rzeczą oczywistą, pułkownik Saito, że aby uniknąć katastrofy, musimy przesunąć most na inne miejsce. Czy mogę zapytać o zdanie pańskiego współpracownika?

Saito przełknął wściekłość, usiadł i wdał się w ożywioną rozmowę ze swym inżynierem. Japończycy nie wysyłali do Syjamu wybitnych techników, gdyż byli oni potrzebni w przemyśle metropolii. Ten inżynier nie należał do najlepszych. Wyraźnie brakowało mu doświadczenia, pewności siebie i autorytetu. Gdy pułkownik Nicholson podsunął mu pod nos obliczenia Reevesa, zaczerwienił się, udał, że je uważnie studiuje, a w końcu zbyt zdenerwowany, żeby je sprawdzić, i całkowicie zbity z tropu, przyznał z żalosną miną, że jego kolega ma słuszność i że on sam doszedł do identycznych wniosków już przed kilkoma dniami. Była to tak upokarzająca „utrata twarzy” dla strony japońskiej, że Saito zbladł, a na jego zmienionej twarzy wystąpiły krople potu. Niepewnym gestem wyraził zgodę. Pułkownik ciągnął dalej:

–A więc w tym punkcie zgadzamy się, pułkowniku Saito. Oznacza to, że wszystkie prace wykonane po dziś dzień są bezużyteczne. Zresztą i tak trzeba by je podjąć na nowo, gdyż wykonano je błędnie.

–Kiepscy robotnicy – złośliwie burknął Saito, który szukał rewanżu. – Żołnierze japońscy zbudowaliby te dwa odcinki toru w niecałe dwa tygodnie.

–Żołnierze japońscy niewątpliwie zrobiliby to lepiej, ponieważ są przyzwyczajeni do dowódców, którzy im rozkazują. Ale mam nadzieję, pułkowniku Saito, że wkrótce będę mógł pokazać panu istotną wartość żołnierza angielskiego... Przy sposobności chciałem pana uprzedzić, że zmieniłem normę dla moich ludzi...

–Zmienił pan! – wrzasnął Saito.

–Podwyższyłem ją – spokojnie odparł pułkownik. – z jednego na półtora metra sześciennego. Leży to w ogólnym interesie i sądziłem, że zaaprobuje pan tę zmianę.

Oficer japoński osłupiał, a pułkownik wykorzystał ten moment, żeby przejść do następnej kwestii:

–Powinien pan zrozumieć, pułkowniku Saito, że my mamy nasze własne metody, i spodziewam się, że udowodnię panu ich wartość pod warunkiem, że będziemy mieć całkowitą swobodę ich zastosowania. Uważamy, że powodzenie tego rodzaju przedsięwzięcia zależy niemal w całości od ogólnej organizacji. A oto jej plan, który proponuję i który przedstawiam panu do aprobaty.

I pułkownik rozwinął plan organizacyjny, który przy pomocy swego sztabu opracował w ciągu dwu dni. Był on stosunkowo prosty, dostosowany do sytuacji, a zakres działania każdego z oficerów był doskonale przemyślany. Pułkownik Nicholson miał zarządzać całością i on jeden był osobiście odpowiedzialny wobec Japończyków. Kapitanowi Reeves powierzono wykonanie wstępnych prac teoretycznych, a równocześnie miał on być technicznym doradcą przy ich realizacji.

Major Hughes, przyzwyczajony do kierowania ludźmi, miał zostać czymś w rodzaju dyrektora przedsięwzięcia i posiadać najwyższą „władzę wykonawczą”. Podlegali mu bezpośrednio dowódcy pododdziałów, których mianowano szefami grup roboczych. Stworzono również służbę administracyjną, a na jej czele pułkownik postawił swego najlepszego podoficera gospodarczego. Miał on być odpowiedzialny za łączność, przekazywać rozkazy, kontrolować normy, rozdzielać narzędzia, dbać o ich konserwację itd.

–Taka służba jest absolutnie konieczna – dodał mimochodem pułkownik. – Proponuję, pułkowniku Saito, aby zechciał pan sprawdzić stan narzędzi rozdanych zaledwie przed miesiącem. To istny skandal...

–Usilnie nalegam na to, aby te wytyczne zostały przyjęte – powiedział pułkownik Nicholson unosząc głowę, gdy objaśnił już każdą część składową nowego organizmu i podał racje, jakimi kierowano się przy jego stworzeniu. – Jestem zresztą do pańskiej dyspozycji, jeśli pragnie pan jakichś dalszych wyjaśnień, i zapewniam pana, że wszelkie pańskie sugestie zostaną skrupulatnie przestudiowane. Czy, ogólnie biorąc, zgadza się pan na te wytyczne?

Saito z pewnością pragnąłby jeszcze dalszych wyjaśnień, ale powaga i autorytet słów pułkownika tak na niego podziałały, że zdobył się jedynie na gest wyrażający zgodę. Zwykłym kiwnięciem głowy przyjął w całości ten plan, który wykluczał wszelką inicjatywę ze strony japońskiej, a jego rolę sprowadzał prawie do zera. Ale Saito był już zdecydowany na każde upokorzenie. Był gotów do wszelkich ofiar, żeby tylko zobaczyć wreszcie filary tego mostu, z którym związana była cała jego przyszła egzystencja. Niechętnie, wbrew sobie samemu, ufał, że te dziwne przygotowania ludzi Zachodu przyśpieszą jego zbudowanie.

Zachęcony tymi pierwszymi sukcesami, pułkownik Nicholson podjął:

–Jest jeszcze jedna ważna sprawa, pułkowniku Saito: obowiązujący nas termin. Zdaje pan sobie sprawę zapewne, że przedłużenie toru wymagać będzie dodatkowej pracy. Ponadto budowa nowych baraków...

–Po co nowe baraki? – zaprotestował Saito. – Jeńcy mogą przecież chodzić jedną czy dwie mile na miejsce pracy.

–Moi współpracownicy rozpatrzyli na moje polecenie jedno i drugie rozwiązanie tego zagadnienia – cierpliwie odpowiedział pułkownik Nicholson. – w wyniku tego... Obliczenia Reevesa i Hughesa wykazywały jasno, że suma godzin, które jeńcy stracą na przemarsz, przewyższy czas potrzebny do zbudowania nowego obozu. Raz jeszcze Saito poczuł, że traci grunt pod nogami wobec dociekań mądrej przeczności. Pułkownik ciągnął dalej:

–Z drugiej strony, straciliśmy już więcej niż miesiąc z powodu przykrych nieporozumień, za które nie my jesteśmy odpowiedzialni. Chcąc skończyć most w oznaczonym terminie, co przyrzekam, jeśli przyjmie pan moją następną propozycję, trzeba, ażeby jedne grupy natychmiast zaczęły ścinać drzewa i obrabiać belki podczas gdy inne równocześnie będą pracowały przy torze, a jeszcze inne przy barakach. W tych warunkach, według oceny majora Hughes, który ma bardzo duże doświadczenie w tych sprawach, nie posiadamy dość ludzi, aby wykonać roboty w oznaczonym terminie.

Pułkownik Nicholson zastygł na chwilę w pełnym oczekiwania milczeniu, po czym podjął energicznym głosem:

–Oto moja propozycja, pułkowniku Saito: większość żołnierzy angielskich zabierze się natychmiast do budowy mostu. Do pracy przy torze pozostanie nam nieduża grupa, dlatego też proszę pana o wzmocnienie tego oddziału japońskimi żołnierzami, aby w ten sposób pierwszy odcinek prac został ukończony możliwie jak najszybciej. Sądzę, że pańscy ludzie mogliby również zbudować nowy obóz. Są bardziej obcy z obróbką bambusa niż moi.

W tym momencie Clipton popadł w stan zwykłego rozczulenia. Poprzednio kilkakrotnie miał ochotę udusić swego dowódcę. Teraz nie mógł oderwać wzroku od tych niebieskich oczu, które, zmierzywszy japońskiego pułkownika, brały z całą szczerością na świadków wszystkich obecnych, jednych po drugich, jakby szukając u nich potwierdzenia dla słuszności tej prośby. Nagle przemknęło mu przez myśl, że pod tymi pozorami szczerości może ukrywać się subtelny makiawelizm. Niespokojnie, z napięciem, rozpaczliwie badał każdy rys tej pogodnej twarzy, pragnąc nedorzecznie odkryć w niej bodaj ślad ukrytej przewrotności. Ale po chwili, zniechęcony, opuścił głowę. „To niemożliwe – pomyślał. – Każde jego słowo Jest szczerze. On naprawdę szuka najlepszych sposobów przyśpieszenia prac.”

Wyprostował się, aby móc obserwować zachowanie się Saito, i to go trochę pocieszyło. Twarz Japończyka była twarzą skazańca, który doszedł do kresu wytrzymałości. Udręczony wstydem i wściekłością, pozwolił się jednak omotać siecią tych nieubłaganych rozumowań. Nie wydawało się prawdopodobnie, by odważył się przeciwstawić. Po chwili wahania między buntem a kapitulacją – Saito ustąpił. Miał bezsensowną nadzieję, że odzyska nieco prestiżu, gdy prace postąpią naprzód. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy, do jakiego stanu poniżenia mogła doprowadzić go mądrość ludzi Zachodu. Clipton stwierdził, że Saito nie będzie już w stanie zawrócić z drogi ustępstw.

Skapitulował na swój sposób. Dzikim głosem zaczął nagle wydawać po japońsku rozkazy swym oficerom. Ponieważ pułkownik mówił dość szybko, chcąc, żeby tylko on sam go zrozumiał, Saito przedstawił propozycję Nicholsona jako swój własny pomysł i zamienił ją w autorytatywny rozkaz. Gdy skończył, pułkownik Nicholson

wysunął ostatni punkt, drobny, lecz na tyle delikatny, że skupił całą jego uwagę.

–Pozostaje nam jeszcze, pułkowniku Saito, określenie normy dla pańskich ludzi, którzy będą pracować przy budowie nasypu kolejowego. Z początku myślałem o jednym metrze sześciennym, żeby ich nie przemęczać, ale może uważa pan za słuszne, aby ich norma równała się normie żołnierzy angielskich? Mogłoby w ten sposób powstać korzystne współzawodnictwo...

–Norma żołnierzy Nipponu będzie wynosić dwa metry sześciennie – zawołał Saito. –
Wydalem już rozkazy!

Pułkownik Nicholson skłonił głowę.

–Sądzę, że w tych warunkach praca będzie postępować szybko... Nie mam nic więcej do dodania, pułkowniku Saito. Pozostaje mi tylko podziękować panu za zrozumienie nas. Gentlemen, jeśli nie macie żadnych uwag, sądzę, że możemy zamknąć to zebranie. Jutro zaczniemy pracę według ustalonych zasad.

Wstał, zasalutował i odszedł pełen godności, zadowolony, że przeprowadził obrady tak, jak tego pragnął, że przyczynił się do triumfu zdrowego rozsądku i że uczyniono wielki krok naprzód, jeśli idzie o budowę mostu. Okazał się zręcznym taktykiem i miał świadomość, że rozporządził dostępnymi mu środkami w możliwie najlepszy sposób.

Clipton wyszedł z nim i razem wracali do swego baraku.

–Cóż to za głupcy, Sir! – mówił lekarz, ciekawie mu się przyglądając. – Pomyśleć, że bez nas zbudowaliby ten swój most na bagnie i że zawaliłby się pod ciężarem pociągów z wojskiem i amunicją!

Gdy to mówił, oczy błyszcząły mu dziwnym blaskiem, ale pułkownik pozostał niewzruszony. Sfinks nie mógł zdradzić swej tajemnicy, gdyż jej nie posiadał.

–Nieprawdaż? – odparł poważnie. – Oni są właśnie tacy, jak ich sobie zawsze wyobrażałem: naród tkwiący jeszcze w powijakach, który zbyt szybko powleczone pokostem cywilizacji. Oni się niczego dogłębnie nie nauczyli. Pozostawieni samym sobie, nie mogą zrobić ani kroku naprzód. Bez nas tkwiliby jeszcze w epoce żaglowców i nie znalazłby samolotu. Prawdziwe dzieci... A jakie przy tym pretensje, Clipton! Przedsięwzięcie takiej wagi! Niech mi pan wierzy, oni się w sam raz nadają do budowania mostów z lian.

IV

Nie ma żadnego porównania pomiędzy mostem takim, jakim go pojmuje cywilizacja zachodnia, a tymi użytkowymi rusztowaniami, które żołnierze japońscy przyzwyczaili się wznosić na kontynencie azjatyckim. Nie ma też żadnego podobieństwa w metodach ich budowy. Oczywiście, cesarstwo japońskie posiadało wykwalifikowanych techników, ale zatrzymywano ich w metropolii. W krajach okupowanych odpowiedzialność za tego rodzaju prace ponosiła armia. Wysłano wprawdzie do Syjamu kilku specjalistów, ale nie cieszyli się oni wielkim autorytetem ani nie posiadali zbyt wielkich kompetencji i najczęściej pozostawiali wolną rękę wojskowym.

Ci zaś budowali szybko i w pewnym sensie – trzeba to przyznać – skutecznie, a pośpiech ten dyktowany był koniecznością, gdyż, postępując w głąb zdobytych krajów, napotykali konstrukcje zniszczone przez ustępującego nieprzyjaciela. Wbijano więc najpierw dwa rzędy słupów w dno rzeki, a na nich bez planu i ładu gromadzono i przybijano kawałki drzewa, z całkowitą pogardą dla spraw statyki. W miejscach, które od razu się zapadały, przybijano jeszcze trochę desek.

Na tej ordynarnej podbudowie, która sięgała czasem dużej wysokości, kładziono grube kwadratowe belki, podtrzymujące szyny. I budowę mostu uznawano za skończoną. Wystarczał dla potrzeb chwili. Nie posiadał ani poręczy, ani chodnika dla pieszych. Ci, którzy chcieli po nim przejść, musieli utrzymywać równowagę maszerując po belkach nad przepaścią jak linoskoczkowie, co zresztą Japończykom świetnie się udawało.

Pierwszy konwój przejeżdżał powoli, a wagony podskakiwały. Czasem lokomotywa wypadła z szyn; przychodził jej wtedy z pomocą oddział żołnierzy uzbrojonych w lewary, którzy umieszczali ją z powrotem na torze. Pociąg ruszał dalej. Jeżeli przejazd pociągu zbyt nadwerężył most, przybijano jeszcze kilka nowych desek. Następny konwój defilował w ten sam sposób. Rusztowanie wytrzymało kilka dni, kilka tygodni albo nawet kilka miesięcy; potem zmywała je powódź albo rozpadało się w skutek zbyt gwałtownych wstrząsów. Wtedy Japończycy, bez zniecierpliwienia, podejmowali budowę na nowo. Materiału dostarczała niewyczerpana dżungla.

Metody przyjęte przez cywilizację zachodnią nie są oczywiście tak proste, a kapitan Reeves, który był przedstawicielem jednej z podstawowych gałęzi tej cywilizacji: techniki, wstydziłby się, gdyby miał nim kierować tak prymitywny empiryzm.

Ale technika zachodnia – w dziedzinie budowy mostów – pociąga za sobą cały szereg czynności, które rozszerzają i pomnażają zakres prac poprzedzających samo wykonanie. Wymaga ona na przykład szczegółowego planu, żeby zaś móc wykreślić ten plan, trzeba znać z góry przekrój każdej belki, jej kształt, głębokość, do jakiej

będą białe filary, i wiele innych szczegółów. Ten zaś przekrój, kształt i owa głębokość wymagają skomplikowanych obliczeń, opartych na cyfrach symbolizujących wytrzymałość użytych materiałów i spójność gruntu. Te cyfry z kolei zależą od współczynników charakteryzujących pewne „standardowe” materiały konstrukcyjne, które w krajach cywilizowanych podane są w specjalnych tabelach. Tak więc realizacja przedsięwzięcia wymaga jego szczegółowej znajomości a priori i owa twórczość umysłowa poprzedzająca twórczość konkretną należy do jednych z większych zdobyczy zachodniego geniuszu.

Nad brzegami rzeki Kwai kapitan Reeves nie miał tabel, ale jako doświadczony inżynier, który posiada dużą wiedzę teoretyczną, mógł się bez nich obejść. Musiał tylko zwiększyć nieco zakres prac wstępnych i przed rozpoczęciem obliczeń wykonać szereg doświadczeń z próbkami materiałów konstrukcyjnych dla prostych obciążeń i kształtów. Mógł zatem wyznaczyć sobie współczynniki przy pomocy łatwych metod, używając do tego przyrządów, które kazał zrobić pośpiesznie, gdyż czas naglił.

Za zgodą pułkownika Nicholsona, pod niespokojnym wzrokiem Saito i ironicznym – Cliptona, zaczął pracę od tych właśnie doświadczeń. W tym samym czasie wykreślił możliwie najlepszą trasę toru kolejowego i przekazał plan majorowi Hughes do wykonania. Ze spokojniejszą głową, zebrawszy już dane potrzebne mu do obliczeń, przystąpił do najistotniejszej części dzieła: teoretycznego opracowania projektów i nakreślenia planu mostu.

Zabrał się do tego projektu z tą samą zawodową sumiennością, z jaką wykonywał niegdyś swoją pracę w Indiach, gdy przeprowadzał podobne roboty dla rządu, a nawet z gorączkowym zapalem, który dawniej na próżno usiłował rozbudzić w sobie przez odpowiednią lekturę (taką, jak np. Budowniczość mostów), a który w pewnej chwili ogarnął go, spadł na niego jak czar, gdy usłyszał proste słowa dowódcy:

–Wie pan, Reeves, naprawdę liczę na pana. Jest pan tutaj jedynym człowiekiem o technicznych kwalifikacjach. Zostawię panu bardzo dużą inicjatywę. Idzie o to, aby wykazać nieprzyjacielowi naszą wyższość. Zdaję sobie sprawę z wszystkich trudności w tym zapadłym kraju, gdzie brak niejednego, ale za to wynik będzie tym bardziej godny pochwały.

–Może pan na mnie liczyć, Sir – odpowiedział Reeves, nagle porwany. – Będzie pan zadowolony, a oni zobaczą, co my potrafimy.

To była sposobność, na którą czekał przez całe życie. Zawsze marzył o podjęciu wielkiego dzieła z dala od udręki biurokratycznych wymogów, od idiotycznych zastrzeżeń urzędników, którzy – pod pretekstem oszczędności – przemysłnie rzucali mu kłody pod nogi i unicestwiali każdy jego wysiłek w kierunku stworzenia czegoś oryginalnego. Tutaj będzie zdawał sprawę tylko przed pułkownikiem. A ten dawał mu

dowody sympatii; i choć przykładał dużą wagę do spraw organizacji i pewnych nieodzownych formalności, to przynajmniej był pojętny i w sprawach budowy mostów nie kierował się względami polityki czy oszczędności. Co więcej, z całą szczerością wyznał, że nie posiada żadnej wiedzy technicznej i oświadczył swemu współpracownikowi, że mu zostawi wolną rękę. Zapewne praca była trudna i brak było środków, lecz on, Reeves, wszystkie te braki uzupełnił swą gorliwością. Czuł, jak przenika go podmuch zapału, który rozpala iskrę twórczą w duszy człowieka i rodzi pożar pochłaniający wszelkie przeszkody.

Od tej chwili dni jego szczelnie wypełniała praca. Zrobił najpierw szybko szkic mostu, tak jak sobie go wyobrażał, gdy patrzył na rzekę: cztery idealnie równe rzędy majestatycznych filarów, harmonijna i śmiała konstrukcja górna, wznosząca się wyżej niż o sto stóp nad wodą, z belkami poprzecznymi łączonymi metodą, którą sam wynalazł, a którą na próżno starał się kiedyś zastosować pracując dla zrutynizowanego rządu Indii; szeroki pomost otoczony solidnymi poręczami, na którym zmieści się nie tylko tor kolejowy, lecz także chodnik dla pieszych i jezdnia.

Następnie zabrał się do obliczeń i wykresów, a wreszcie do ostatecznego planu. Udało mu się zdobyć prawie że odpowiedni rulon papieru od swego japońskiego kolegi, który czasem w milczeniu przesuwiał się za jego plecami, obserwował rodzące się dzieło, nie mogąc ukryć podziwu pełnego zakłopotania.

Pracował od świtu aż do zmierzchu bez chwili wypoczynku; dopóki nie zrozumiał, że czas mija zbyt szybko; aż do chwili gdy z przerażeniem spostrzegł, że dni są zbyt krótkie i że nie ukończy projektu w terminie, który sobie wyznaczył. Wtedy to – za pośrednictwem pułkownika Nicholsona – uzyskał od Saito pozwolenie świecenia lampy po wygaszeniu światła. Od tego dnia, siedząc na chwiejącym się taborecie przed nędznym bambusowym łóżkiem zamiast pulpitu, z papierem rysunkowym rozpostartym na desce, którą sam z miłością wygładził, w blasku maleńkiej lampki olejnej zatruwającej barak cuchnącymi wyziewami, zręcznie przesuwając jedną ręką węgielnicę i ekierkę, sfabrykowane z niesłychaną troskliwością, przepędzał wieczory, a czasem noce na sporządzaniu planu mostu.

Odkładał przyrzędy jedynie po to, by sięgać po nowy arkusz papieru i gorączkowo zapełniać go kolumnami obliczeń, poświęcając swój sen – po morderczej pracy w ciągu dnia – na wcielenie swej wiedzy w dzieło, które miało dowieść wyższości nad nieprzyjacielem, na zbudowanie mostu, który miał dźwigać japońskie pociągi w ich triumfalnym biegu ku Zatoce Bengalskiej.

Clipton sądził, że czynności związane z zachodnim modus operandi (najpierw zorganizowanie całości, potem żmudne dociekania i obliczenia techniczne) opóźnią realizację dzieła bardziej, niżby to uczynił bezładny prymitywizm Japończyków. Wkrótce jednak przekonał się, jak dalece płonną była jego nadzieja i jaki błąd popełnił pokpiwając sobie z owych przygotowań w ciągu nocy, gdy światło lampy Reevesa

nie pozwalało mu zasnąć. Kiedy Reeves oddał majorowi Hughes całkowicie wykończony plan i gdy jego realizację podjęto z szybkością przekraczającą najbardziej optymistyczne marzenia Saito, Clipton skłonny był przyznać, że pozwolił sobie na zbyt łatwą krytykę metod cywilizowanego świata.

Reeves nie należał do ludzi, którzy, zahipnotyzowani teoretycznymi przygotowaniami, odsuwają w nieskończoność okres konkretnego działania, skupiając całą energię na pracy umysłu ze szkodą dla realizacji przedsięwzięcia. Stał jedną nogą na ziemi. Gdyby zresztą okazywał skłonność do zbyt głębokich badań teoretycznych i do spowijania mostu w mgłę abstrakcyjnych cyfr, pułkownik Nicholson skierowałby go z powrotem na właściwą drogę. Posiadał bowiem owo poczucie rzeczywistości właściwe przywódcy, który nigdy nie traci z oczu zamierzonego celu ani środków, jakimi dysponuje, i który czuwa, aby jego podwładni utrzymywali harmonijną proporcję pomiędzy teorią a praktyką.

Pułkownik zezwolił na wstępne doświadczenia pod warunkiem, że zostaną one szybko ukończone. Obejrzał też z aprobatą plan i kazał sobie wyjaśnić szczegółowo, na czym polegały innowacje dokonane przez geniusz wynalazczy Reevesa. Nalegał tylko na to, żeby kapitan się nie przepracowywał.

–Pięknie będziemy wyglądać, jak pan się rozchoruje. Reeves. Wszystko zależy od pana, proszę o tym pamiętać.

Stał się jednakże czujny i odwołał się do poczucia zdrowego rozsądku owego dnia, gdy Reeves, zatroskany, przyszedł wyrazić mu pewne skrupuły.

–Jest pewien punkt, który mnie niepokoi, Sir. Nie sądzę, żebyśmy musieli się z nim liczyć, ale pragnąłbym uzyskać na to pańską aprobatę.

–O co idzie, Reeves? – zapytał pułkownik.

–O suszenie drewna, Sir. Żadnej poważnej pracy nie powinno się wykonywać przy użyciu świeżo ściętych drzew. Trzeba wystawić je przedtem na działanie powietrza.

–Jak długo musiałoby schnąć pańskie drewno, Reeves?

–To zależy od jakości, Sir. Dla pewnych gatunków wskazany jest okres osiemnastu miesięcy, a nawet dwóch lat.

–To niemożliwe, Reeves – gwałtownie odparł pułkownik. – Dysponujemy w ogóle tylko pięcioma miesiącami.

Kapitan spuścił głowę zmartwiony.

–Niestety, wiem o tym, Sir, i to właśnie mnie gnębi.

–A jakie ujemne skutki pociąga użycie świeżego drewna?

–Niektóre gatunki się kurczą, Sir, co może w rezultacie dać szczeliny i rysy, już po zmontowaniu całości... Zresztą nie dotyczy to wszystkich drzew; wiąz na przykład prawie że się nie kurczy. Oczywiście wybrałem drzewa o cechach podobnych do wiązu... Filary London Bridge, wykonane z wiązu, przetrwały sześćset lat, Sir...

–Sześćset lat! – wykrzyknął pułkownik Nicholson. Oczy jego zabłysły, gdy instynktownie obrócił się w stronę rzeki Kwai. – Sześćset lat, to byłoby nieźle, Reeves!

–Och, to wyjątkowy wypadek, Sir. Tutaj możemy liczyć zaledwie na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat. Może trochę mniej, jeśli drewno będzie schnąć źle.

–Trzeba brać szansę, jaka jest, Reeves – autorytatywnie stwierdził pułkownik. – Niech pan użyje świeżego drewna. Nie możemy robić rzeczy niemożliwych. Jeśli zarzucą nam jakiś błąd, wystarczy, że będziemy mogli odpowiedzieć: to było nieuniknione.

–Rozumiem, Sir... Jeszcze jedna sprawa: kreozot, który chroni belki przed robactwem. Sądzę, że będziemy musieli obyć się bez niego, Sir. Japończycy go nie mają. Moglibyśmy oczywiście sfabrykować namiastkę... Myślałem o zbudowaniu aparatu do destylacji soku drzewnego. Byłoby to możliwe, ale wymagałoby nieco czasu... Po namyśle nie polecam tego.

–Dlaczego, Reeves? – zapytał pułkownik Nicholson, którego zachwyciły te wszystkie szczegóły techniczne.

–Jakkolwiek zdania są podzielone, wybitniejsi specjaliści odradzają kreozot, dopóki drewno nie jest dostatecznie wyschnięte, Sir. Zatrzymuje on soki i wilgoć, a wtedy ryzykuje się szybkie powstanie pleśni.

–A więc nie użyjemy kreozotu, Reeves. Niech mnie pan dobrze zrozumie. Nie możemy porywać się na rzeczy przekraczające nasze możliwości. Nie należy zapominać, że most jest natychmiast potrzebny.

–Pomijając te dwa punkty, Sir, jestem pewien, że możemy zbudować tutaj most poprawny z punktu widzenia techniki i dostatecznie wytrzymały.

–O to właśnie idzie, Reeves. Jest pan na dobrej drodze. Most w miarę wytrzymały i poprawny z punktu widzenia techniki. I przede wszystkim most, a nie jakieś obrzydliwe partactwo. To już nieźle. Powtarzam panu, ma pan moje całkowite zaufanie.

Pułkownik Nicholson opuścił swego technicznego doradcę zadowolony, że znalazł

krótką formułę określającą cel, który był do osiągnięcia.

V

Shears – „Number one”, jak nazywali go syjamscy partyzanci z odosobnionej wioski, w której ukrywali się wysłannicy Oddziału 316 – należał także do ludzi, którzy wiele namysłu i starania poświęcają systematycznym przygotowaniom. W rzeczywistości uznanie, jakim darzyli Shearsa zwierzchnicy, zawdzięczał on w równej mierze swej przezorności i cierpliwości w przygotowaniu akcji, co swej energii i zdecydowaniu, gdy nadeszła godzina działania. Jego towarzysz Warden, profesor Warden, miał także zasłużoną opinię człowieka nie zdającego się w niczym na grę przypadku, dopóki okoliczności na to pozwalały. Co do Joyce'a, ostatniego i najmłodszego członka ekipy, który dopiero co ukończył kurs w Kalkucie w specjalnej szkole przy „Plastic Destructions Co. Ltd.”, to wydawało się, że mimo młodego wieku ma on głowę nie od parady i Shears nie lekceważył jego zdania. Tak więc podczas codziennych konferencji, odbywanych w chacie krajowców, którzy oddali Anglikom dwie izby do dyspozycji, wszystkie interesujące pomysły były rozważane krytycznie i wszystkie sugestie badane dogłębnie.

Tego wieczora trzech towarzysze dyskutowali nad mapą, którą Joyce rozpiął na bambusowej ścianie.

–Oto w przybliżeniu bieg linii kolejowej, Sir – powiedział. – Informacje zgadzają się dość dobrze.

Joyce, w cywilu inżynier konstruktor, naniósł na mapę o dużej podziałce informacje zebrane na temat kolei burmańsko – syjamskiej.

Było ich bardzo wiele. Od miesiąca, kiedy zrzucono ich na spadochronach, bez wypadku i w przewidzianym punkcie, udało im się zdobyć wielu przyjaciół, rozrzuconych na dość dużym terenie. Zostali przyjęci przez agentów syjamskich i ugoszczeni w tej małej wiosce myśliwych i przemytników, zagubionej pośrodku dżungli, z dala od wszelkich linii komunikacyjnych. Ludność nienawidziła Japończyków. Shears, zawodowo podejrzliwy, coraz bardziej przekonywał się o lojalności swoich gospodarzy.

Pierwsza część ich misji była na najlepszej drodze. Nawiązali tajne kontakty z wodzami wielu wiosek. Ochotnicy gotowi byli im pomagać. Oficerowie zaczęli ich szkolić. Zapoznawali ich z rodzajami broni używanymi przez Oddział 316. Najważniejszą z nich był „plastyk”, miękka brunatna masa, dająca się ugniatać jak glina, która dzięki wielu cierpliwym pokoleniom chemików zachodniego świata zawarła w sobie wszystkie właściwości znanych poprzednio środków wybuchowych i jeszcze kilka dodatkowych.

–Mamy tu bardzo wiele mostów, Sir – ciągnął Joyce – ale myślę, że niewiele z nich

może nas interesować. Oto ich lista, od Bangkoku aż do Rangunu, zrobiona według bardzo dokładnych informacji.

Owo „Sir” skierowane było pod adresem majora Shearsa – „Number one”. Jakkolwiek w Oddziale 316 panowała surowa dyscyplina, to jednak w grupach przebywających na misji specjalnej nie przestrzegano jej ściśle; dlatego też Shears wielokrotnie nalegał, aby podchorąży Joyce nie zwracał się do niego przez „Sir”. Jednakże bezskutecznie. Shears przypuszczał, że stare przyzwyczajenie, jeszcze sprzed mobilizacji, kazało Joyce'owi stale powracać do tego zwrotu.

Poza tym Joyce zasługiwał jedynie na pochwały; Shears wybrał go sam ze szkoły w Kalkucie, kierując się opinią instruktorów, jego wyglądem zewnętrznym, a przede wszystkim własnym wyczuciem.

Stopnie miał dobre, a opinię jak najlepszą. Wynikało z tego, że podchorąży Joyce, ochotnik, jak wszyscy członkowie Oddziału 316, sprawował się zawsze bardzo dobrze i w każdej sytuacji okazywał maksimum dobrej woli – a to już jest coś, myślał Shears. Na karcie wcielenia do Oddziału wpisany miał zawód inżyniera konstruktora, urzędnika w wielkim przedsiębiorstwie przemysłowo – handlowym; prawdopodobnie – niższego urzędnika. Shears nie zabiegał już o dalsze szczegóły. Uważał, że wszystkie zawody mogą służyć „Plastic Destructions Co. Ltd.” i że przeszłość jest przeszłością.

Ale to, że Shears zdecydował się na wybór Joyce'a jako trzeciego członka ekspedycji, nie było jedynie zasługą wymienionych zalet podchorążego; kandydat musiał posiadać jeszcze inne cechy, trudniejsze od uchwycenia, w ocenie których pułkownik kierował się tylko osobistym wyczuciem. Znał ochotników doskonałych w okresie szkolenia, których nerwy zawodziły jednakże w pewnych akcjach przeprowadzanych w służbie Oddziału 316. Shears nie miał im tego za złe, posiadał bowiem własny pogląd na te sprawy.

Wezwał więc tego ewentualnego kandydata, aby zdać sobie sprawę z jego możliwości. Poprosił swego przyjaciela Wardena, aby był obecny przy spotkaniu, gdyż jeśli chodziło o wybór tego rodzaju, nie należało lekceważyć zdania profesora. Spodobało mu się spojrzenie Joyce'a. Nie wyglądał na atletę, ale był zdrowy i wydawał się zrównoważony. Na stawiane mu pytania odpowiadał prosto, szczerze, co dowodziło, że miał poczucie rzeczywistości, że nigdy nie tracił z oczu celu, który należało osiągnąć, i że znakomicie rozumiał, czego od niego oczekiwano. A ponadto w jego spojrzeniu można było wyczytać wyraźnie dobrą wolę. Widać było, że od kiedy doszły go słuchy o niebezpiecznej misji, postanowił za wszelką cenę towarzyszyć dwom starszym kolegom.

Shears poruszył wtedy sprawę, która leżała mu na sercu i która istotnie była ważna.

–Czy potrafiłby pan użyć tej broni? – zapytał. Podsunął mu pod oczy ostry sztylet. Sztylet ten stanowił część ekwipunku, jaki członkowie Oddziału 316 zabierali z sobą na misje specjalne. Joyce nie zmieszał się. Odpowiedział, że nauczono go władania tą bronią i że kurs w szkole obejmował ćwiczenia na manekinach. Ale Shears nalegał:

–Sens mojego pytania był inny. Chcę powiedzieć: czy jest pan pewien, że istotnie „potrafi pan” posłużyć się tym z zimną krwią? Wielu ludzi wie, jak to się robi, ale nie potrafią tego.

Joyce zrozumiał. Pomyślał chwilę w milczeniu i odpowiedział poważnie:

–Sir, to pytanie zadawałem sobie już sam.

–Sam pan już zadawał sobie to pytanie? – powtórzył Shears przyglądając mu się ciekawie.

–Naprawdę, Sir. Muszę wyznać, że samego mnie to prześladowało. Próbowałem wyobrazić sobie...

–A więc?

Joyce wahał się tylko przez kilka sekund.

–Mówiąc całkiem szczerze, Sir, spodziewam się nie zawieść pod tym względem, jeśli to będzie konieczne. Mam nadzieję, Sir, ale nie mogę na to pytanie odpowiedzieć z całkowitą pewnością. Zrobię wszystko, co będę mógł, Sir.

–Nie było okazji wypróbować tego w praktyce, prawda?

–Nigdy, Sir. Mój zawód nie sprzyjał takiej praktyce – odpowiedział Joyce, jakby szukając usprawiedliwienia.

W spojrzeniu jego było tyle ubolewania, że Shears nie mógł powstrzymać uśmiechu. Warden wmieszał się nagle do rozmowy:

–Dzieciak prawdopodobnie przypuszcza, Shears, że to mój zawód przygotowuje specjalnie do zajęć tego rodzaju. Profesor orientalistyki! Albo pański: oficera kawalerii!

–Niezupełnie to właśnie chciałem powiedzieć, Sir – wyjąkał Joyce czerwieniąc się.

–Jestem pewien – filozoficznie zakończył Shears – że tylko u nas to zajęcie, jak pan mówi, może być czasem wykonywane przez absolwenta Oksfordu i przez byłego kawalerzystę... A zatem, czemu nie przez inżyniera konstruktora?

„Niech pan weźmie” – była to jedyna, lakoniczna rada Wardena po zakończeniu

rozmowy. Shears zastosował się do niej. Sam, po namyśle, był raczej zadowolony z jego odpowiedzi. W równej mierze nie ufał ludziom, którzy się przeceniali, jak i tym, którzy się nie doceniali. Cenił tych, którzy umieli z góry wykryć wrażliwy punkt jakiegoś przedsięwzięcia, którzy byli dość przezorni, by się do niego przygotować, i posiadali dość wyobraźni, by móc go przemyśleć – pod warunkiem, że nie dadzą się nim zahipnotyzować. Wyruszając w drogę był więc zadowolony ze swego zespołu. Co do Wardena, znał go od dawna i bardzo dokładnie wiedział, co on „potrafi” zrobić.

Ślęczeli nad mapą przez dłuższą chwilę, podczas gdy Joyce wskazywał linią mosty i opisywał szczególne cechy każdego z nich. Shears i Warden słuchali z pełną napięciem ciekawością, jakkolwiek znali już na pamięć raport podchorążego. Mosty wzbudzały zawsze ogromne zainteresowanie u wszystkich członków „Plastic Destructions Co. Ltd.”, zainteresowanie nieomal mistyczne.

–To, co pan nam tutaj opisuje, Joyce, to zwykłe kładki – powiedział Shears. – Niech pan pamięta, że my chcemy dokonać wielkiej akcji.

–Toteż wymieniłem je, Sir, tylko tak dla porządku. W gruncie rzeczy mamy tu zaledwie trzy naprawdę interesujące budowle.

Nie wszystkie mosty były dla Oddziału 316 równie godne uwagi. „Number one” podzielał opinię pułkownika Greena, że nie należy przed ukończeniem linii kolejowej budzić czujności Japończyków akcjami o małym znaczeniu. Postanowił więc, że grupa nie będzie na razie się udzielać na zewnątrz i zadowoli się zbieraniem informacji od tubylczych agentów.

–Głupio byłoby zepsuć wszystko wysadzając dla rozrywki dwie lub trzy ciężarówki – mówił czasem, aby swych towarzyszy skłonić do cierpliwości. – Na początek musimy dokonać jakiejś wielkiej akcji. Potrzebne nam to, by wzbudzić dla siebie szacunek w tym kraju wśród Syjamczyków. Zaczekajmy, aż po torach zaczną kursować pociągi.

Ponieważ zdecydował się rozpocząć od wielkiej akcji, było rzeczą jasną, że mosty o mniejszym znaczeniu nie wchodziły w rachubę. Wynik owej pierwszej interwencji musiał wynagrodzić beczynny okres długich przygotowań i – w jego własnych oczach – uwieńczyć sukcesem całą misję, gdyby nawet okoliczności zechciały, że nie nastąpiłaby po niej żadna inna akcja. Shears wiedział, że nigdy nie można przewidzieć, czy po jednej akcji nastąpi druga. Nie mówił o tym, ale jego dwaj towarzysze zrozumieli go; nie wzruszyło to wcale eks – profesora Wardena, którego racjonalny umysł pochwalał ten sposób patrzenia i przewidywania.

Nie wydawało się też, by myśl ta zaniepokoiła Joyce'a lub ochłodziła zapał, jaki opanował go wobec perspektywy wielkiej akcji. Przeciwnie, wydawało się, że go podnieciła i skoncentrowała wszystkie siły jego młodości na tej, być może, jedynej w

życiu okazji; na tym niespodziewanym celu, który zapalił się nagle przed nim jak latarnia, rzucająca oślepiające blaski sukcesu na przeszłość i na przyszłość, rozpraszająca magicznym światłem szary półmrok, który dotąd przesłaniał koleje jego życia.

–Joyce ma słuszość – zauważył Warden, zawsze oszczędny w słowach. – Tylko trzy mosty mogą nas interesować. Jeden z nich znajduje się przy obozie numer 3.

–Myślę, że ten definitywnie odpada – powiedział Shears. – Odkryty teren nie nadaje się do akcji. Co więcej, most znajduje się na równinie. Brzegi są niskie. Odbudowa byłaby zbyt łatwa.

–Drugi znajduje się przy obozie numer 10.

–Ten można by wziąć pod uwagę, ale on znajduje się w Burmie, gdzie nie mamy poparcia tubylczych partyzantów. Poza tym...

–Trzeci, Sir – powiedział z ożywieniem Joyce, nie zwracając uwagi na to, że przerywa swemu dowódcy – trzeci to most na rzece Kwai. Tutaj nie natkniemy się na tego rodzaju trudności. Rzeka ma czterysta stóp szerokości i wysokie, strome brzegi. Znajduje się o dwa do trzech dni drogi od naszej wioski. Teren jest właściwie nie zamieszkały i pokryty dżunglą. Można podejść nie będąc zauważonym i obserwować go z gór, u stóp których rozciąga się widok na całą dolinę. Most jest bardzo oddalony od jakiegokolwiek większego ośrodka. Japończycy przywiązują specjalną wagę do jego budowy. Jest większy niż wszystkie pozostałe mosty i posiada cztery rzędy filarów. To najważniejszy i najlepiej usytuowany obiekt na całej linii.

–Wydaje się, że pan dokładnie przestudiował raporty naszych agentów – zauważył Shears.

–Są bardzo jasne, Sir. Sądzę, że ten most...

–Przyznaję, że most na rzece Kwai jest godny uwagi – powiedział Shears pochylając się nad mapą. – Jak na debiutanta, nieźle pan rozumuje. Pułkownik Green i ja zwróciliśmy już uwagę na to miejsce. Ale informacje, które posiadamy, nie są jeszcze dość dokładne i może istnieją inne punkty, w których byłoby korzystniej przeprowadzić akcję... A jak daleko zaszły prace, Joyce, przy tym słynnym moście, o którym mówił pan tak, jakby go pan widział?

VI

Prace szły dobrze. Żołnierz angielski jest z natury pracowity i bez szemrania poddaje się surowej dyscyplinie pod warunkiem, że ma zaufanie do swych dowódców i że rozpoczyna dzień z perspektywą wysiłku fizycznego, który wystarczy do zachowania jego równowagi umysłowej.

W obozie nad rzeką Kwai żołnierze darzyli pułkownika Nicholsona ogromnym szacunkiem. Każdy czułby to samo po jego heroicznym wyczynie. Z drugiej strony, nałożona norma zapewniała im zachowanie równowagi psychicznej. Toteż po krótkim okresie wahań, kiedy to próbowali zgłębić prawdziwe intencje dowódcy, zabrali się poważnie do pracy, z równą ochotą ujawniając teraz swoją zręczność przy budowie, jak przedtem wykazywali swą pomysłowość w dziedzinie sabotażu. Pułkownik Nicholson zapobiegł zresztą wszelkim możliwym nieporozumieniom, wygłaszając – po pierwsze – mowę, w której dokładnie wyjaśnił, czego od nich oczekuje, a po drugie – wymierzając surowe kary kilku opornym, którzy niezupełnie go zrozumieli. Ci, których to spotkało, nie mieli do niego urazy, przyznając, że kara jest uzasadniona.

–Znam tych chłopców lepiej niż pan, proszę mi wierzyć _ odpowiedział kiedyś pułkownik Cliptonowi, gdy ten ośmielił się zaprotestować przeciw jakiejś pracy, którą uznał za zbyt ciężką dla ludzi niedożywionych i nie najzdrowszych. – Poświęciłem trzydzieści lat na to, żeby ich poznać. Nie ma nic gorszego dla ich morale niż bezczynność, a ich stan fizyczny zależy w dużym stopniu od ich morale. Wojsko, które się nudzi, Clipton, to wojsko z góry skazane na klęskę. Niech im pan pozwoli drzemać, a zobaczy pan, że nie pójdzie im to na zdrowie. I odwrotnie, niech pan wypełni każdą minutę ich dnia męczącą pracą – zdrowie i dobry humor są zapewnione.

–”Pracujcie z radością” – perfidnie mruknął Clipton. – To dewiza generała Yamashita.

–I to wcale nie jest takie głupie, Clipton. Nie powinniśmy wahać się w przyjęciu maksy wroga, jeśli jest słuszna... Gdyby nie było tu żadnej pracy, wynalazłbym ją dla nich! Ale właśnie mamy most.

Clipton nie znalazł słów na wyrażenie tego, co czuł, i zadowolił się tym, że bezmyślnie powtórzył:

–Tak, mamy most.

Żołnierze angielscy byli już zresztą sami znudzeni postawą i postępowaniem, które raziły ich instynktowną skłonnością do uczciwej pracy. Zanim jeszcze wdał się w to pułkownik, sabotaż stał się dla wielu męczącym obowiązkiem, a byli i tacy, co nie

czekali na jego rozkazy, aby sił swoich i narzędzi użyć z pożytkiem. Jego nowa polityka przyniosła im moralną ulgę.

Ponieważ żołnierz japoński jest także z natury zdyscyplinowany i pracowity, ponieważ, z drugiej strony, Saito zagroził swym ludziom, że pościna im głowy, jeśli nie okażą się lepszymi pracownikami od jeńców, dwa odcinki drogi zostały szybko ukończone. Zbudowano baraki nowego obozu i oddano je do użytku. Mniej więcej w tym samym czasie Reeves wykończył swój plan i przedłożył go majorowi Hughes. Tak więc i major został wreszcie włączony w akcję i miał pokazać, co potrafi. Dzięki swym zdolnościom organizacyjnym, swej znajomości ludzi i doświadczeniu w najbardziej wydajnym wykorzystywaniu siły roboczej ten przemysłowiec już w pierwszych dniach osiągnął poważne rezultaty.

Pierwszą troską Hughesa było podzielenie ludzi na poszczególne grupy i przydzielenie każdej z nich specjalnego zadania: jedna ścinała drzewa, druga dokonywała pierwszej, pobieżnej obróbki pni, trzecia ociosywała belki, inna, najliczniejsza, wbijała pale, a jeszcze inna zajęta była przy budowie konstrukcji górnej i nawierzchni. Pewne grupy – zdaniem Hughesa nie najmniej ważne – specjalizowały się w różnego rodzaju pracach, jak na przykład stawianie rusztowań, transport materiałów, ostrzenie narzędzi; pracach bez wątpienia pomocniczych, drugoplanowych, którym jednakże zachodnia przezorność poświęca – nie bez słuszności – równie wiele uwagi co pracom bezpośrednio związanym z budową.

Te zarządzenia były słuszne i okazały się skuteczne, jak to dzieje się zawsze, ilekroć nie doprowadza się ich do przesady. Gdy przygotowano już partię pali i wzniesiono pierwsze rusztowania, Hughes rzucił do akcji swoją drużynę „filarową”. Miała ona do wykonania najcięższe i najbardziej niewdzięczne zadanie z całego przedsięwzięcia. Nowi budowniczowie mostu, pozbawieni cennej pomocy urządzeń mechanicznych, musieli ograniczyć się tutaj do zastosowania tych samych metod co Japończycy, to znaczy uderzać w głowice pali jakimś dużym ciężarem i powtarzać tę czynność tak długo, aż pale zostaną solidnie wbite w dno rzeki. Kafar spadał z wysokości ośmiu do dziesięciu stóp, potem musiało się go na nowo ciągnąć w górę przy pomocy całego systemu lin i kół, potem znów spadał – i tak bez końca. Za każdym uderzeniem pal zagłębiał się o maleńki ułamek cala, ponieważ grunt był bardzo twardy. Była to praca niezwykle męcząca i doprowadzająca do rozpacz. Wydawało się, że nie postępuje naprzód, a widok prawie nagich ludzi, ciągnących za linę, nieodparcie przywodził na myśl ponurą atmosferę niewolnictwa. Komendantem tej drużyny Hughes mianował jednego z najlepszych poruczników, Harpera, człowieka energicznego, który nie miał sobie równego w zachęcaniu jeńców przez nadawanie rytmu ich pracy swym dźwięcznym głosem. Dzięki jego zapałowi ta katorżnicza praca wykonywana była z entuzjazmem. Wkrótce przed zdumionymi oczyma Japończyków wyrosły cztery równoległe rzędy filarów, kierując się ku lewemu brzegowi.

Clipton zastanawiał się przez moment, czy wbicie pierwszego pala nie zostanie

uczczone jakąś ceremonią, ale skończyło się tylko na kilku prostych, symbolicznych gestach. Pułkownik Nicholson ograniczył się do tego, że sam chwycił za powróż od kafara – i dla przykładu – ciągnął go z zapalem przez dziesięć uderzeń młota.

Gdy prace drużyny wbijającej słupy były już wystarczająco zaawansowane, Hughes włączył do akcji żołnierzy przeznaczonych do budowy konstrukcji górnej. Po tych przyszła kolej na innych, którzy mieli układać nawierzchnię z szerokimi torami, jezdnią i chodnikiem oraz budować poręcze. Różne inne czynności zostały tak skoordynowane, że od tej pory praca postępowała z matematyczną regularnością.

Człowiek mało wrażliwy na szczegóły konkretnych poczynań, a lubiący się w uogólnieniach, mógł widzieć w rosnącym moście organiczny proces syntezy naturalnej. Takie właśnie wrażenie odnosił pułkownik Nicholson. Pełnym zadowolenia wzrokiem śledził stopniowe ucieleśnianie się dzieła, z łatwością pomijając cały balast podstawowych prac. Interesował go tylko wynik ostateczny.

Z tego samego punktu widzenia patrzył na most czasem i Reeves. Patrzył z podziwem, jak most rósł w górę i równocześnie wydłużał się poprzez rzekę, osiągając prawie w mgnieniu oka całą przewidzianą szerokość, jak przy pomocy tych trzech wymiarów nadawał konkretny kształt jego pracy twórczej, realizując w czarodziejski sposób u stóp dzikich gór Syjamu zapładniającą moc jego koncepcji i poszukiwań.

Także i Saito poddał się magii tego cudu, który dokonywał się każdego dnia. Wbrew wysiłkom udało mu się tylko w części ukryć zdumienie i podziw.

Co do Cliptona, przekonał się on definitywnie, jak dalece był naiwny, i z pokorą ocenił śmieszność ironicznej postawy, z jaką przyjął zastosowanie nowoczesnych metod przemysłowych przy budowie mostu na rzece Kwai.

Most, z dnia na dzień większy i piękniejszy, sięgał już wkrótce środka rzeki Kwai, a nawet go minął. Stało się więc jasne dla wszystkich, że zostanie ukończony przed terminem naznaczonym przez naczelne dowództwo japońskie i że w żadnym wypadku nie opóźni triumfalnego marszu armii zdobywców.

CZĘŚĆ TRZECIA

I

Joyce jednym haustem opróżnił podaną szklankę alkoholu. Trudna wyprawa niezbyt się na nim odbiła. Był jeszcze dość rześki, a oczy mu błyszcząły. Uparł się, by podać im najważniejsze wyniki swej misji, zanim pozbędzie się dziwaczного stroju syjamskiego, w którym Shears i Warden ledwie go poznali.

–Rzecz jest do zrobienia, Sir, jestem tego pewien. Trudna, nie należy się łudzić, ale możliwa i bez wątpienia się opłaci. Las jest gęsty. Rzeka szeroka. Most biegnie nad przepaścią. Brzegi są strome. Wykolejony pociąg można by usunąć tylko przy użyciu ciężkiego sprzętu.

–Niech pan zacznie od początku – powiedział Shears. – a może woli pan najpierw wziąć prysznic?

–Nie jestem zmęczony, Sir.

–Niech go pan zostawi – mruknął Warden. – Nie widzi pan, że więcej mu potrzeba rozmowy niż odpoczynku?

Shears uśmiechnął się. Było widoczne, że Joyce równie gorąco pragnie złożyć swój raport jak on go wysłuchać. Usadowili się, najwygodniej jak było można, przed mapą. Warden, zawsze przewidujący, wręczył koledze drugą szklankę. W sąsiedniej izbie dwaj partyzanci syjamscy, którzy służyli młodemu człowiekowi za przewodników, przykucnęli na ziemi w otoczeniu kilku mieszkańców wioski. Zaczęli opowiadać szeptem o wyprawie i robić pochlebne uwagi na temat postępowania białego człowieka, któremu towarzyszyli.

–Wyprawa była trochę męcząca, Sir – zaczął Joyce. – Trzy noce marszu przez dżunglę, i to jakimi drogami! Ale partyzanci byli cudowni. Zaprowadzili mnie, tak jak przyrzekli, na szczyt góry, na lewym brzegu, skąd widać całą dolinę, obóz i most. Doskonały punkt obserwacyjny.

–Mam nadzieję, że pana nie zauważono?

–Żadnego ryzyka, Sir. Maszerowaliśmy tylko nocą, w takiej ciemności, że musiałem trzymać rękę na ramieniu przewodnika. Na dzień zatrzymaliśmy się w zaroślach wystarczająco gęstych, by odstraszyć ciekawych. Okolica jest zresztą tak dzika, że to nawet nie było potrzebne. Aż do przybycia na miejsce nie spotkaliśmy żywego ducha.

–Dobrze – powiedział Shears. – Proszę mówić dalej. Słuchając, „Number one” niepostrzeżenie, lecz uważnie obserwował postawę podchorążego Joyce'a i starał się sprecyzować opinię, którą zaczął sobie o nim wyrabiać. Wyprawa zwiadowcza, którą odbył Joyce, miała dla Shearsa także i to znaczenie, że pozwalała mu ocenić zalety młodego kolegi, kiedy był on zdany wyłącznie na własne siły. Pierwsze wrażenie, jakie odniósł po jego powrocie, było korzystne. Dobrym znakiem było również wyraźne zadowolenie przewodników – tubylców. Shears wiedział, że tych drobiazgów nie należy lekceważyć. Zapewne, Joyce był trochę zanadto podniecony tym, co widział, tym, co miał do opowiedzenia, a także – w zestawieniu z niebezpieczeństwami, na jakie był narażony – względnie spokojną atmosferą ich kwatery. Sprawiał jednak wrażenie, że panuje nad sobą w dostatecznym stopniu.

–Syjamczycy nas nie zawiedli, Sir. To jest naprawdę piękny obiekt...

Czas wielkiej akcji zbliżał się, w miarę jak wydłużały się rzędy szyn na nasypie, zbudowanym za cenę tysięcy cierpień jeńców alianckich w krajach Burmy i Syjamu. Shears i jego dwaj towarzysze śledzili z dnia na dzień postępy przy budowie toru. Joyce spędzał całe godziny nad swoją mapą, dokonując na niej poprawek według ostatnio otrzymanych informacji. Co tydzień znaczył na niej ukończony odcinek grubą, czerwoną linią. Biegła ona teraz niemal nieprzerwanie od Bangkoku aż do Rangun. Odcinki szczególnie warte uwagi były oznaczone krzyżykami. Cechy charakterystyczne każdego mostu na trasie kolei spisano na oddzielnej kartce, a Warden, odznaczający się zamiłowaniem do porządku, dbał usilnie, by to robić na bieżąco.

W miarę jak ich znajomość linii kolejowej pogłębiała się, wracali nieodparcie do mostu na rzece Kwai, który od początku zwrócił ich uwagę mnóstwem zalet. Patrząc ze swoistego punktu widzenia na mosty, byli urzeczeni tym wyjątkowym zbiegiem okoliczności pomyślnych dla wykonania planu, który machinalnie zaczęli szkicować; planu, w którym precyzja łączyła się z fantazją, co było charakterystyczne dla „Plastic Destructions Co. Ltd.”. Zarówno instynkt, jak rozum kazały im skupić stopniowo całą energię, ambicję i wszystkie nadzieje tylko i wyłącznie na moście na rzece Kwai. Omawiali zresztą równie dokładnie inne mosty, zastanawiając się nad ich zaletami, lecz ten jeden narzucił się im tak po prostu, jako rzecz sama przez się zrozumiała i oczywisty cel ekspedycji. Akcja, która początkowo istniała jedynie w ich marzeniach, oblekła się nagle w ciało stałe, umiejscowione w przestrzeni, podległe zniszczenia, wystawione – jak każde dzieło ludzkie – na grę przypadku, a w szczególności na unicestwienie.

–To nie jest zadanie dla lotnictwa – zauważył Shears. – Niełatwo zniszczyć z powietrza drewniany most. Jeśli bomby trafią w cel, zdruzgocą zaledwie dwa lub trzy przęsła, reszta ulega tylko nadwerężeniu. Japończycy naprawią, jak się da – w tych sprawach są mistrzami. Za to my możemy nie tylko wysadzić most, nie tylko strzaskać filary, ale w dodatku zrobić to w momencie przejazdu pociągu. Wówczas

cały konwój runie do rzeki, powodując szkody nie do naprawienia i nie pozostawiając ani jednej belki cało. Widziałem już raz coś takiego. Ruch został przerwany na wiele tygodni. A było to w kraju cywilizowanym, gdzie nieprzyjaciel mógł sprowadzić dźwigi. W obecnym przypadku zapewniam was, będą musieli przesunąć nieco trasę i wybudować most na nowo... Nie mówiąc o stracie pociągu z ładunkiem. Scena z piekła! Jak bym to widział...

Wszyscy trzej mieli przed oczyma ten wspaniały spektakl. Wielka akcja miała już teraz solidną podstawę, na której fantazja mogła budować spokojnie. Podczas snu przed Joyce'em przesuwał się cały korowód obrazów, na przemian mrocznych, to znowu jasnych. Pierwsze łączyły się z przygotowaniami, których trzeba będzie dokonać w nocy, drugie kończyły się obrazem tak pełnym blasku, że najdrobniejsze szczegóły można w nim było rozróżnić z zadziwiającą dokładnością: pociąg wjeżdżał na most przewieszony nad przepaścią, na której dnem lśniła rzeka Kwai pomiędzy dwiema zwartymi ścianami dżungli. Jego ręka zaciskała się na dźwigni. Oczy miał utkwione w punkt leżący pośrodku mostu. Przestrzeń pomiędzy lokomotywą a owym punktem zmniejszała się gwałtownie. Dźwignię trzeba nacisnąć w odpowiednim momencie. Już tylko kilka stóp, już tylko jedna... W tej właśnie chwili ręka powinna bez wahania opaść w dół. Na tym moście – wizji, który zbudował w krainie ducha, Joyce wyszukał już punkt znajdujący się pośrodku.

–Sir – zaniepokoił się któregoś dnia – żeby tylko lotnicy nie wmieszali się w to przed nami!

–Wysłałem już meldunek z prośbą, żeby tutaj nie interweniowali – odpowiedział Shears. – Spodziewam się, że zostawią nas w spokoju.

Zanim jeszcze sami przystąpili do przygotowania wielkiej akcji, zebrali mnóstwo informacji na temat mostu, który partyzanci syjamscy na ich polecenie obserwowali ze szczytu sąsiadującej z nim góry. Żaden z nich trzech nie odważył się jednak udać w jego pobliże, w obawie, by nie rozniosła się wiadomość o pobycie białego człowieka w tym rejonie. Opisywano im most setki razy, a najrzęczniejsi zwiadowcy rysowali go nawet na piasku. Ze swojego schronienia śledzili wszystkie etapy budowy, zdumieni niezwykłym porządkiem i sprawną organizacją, które widać było w każdym posunięciu i które przebijały ze wszystkich raportów. Przyzwyczajeni byli do wyluskiwania prawdy z bezładnych sprawozdań. W relacjach partyzantów szybko uchwycili nutę podziwu. Syjamczycy nie byli w stanie ocenić technicznej wiedzy kapitana Reevesa czy organizacji wprowadzonej przez pułkownika Nicholsona, lecz zdawali sobie sprawę, że nie jest to jedna z tych bezkształtnych budowli, jakie zwykli wnosić Japończycy. Narody prymitywne potrafią podświadomie docenić sztukę i wiedzę.

–Szczęść im, Boże – mawiał czasem zniecierpliwiony Shears. – Jeśli nasi ludzie mówią prawdę, to oni budują nowy George Washington Bridge. Chcą przyprawić o

zazdrość przyjaciół Jankesów!

Owe niezwykle, prawie luksusowe rozmiary – Syjamczycy mówili, że oprócz toru most posiadał jezdnię dostatecznie szeroką, by mogły się na niej wyminąć dwie ciężarówki – intrygowały i niepokoiły Shearsa. Tak imponujący obiekt będzie z pewnością specjalnie strzeżony. Ale z drugiej strony może mieć on jeszcze większe znaczenie strategiczne, niż sądził, i zniszczenie go będzie tym większym osiągnięciem.

Krajowcy opowiadali takie często o jeńcach. Widzieli, jak, prawie nadzy, pracowali bez wytchnienia w słonecznym żarze pod nadzorem strażników. Wszyscy trzej zapominali wtedy na chwilę o akcji i myśleli o swych nieszczęśliwych rodakach. Znali metody Japończyków i bez trudu mogli sobie wyobrazić, jak daleko potrafią oni posunąć swoje okrucieństwo, by przeprowadzić wykonanie tej budowli.

Któregoś dnia Joyce powiedział:

–Gdyby oni przynajmniej wiedzieli, Sir, że jesteśmy niedaleko i że most nigdy nie będzie wykorzystany! Na pewno poprawiłoby to ich samopoczucie.

–Możliwe – odparł Shears. – Ale ja za żadną cenę nie chcę nawiązać z nimi kontaktu. To wykluczone, Joyce. W naszym zawodzie zachowanie tajemnicy jest rzeczą nieodzowną, nawet wobec przyjaciół. Ich wyobraźnia zaczęłaby działać. Pragnęliby nam pomóc, a – wprost przeciwnie – naraziliby całą sprawę na fiasko, usiłując sabotować most na swój sposób. Wzbudziliby czujność Japończyków i mogliby ściągnąć na siebie niepotrzebnie straszliwe represje. Nie możemy ich włączyć do naszych planów. Nie wolno dopuścić, aby Japończykom zaświtała choćby myśl o możliwości współpracy jeńców z nami.

Pewnego dnia Shears, nie dowierzając przedziwnym i zdumiewającym informacjom, które codziennie przynoszono mu znad rzeki Kwai, powziął nagłą decyzję.

–Jeden z nas musi pójść i sam zobaczyć. Praca zbliża się ku końcowi, a my nie możemy dłużej polegać na opowiadaniach tych dzielnych ludzi, gdyż wydają mi się fantastyczne. Pan pójdzie, Joyce. Będzie to dla pana znakomita zaprawa. Chcę wiedzieć, jak naprawdę wygląda ten most, rozumie mnie pan? Jakie są jego dokładne rozmiary? Ile ma filarów? Proszę mi przynieść cyfry. W jaki sposób można do niego podejść? Jak jest strzeżony? Jakie są możliwości akcji? Niech się pan sprawi jak najlepiej, nie narażając się jednak zbyt. Jest sprawą zasadniczą, żeby pana nie zauważono, niech pan o tym pamięta. Ale, na Boga, niech mi pan przyniesie dokładne wiadomości o tym przeklętym moście!

–Widziałem go przez lornetkę tak, jak pana widzę, Sir.

–Niech pan zacznie od początku – powtórzył Shears, nie zważając na jego niecierpliwość. – Jak droga?

Joyce wyruszył wieczorem w towarzystwie dwóch krajowców, przywykłych do nocnych milczących wędrówek w czasach, gdy przemycali paki opium i skrzynie papierosów z Burmy do Syjamu. Zapewniali, że znają bezpieczne ścieżki; lecz zachowanie w tajemnicy obecności Europejczyka w pobliżu toru kolejowego było tak ważne, że Joyce postanowił ucharakteryzować się na syjamskiego' wieśniaka i pomalował sobie skórę brunatnym preparatem, przygotowanym w Kalkucie na tego rodzaju okoliczność. Szybko przekonał się, że jego przewodnicy nie kłamali. Prawdziwymi wrogami w tej dżungli były moskity, a przede wszystkim pijawki, które przyczepiały się do jego odsłoniętych nóg, wspinały po ciele, a ich lepkość czuł za każdym razem, gdy przeciągnął ręką po skórze. Zrobił, co mógł, aby pokonać obrzydzenie i nie zwracać na nie uwagi. Prawie mu się udało. W każdym razie po ciemku nie mógł się ich pozbyć. Nie pozwalał sobie na zapalenie papierosa, żeby je przypalić, musiał zresztą wyteżać całą uwagę na postępowanie tuż za Syjamczykami.

–Posuwanie się trudne? – zapytał Shears.

–Dosyć, Sir. Tak jak panu powiedziałem: trzeba trzymać rękę na ramieniu przewodnika. A „ścieżki” tych zuchów są doprawdy osobliwe!

W ciągu trzech nocy kazali mu wdrapywać się na wzgórza i schodzić do parowów. Szli kamienistymi łożyskami strumieni, pokrytymi tu i ówdzie przez kępy zgniłego ziela, którego odór przyprawiał o mdłości; potykał się o nie, zbierając za każdym razem całe roje nowych pijawek. Przewodnicy lubili te ścieżki, pewni, że na nich nie zblądzą. Marsz trwał aż do świtu. Z pierwszym brzaskiem zanurzali się w gęstwinę, szybko zjadali gotowany ryż i kawałki smażonego mięsa, które zabrali na drogę. Obaj Syjamczycy kucali oparłszy się o drzewo i aż do wieczora pykali fajkę, z którą nie rozstawali się nigdy, w ten sposób odpoczywali w dzień po trudach nocy. Czasem, pomiędzy dwoma pociągnięciami fajki, zasypiali nie zmieniając pozycji.

Joyce starał się jednak spać, żeby nabrać sił. Pragnął bowiem wykorzystać wszystkie czynniki, od których zależało powodzenie wyprawy. Zaczynał od usuwania pijawek pokrywających jego ciało. Niektóre z nich, opite krwią, odpadały same podczas marszu, pozostawiając na ciele plamy skrzepłej czarnej krwi. Inne, nie nasycone jeszcze, ssaly zaciekle ten łup, który losy wojny zapędziły do dżungli Syjamu. Pod ognikiem papierosa nabrzmiały kadłub kurczył się, skręcał, wreszcie odrywał się i spadał na ziemię, gdzie Joyce miażdżył go między dwoma kamieniami.

Potem kładł się na kawałku płótna i zasypiał natychmiast; jednak mrówki nie na długo pozostawiały go w spokoju. Zwabione kroplami zakrzepłej krwi, którymi usiana była jego skóra, wybierały ten moment i ciągnęły całymi legionami, tworząc czarne i czerwone nitki. Nauczył się odróżniać je od pierwszego zetknięcia, zanim jeszcze rozbudziły go na dobre. Z czerwonymi sprawa była beznadziejna. Ich ukąszenia w zranione miejsca piekły jak uchwyt rozżarzonych do białości kleszczy. Już jedna mrówka była nie do zniesienia, a one nadciągały całymi batalionami. Musiał opuszczać legowisko i szukać innego, gdzie mógłby odpocząć aż do chwili, gdy go odkryją i podejmą atak na nowo. Czarne mrówki, a zwłaszcza te duże, były znośniejsze. Nie gryzły i budziły Joyce'a dopiero wtedy, kiedy pokryły całkowicie jego rany.

Udawało mu się jednak przespać na tyle, aby z nadejściem wieczoru był zdolny wdrapywać się na szczyty dziesięć razy wyższe i sto razy bardziej strome niż góry Syjamu. Upajał się świadomością, że samodzielnie prowadzi to rozpoznanie, które było pierwszym etapem w przeprowadzeniu akcji. Nie wątpił, że właśnie od jego energii, oceny sytuacji i od jego posunięć podczas tej wyprawy zależy końcowy sukces, i ta świadomość pozwalała mu zachowywać niewyczerpany zapas sił. Przed oczyma miał bezustannie obraz wyśnionego mostu, wizji, która zamieszkała na stałe w świecie jego marzeń i przydawała jego najbardziej prozaicznym czynom mistycznego aspektu bohaterskiego dążenia do zwycięstwa.

Prawdziwy most, most na rzece Kwai, odsłonił się przed nim nagle, gdy po ostatniej i bardziej od innych męczącej wspinaczce weszli na szczyt góry panującej nad doliną. Maszerowali dłużej niż w ciągu poprzednich nocy i gdy dotarli do punktu obserwacyjnego, o którym wspominali Syjamczycy, słońce już weszło. Widział most tak, jakby nań patrzył z samolotu. Kilkaset metrów pod nim rozpiniała się nad wodą, między dwoma ścianami lasu, jasna wstęga, dość daleko wysunięta na prawo, aby mógł rozpoznać konstrukcję z belek, podtrzymującą nawierzchnię. Przez dłuższą chwilę nie zwrócił uwagi na żaden inny szczegół obrazu, który rozpościerał się u jego stóp. Ani na obóz znajdujący się wprost przed nim na drugim brzegu, ani nawet na grupy jeńców zajętych przy budowie. Punkt obserwacyjny był idealny i Joyce czuł się całkowicie bezpieczny. Patrole japońskie nie miały po co zapuszczać się w gęstwinę dzielącą go od rzeki.

–Widziałem go tak, jak pana widzę, Sir. Syjamczycy nie przesadzili. Wygląda potężnie. Jest solidnie zbudowany. Różni się całkowicie od innych japońskich mostów. Oto kilka szkiców; ale zrobiłem więcej...

Rozpoznał go na pierwszy rzut oka. Wstrząs, jakiego doznał na widok tej materializacji marzenia, nie polegał na zaskoczeniu, lecz, przeciwnie, wypływał ze stwierdzenia, że ten obraz jest mu dobrze znany. Most był właśnie taki, jakim go sobie wyobraził. Oglądał go najpierw z niepokojem, potem ze wzrastającą pewnością siebie. Całość scenerii zgadzała się również z tym, co sobie wymarzył i czego

pragnął. Różnice były niewielkie. Woda nie lśniła, jak przewidywał. Była błotnista. Z początku odczuł to jako prawdziwą przykrość, ale rozpogodził się na myśl, że fakt ten sprzyja ich akcji.

Przez dwa dni leżał ukryty w krzakach; chciwie obserwował i badał przez lornetkę teren, na którym miała rozegrać się akcja. Wyrył sobie w mózgu jego widok ogólny i wszystkie szczegóły; robił notatki, szkicował plan ścieżek, obozu, japońskich baraków, zakrętów rzeki, a nawet wielkich głazów, tu i ówdzie sterczących z wody.

–Prąd nie jest gwałtowny, Sir. Mała łódka albo dobry pływak przepłynie rzekę. Woda jest błotnista... Most posiada jezdnię... I cztery rzędy filarów. Widziałem, jak jeńcy wbijali je kafarem. Jeńcy angielscy... Dochodzą już prawie do lewego brzegu, Sir, do tego brzegu, na którym znajduje się nasz punkt obserwacyjny. Za nimi postępują inne drużyny. Za jakiś miesiąc most powinien być gotów... Górna konstrukcja...

Miał teraz do zakomunikowania takie mnóstwo informacji, że nie przestrzegał już logicznego porządku w swym opowiadaniu. Shears dał mu mówić na jego sposób i nie przerywał ani słowem. Gdy skończy, będzie dość czasu na postawienie ścisłych pytań.

–Górna konstrukcja składa się z sieci belek podłużnych i poprzecznych i wygląda na znakomicie przemyślaną. Belki są dobrze ociosane i dopasowane. Widziałem przez lornetkę szczegóły wiązań... To wyjątkowo staranna robota, Sir... I solidna, nie ma co ukrywać. Tu nie chodzi już teraz o potrzaskanie paru kawałków drzewa. Zastanawiałem się tam na miejscu, Sir, nad najskuteczniejszym, a zarazem najprostszym sposobem. Myślę, że musimy zaatakować od słupów. W wodzie, a raczej pod wodą. Woda jest brudna. Nie będzie widać ładunków. W ten sposób cały most od razu wyleci w powietrze.

–Cztery rzędy słupów – przerwał Shears w zamyśleniu. – To nie byle jaka robota. Czemuż, do diabła, nie mogli zbudować tego mostu tak, jak to zwykle robią?

–Jaki jest odstęp między słupami tego samego rzędu? – spytał Warden, który lubił dokładność.

–Dziesięć stóp.

Shears i Warden przeprowadzili w milczeniu to samo obliczenie.

–Przyjmijmy, dla wszelkiej pewności, długość sześćdziesięciu stóp – rzekł Warden. – To znaczy sześć słupów w każdym rzędzie, a zatem dwadzieścia cztery słupy do „obrobienia”. Zajmie to dużo czasu.

–Można to zrobić w ciągu jednej nocy, Sir, jestem tego pewien. Pod mostem można pracować spokojnie. Jest tak szeroki, że można się pod nim zupełnie schować. Plusk

wody o filary głośzy wszystkie inne odgłosy. Wiem o tym...

–Skąd może pan wiedzieć, co się dzieje pod mostem? – spytał Shears patrząc na niego z zaciekawieniem.

–Chwileczkę, Sir, nie powiedziałem panu jeszcze wszystkiego. Ja tam byłem.

–Był pan tam?

–Musiałem, Sir. Mówił mi pan, żebym się nie zbliżał do mostu, ale musiałem to zrobić, aby zdobyć pewne ważne informacje. Z punktu obserwacyjnego zszedłem drugim stokiem wzgórza w stronę rzeki. Sądziłem, że nie wolno mi zmarnować takiej okazji, Sir... Syjamczycy prowadzili mnie po śladach dzików. Trzeba było iść na czworakach.

–Ile czasu panu to zabrało? – spytał Shears.

–Okolo trzech godzin, Sir. Wyruszyliśmy pod wieczór. Chciałem być na miejscu w nocy. To było ryzykowne, oczywiście, ale chciałem sam zobaczyć...

–Nieźle jest czasem rozumieć instrukcje nieco szerzej – powiedział „Number one” zerknąwszy na War den a. – Udało się panu, prawda? To już jest coś.

–Nie zauważyli mnie, Sir. Dotarliśmy do rzeki, mniej więcej o ćwierć mili powyżej mostu. Leży tam niestety mała, odosobniona wioska krajowców. Ale wszyscy spali. Odesłałem przewodników. Chciałem być sam na tym rozpoznaniu. Wszedłem do wody i dałem się nieść z prąciem.

–Noc była jasna? – spytał Warden.

–Dosyć. Nie było księżyca, ale nie było też chmur. Most jest bardzo wysoki. Nie mogą nic spostrzec...

–Idźmy po kolei – powiedział Shears. – Jak się pan dostał do mostu?

–Płynąłem na plecach, Sir. Byłem całkiem zanurzony, z wyjątkiem ust. Nade mną...

–Mój Boże, Shears – mruknął Warden – mógłby pan pomyśleć trochę, o mnie przy podobnych zadaniach.

–Sądzę, że następnym razem pomyślę przede wszystkim o sobie – mruknął Shears.

Joyce opowiadając przeżywał na nowo całą scenę tak intensywnie, że dwaj jego towarzysze dali się ponieść entuzjazmowi i naprawdę żalowali, że ich ominęła ta przyjemność.

Było to właśnie w dzień przybycia do punktu obserwacyjnego, po trzech nocach wyczerpującego marszu, gdy nagle zdecydował się, że zaryzykuje tę wyprawę. Nie mógł dłużej czekać. Skoro zobaczył, że most jest tak blisko, niemal w zasięgu ręki, musiał dotknąć go palcem.

Wyciągnięty w wodzie, nie rozróżniał żadnego szczegółu na brzegach, za ledwie zdając sobie sprawę, że unosi go niewyczuwalny prąd. Jako jedyny punkt orientacyjny miał przed sobą długą, poziomą linię mostu. Czarno odznaczała się na niebie. W miarę zbliżania wydłużała się, wznosząc się ku zenitowi, podczas gdy gwiazdy nad jego głową śpieszyły, by się w niej zatracić.

Ciemność pod mostem była niemal zupełna. Przebywał tam długo, bez ruchu, przywarty do słupa, w zimnej wodzie, która nie uśmierzała jego gorączki. Stopniowo zaczął przebijać wzrokiem mrok, dostrzegając w nim bez zdumienia dziwny las, złożony z gładkich pali wynurzających się z wirów. Ten widok mostu był mu równie dobrze znany.

–Rzecz jest do zrobienia, Sir, jestem tego pewien. Najlepiej przewieźć ładunki na lekkiej tratwie. Tratwa będzie niewidoczna. A ludzie będą w wodzie. Pod mostem jest spokojnie. Prąd nie jest na tyle silny, żeby przeszkodził w pływaniu od jednego słupa do drugiego. W razie potrzeby można się przywiązać, żeby się nie dać unieść... Ja przepląnąłem całą długość. Zmierzyłem szerokość pali, Sir. Nie są zbyt grube. Niewielki ładunek wystarczy... pod wodą... Woda jest brudna, Sir.

–Trzeba by umieścić ładunek dość głęboko – powiedział Warden. – w dniu akcji woda może być czysta.

Joyce przeprowadził próbę wszystkich koniecznych czynności. Ponad dwie godziny badał filary dokonując ich pomiarów przy pomocy sznurka, obliczając odstęp między nimi, wybierając te, których zniszczenie spowoduje najbardziej tragiczną katastrofę, i wbijając sobie w pamięć wszelkie szczegóły, przydatne do przygotowania właściwej akcji. Dwa razy usłyszał ciężkie kroki wysoko ponad głową. Strażnik japoński przechadzał się po moście. Joyce skulił się przy filarze i czekał. Strażnik niedbale omiótł rzekę elektryczną latarką.

–Niebezpieczeństwo grozi przy dopływaniu do celu, Sir, jeśli zaświecą lampę. Ale skoro się raz znajdziemy pod mostem, usłyszymy z daleka, jak nadchodzą. Stuk kroków odbija się od wody. Jest mnóstwo czasu, żeby dostać się do któregoś z wewnętrznych rzędów.

–Czy rzeka jest głęboka? – spytał Shears.

–Ponad dwa metry, Sir. Nurkowałem.

–Jaki jest pański plan przeprowadzenia akcji?

–Nie sądzę, Sir, żeby można było marzyć o odpaleniu samoczynnym, wywołanym przejazdem pociągu. Nie moglibyśmy ukryć kabli. Wszystko musi się znajdować pod wodą, Sir... Długi kabel zatopiony na dnie rzeki. Koniec wyciągnięty na brzeg, ukryty w krzakach... na prawym brzegu, Sir. Odkryłem idealne miejsce. Skrawek dziewiczej dżungli, gdzie człowiek może się ukryć i czekać. Stamtąd jest też dobry widok na most poprzez wyłom wśród drzew.

–Dlaczego na prawym brzegu? – przerwał Shears marszcząc brwi. – o ile wiem, na tym brzegu znajduje się obóz. Dlaczego nie na brzegu przeciwnym, na którym, jak pan sam mówił, jest wzgórze pokryte gęstymi zaroślami, które powinny stanowić naturalną osłonę odwrotu.

–To prawda, Sir. Ale proszę jeszcze raz spojrzeć na ten szkic. Za mostem w dół tor zrobiwszy wielki łuk okrąża właśnie tę górę i biegnie wzdłuż rzeki. Między wodą a torem dżungla jest wycięta, teren ogołocony z zarośli. Za dnia człowiek nie może się tam ukryć. Musiałby po drugiej stronie nasypu cofnąć się bardzo do tyłu, aż do stoku wzgórza. Zbyt długi kabel, Sir, przecinający tor, niemożliwy jest do ukrycia, chyba żeby poświęcić temu wiele pracy.

–Nie bardzo mi się to podoba – oświadczył „Number one”. – a dlaczego nie na lewym brzegu, ale powyżej mostu?

–Nie można się wydostać z wody na brzeg, Sir; to urwista skała. A jeszcze dalej znajduje się wioska krajowców. Poszedłem zobaczyć. Jeszcze raz przepląnąłem rzekę, i przeciąłem tor. Zatoczyłem koło, żeby zostać na osłoniętym terenie, i wróciłem powyżej mostu. To niemożliwe, Sir. Jedyne odpowiednie miejsce znajduje się na prawym brzegu.

–Ach, tuk! – wykrzyknął Warden. – a więc przez całą noc kręcił się pan koło mostu?

–Mniej więcej. Ale przed świtem byłem już z powrotem w dżungli. Do punktu obserwacyjnego dotarłem wcześniej rano.

–A jak, według pańskiego planu, uratuje się człowiek, który pozostanie na posterunku? – zapytał Shears.

–Dobremu pływakowi przebycie rzeki nie zabierze więcej niż trzy minuty; w tym czasie ją przepląnąłem. Sir. A eksplozja odwróci uwagę Japończyków. Myślę, że grupa wspierająca umieszczona u stóp wzgórza mogłaby osłaniać jego odwrót. Jeśli uda mu się potem przebyć odsłoniętą przestrzeń i tor, jest uratowany, Sir. Dżungla nie pozwala na skuteczny pościg. Zapewniam pana, że to jest najlepszy plan.

Shears długo się namyślał, pochylony nad szkicami Joyce'a.

–To jest plan, który zasługuje, na to, żeby go przestudiować – powiedział w końcu.

– Oczywiście, ponieważ był pan na miejscu, jest pan dostatecznie uprawniony, żeby wyrazić swoją opinię; rezultat wart jest podjęcia ryzyka... Co pan tam jeszcze widział ze swojej grędy?

Słońce było już wysoko, gdy stanął na szczycie wzgórza. Dwaj przewodnicy, którzy wrócili w nocy, czekali na niego z niepokojem. Był wyczerpany. Wyciągnął się, żeby odpocząć godzinę, i zbudził się dopiero pod wieczór. Wyznał to, usprawiedliwiając się.

–Dobrze... Spodziewam się, że spał pan także w nocy? To było najlepsze, co pan mógł zrobić. A nazajutrz wrócił pan na posterunek?

–Tak jest, Sir. Zostałem tam o jeden dzień dłużej. Było jeszcze wiele rzeczy do zbadania.

Poświęciwszy pierwszą część rozpoznania obiektom martwym, pragnął także przyjrzeć się istotom żywym. Urzeczony do tej chwili mostem i elementami krajobrazu, z którymi wiązała się ściśle przyszła akcja, poczuł się nagle wstrząśnięty widokiem swych nieszczęśliwych braci, skazanych na podłą wegetację niewolników. Widział ich przez lornetkę, jak krzżeli się bez przerwy. Dobrze znał metody stosowane przez Japończyków w obozach. Mnóstwo tajnych raportów mówiło szczegółowo o okrucieństwach, jakich dopuszczali się zwycięzcy.

–Czy był pan świadkiem jakichś przykrych scen? – spytał Shears.

–Nie, Sir, w tym dniu pewnie się nie zdarzyły. Ale byłem naprawdę wstrząśnięty myślą o tym, że oni pracują w ten sposób od całych miesięcy, w takim klimacie, źle żywieni, źle zakwaterowani, traktowani bezwzględnie i pod groźbą straszliwych kar!

Dokonał przeglądu wszystkich drużyn. Obserwował przez lornetkę każdego człowieka z osobna i był przerażony ich stanem. „Number one” zmarszczył brwi.

–Nasza praca nie pozwala nam zanadto się rozczulać, Joyce.

–Wiem o tym, Sir, ale oni to naprawdę tylko skóra i kości. Większość z nich ma nogi i ręce pokryte ranami i wrzodami. Niektórzy ledwie mogą się poruszać. W Europie nikomu nie przyszłoby na myśl zmuszać do pracy ludzi tak wyczerpanych. Trzeba ich widzieć, Sir! Można nad nimi płakać. Ludzie z drużyny, która ciągnie sznury kafara, wbijającego ostatnie słupy... to istne szkielety, Sir! Nigdy nie widziałem czegoś tak wstrząsającego. To najohydniejsza zbrodnia.

–Niech się pan nie martwi – powiedział Shears. – Wszystko otrzyma swoją zapłatę.

–Muszę jednak wyznać, Sir, że ich postawa wzbudziła mój podziw. Mimo widocznego wyczerpania fizycznego żaden z nich nie wydawał się naprawdę załamany. Obserwowałem ich uważnie. Odniosłem wrażenie, Sir, że uważają za punkt

honoru nie zwracać uwagi na obecność strażników – zachowują się tak, jakby Japończycy nie istnieli. Od świtu do zmierzchu przebywają na terenie pracy... I to tak od całych miesięcy, zapewne bez jednego dnia odpoczynku... Nie robią przy tym wrażenia ludzi zrozpaczonych. Mimo dziwnego stroju, mimo fizycznego wyczerpania nie mają w sobie nic z niewolników, Sir. Widziałem wyraz ich oczu.

Wszyscy trzej milczeli długą chwilę, oddając się swym myślom.

–Żołnierz angielski posiada niewyczerpane zasoby odporności – powiedział wreszcie Warden.

–Czy widział pan coś jeszcze? – spytał Shears.

–Oficerów, angielskich oficerów, Sir! Nie pracują. Dowodzą swoimi ludźmi, a ci najwyraźniej przejmują się ich rozkazami znacznie więcej niż rozkazami strażników. Noszą mundury.

–Mundury!

–Z dystynkcjami, Sir. Rozpoznałem wszystkie stopnie.

–Do diabła?... – wykrzyknął Shears. – Syjamczycy o tym wspominali, ale ja nie chciałem im wierzyć. W innych obozach pędzą do pracy wszystkich jeńców bez wyjątku... Czy byli tam wyżsi oficerowie?

–Jeden pułkownik, Sir. To z pewnością pułkownik Nicholson, o którym wiemy, że się tam znajduje, i którego torturowano zaraz po przybyciu. Jest przez cały czas na budowie. Chyba po to, aby interweniować, gdy zajdzie potrzeba, między swymi ludźmi a Japończykami, bo niewątpliwie zdarzały się przypadki... Gdyby pan widział tych strażników, Sir! Przebrane małpy. Sam pułkownik Nicholson zachowuje zdumiewającą godność... To prawdziwy dowódca, Sir.

–Istotnie, trzeba niezwykłego autorytetu i rzadkich zalet, żeby utrzymać morale w podobnych warunkach – rzekł Shears. – Ja także chylę przed nim głowę.

W ciągu dnia Joyce widział jeszcze inne zdumiewające rzeczy. Ciągnął dalej swoje opowiadanie, pragnąc wyraźnie podzielić się z nimi swoim zdumieniem i podziwem.

–W pewnej chwili jakiś jeńiec, pracujący ze swoją drużyną w znacznej odległości, przeszedł przez most, żeby powiedzieć coś pułkownikowi. Na sześć kroków przed nim, Sir, stanął na baczność – w tym swoim dziwnym kostiumie! i to wcale nie było śmieszne. Nagle z wrzaskiem, wymachując karabinem, zbliżył się Japończyk. Jeńiec opuścił pewnie swoją drużynę bez pozwolenia. Pułkownik Nicholson spojrzał na strażnika w szczególny sposób, Sir. Nic nie uрониłem z tej sceny. Strażnik nie upierał się i odszedł. Niewiarygodne! Ale to nie wszystko: pod wieczór przyszedł na

most pułkownik japoński, prawdopodobnie Saito, którego nam opisywano jako straszliwego chama. Otóż – nie kłamię, Sir – zbliżył się do pułkownika Nicholsona w postawie pełnej szacunku, ależ tak, szacunku. Pewne drobiazgi nie mogą mylić. Pułkownik Nicholson zaszalutował pierwszy, ale tamten odsalutował z pośpiechem... I prawie nieśmiało; widziałem dobrze! a potem spacerowali razem. Japończyk robił wrażenie podwładnego, który słucha rozkazów. Serce mi rosło, jak na to patrzyłem, Sir.

–Ja też nie mogę powiedzieć, żeby mnie to martwiło – mruknął Shears.

–Na zdrowie pułkownika Nicholsona – powiedział nagle Warden podnosząc szklanę.

–Ma pan rację, Warden, na jego zdrowie i na zdrowie tych pięciuset czy sześciuset nieszczęśników, którzy żyją w takim piekle przez ten przeklęty most!

–A jednak szkoda, że on nie może nam pomóc.

–Szkoda, być może, ale pan zna nasze zasady, Warden; musimy działać sami... Pomówmy jeszcze trochę o moście.

Rozmawiali jeszcze o moście przez cały wieczór i gorączkowo studiowali szkice Joyce'a prosząc go nieustannie o dokładne objaśnienie jakiegoś szczegółu, co czynił bez namysłu. Mógłby z pamięci narysować każdy fragment budowli i opisać każdy wir rzeki. Zaczęli omawiać obmyślony przez niego plan, układać listę wszystkich koniecznych operacji; każdą z nich omawiali szczegółowo i starali się przewidzieć wszelkie niespodziewane wypadki, jakie mogą zajść w ostatniej minucie. Potem Warden wyszedł, żeby odebrać meldunki przez zainstalowaną w sąsiedniej izbie radiostację. Joyce wahał się przez chwilę.

–Sir – powiedział w końcu – z nas trzech ja jestem najlepszym pływakiem i znam już ten teren...

–Zobaczymy później – przerwał „Number one”.

Widząc, że Joyce zatacza się idąc do łóżka, Shears zorientował się, że jest on u kresu sił. Po trzech dniach spędzonych na wypatrywaniu w pozycji leżącej ruszył nocą w drogę powrotną i wrócił do kwatery maszerując jednym ciągiem i zatrzymując się tylko po to, żeby coś zjeść. Nawet Syjamczycy z trudem znosili tempo, które im narzucił. A teraz pograżyli się w pełne podziwu opowiadanie o tym, jak to młodemu białemu człowiekowi udało się ich zmęczyć.

–Musi pan wypocząć – powtórzył „Number one”. – Nie ma sensu zamęczyć się na śmierć. Będziemy jeszcze potrzebować pańskich sił. Dlaczego wrócił pan tak szybko?

–Most będzie prawdopodobnie skończony szybciej niż za miesiąc, Sir.

Joyce zasnął natychmiast, nie zmywszy nawet farby, która zmieniała go nie do poznania. Shears wzruszył ramionami i nie próbował go budzić. Został sam, zastanawiając się głęboko nad podziałem ról w dramacie, który miał się rozegrać w dolinie rzeki Kwai. Nie powziął jeszcze decyzji, gdy wrócił Warden wręczając mu kilka meldunków, które właśnie rozszyfrował.

–Termin chyba się zbliża, Shears. Informacje z centrali: linia kolejowa jest prawie gotowa na wszystkich odcinkach. Otwarcie powinno nastąpić w ciągu pięciu lub sześciu tygodni. Pierwszy pociąg będzie nabyty wojskiem i generałami. Mała uroczystość... Ponadto duży zapas amunicji. Nie wygląda to źle. Centrala aprobeje każdą pańską inicjatywę i zostawia panu całkowitą swobodę. Lotnictwo nie będzie interweniować. Będziemy codziennie otrzymywać informacje... Dzieciak śpi?

–Niech go pan nie budzi. Zasłużył na odpoczynek. Dał sobie znakomicie radę... Warden, czy pańskim zdaniem, można na niego liczyć w „każdej” sytuacji?

Warden zastanowił się, zanim odpowiedział:

–Robi dobre wrażenie. Niczego nie można twierdzić „przedtem”, wie pan o tym równie dobrze jak ja. Rozumiem, co pan ma na myśli. Idzie o to, czy w ciągu kilku sekund, a może jeszcze szybciej, potrafi podjąć ważną decyzję i zmusić się do jej wykonania... Dlaczego mnie pan o to pyta?

–On pozwiedzał: „Z nas trzech ja jestem najlepszym pływakiem.” To nie przechwałki. To prawda.

–Kiedy wstępowałem do Oddziału 316 – mruczał Warden – nie wiedziałem, że do odgrywania czołowych ról trzeba koniecznie być mistrzem pływackim. Będę trenował na najbliższych wakacjach.

–Jest w tym także moment psychologiczny. Jeśli nie powierzę mu tej roboty, straci do siebie zaufanie i przez dłuższy czas będzie do niczego. Nigdy nie jest się siebie pewnym „przedtem”, jak pan mówi... on także nie jest... A spala się w oczekiwaniu, żeby się przekonać... Sprawą zasadniczą jest oczywiście pytanie, czy ma tyle szans na pomyślne przeprowadzenie akcji co my. Myślę, że tak... A przy odwróceniu miałyby ich więcej. Rozstrzygniemy to za kilka dni. Chcę widzieć, jak będzie czuł się jutro. Przez pewien czas nie trzeba z nim mówić o moście... Nie za bardzo mi się podoba, że tak roztkliwiał się nad nieszczęściami jeńców... Och, dobrze wiem, co mi pan powie... Uczucie i działanie – to dwie różne sprawy. Ma jednak skłonności do nabijania sobie głowy... do wyobrażania sobie każdej sytuacji. Rozumie mnie pan?... On trochę za wiele się zastanawia.

–Nie można ustalić ogólnej reguły dla tego rodzaju pracy – powiedział mądry

Warden. – Wyobraźnia, a nawet rozwaga dają dobre rezultaty. Nie zawsze, co prawda.

IV

Pułkownika Nicholsona niepokoił także stan zdrowia jeńców i przyszedł do szpitala, żeby pomówić o tym z lekarzem.

– Tak nie może być dłużej, Clipton – powiedział poważnym, niemal surowym tonem. – Oczywiście, że człowiek ciężko chory nie może pracować, ale są pewne granice. Wpisał pan teraz na listę chorych połowę moich żołnierzy! Jakże pan chce, żebyśmy skończyli most w ciągu miesiąca? Wiem, że prace są zaawansowane, ale zostaje jeszcze dużo do zrobienia, a przy tym zmniejszonym stanie grup drepczemy w miejscu. Ci zaś, którzy pracują, robią to gorzej niż dawniej.

– Proszę na nich spojrzeć, Sir – rzekł Clipton, który słysząc tę filipikę musiał przywołać cały swój zdrowy rozsądek, żeby nie stracić zwykłej flegmy i zachować postawę pełną szacunku, jakiego pułkownik domagał się od wszystkich podwładnych, bez względu na ich stopień czy funkcję. – Gdybym kierował się jedynie moim sumieniem zawodowym albo po prostu poczuciem zwykłego humanitaryzmu, musiałbym nie połowę, lecz wszystkich pańskich żołnierzy uznać za niezdolnych do jakiegokolwiek wysiłku; a zwłaszcza do takiej pracy jak ta!

W ciągu pierwszych miesięcy budowa postępowała w tempie przyśpieszonym, a jedyną przeszkodę stanowiły incydenty wywołane humorami Saito. Ten bowiem co pewien czas dochodził do wniosku, że powinien odzyskać autorytet, i w alkoholu czerpał odwagę, aby na drodze okrucieństwa przewycięzać swoje kompleksy. Ale te ataki wściekłości występowały coraz rzadziej, gdyż było aż nadto oczywiste, że szkodzą pracom przy moście. Te zaś przez dłuższy czas wyprzedzały plan ustalony przez majora Hughes i kapitana Reeves, którzy współpracowali ze sobą skutecznie, choć nie bez tarć. Potem jednak klimat, ciężka praca, kiepskie wyżywienie i warunki życia odbiły się wyraźnie na zdrowiu ludzi.

Stan zdrowia jeńców stawał się niepokojący. Pozbawieni mięsa – chyba że mieszkańcy sąsiedniej wioski sprzedali im czasem rachityczną krowę – pozbawieni masła i chleba, jeńcy, których posiłek składał się czasem z samego ryżu, stali się stopniowo podobni do szkieletów, których widok tak wstrząsnął Joyce'em. Jedni musieli całymi dniami ciągnąć za sznur, który powodował opadanie młota na pale, i ta galernicza praca w połączeniu z tęnym odgłosem uderzeń stanowiła prawdziwą torturę. Inni też nie mieli lepiej, zwłaszcza zaś ci, którzy, zanurzeni do połowy w wodzie, stali godzinami na rusztowaniu podtrzymując słupy, podczas gdy z góry spadał na nich ogłuszający huk uderzeń kafara.

Morale było jeszcze względnie dobre dzięki zapałowi takich oficerów jak porucznik Harper. Pełen werwy i energii, sypał cały dzień jowialnymi słowami zachęty; choć oficer, nie oszczędzał się i bez wahania przykładął rękę do roboty, ciągnąc ze

wszystkich sił za sznur, żeby dopomóc najsłabszym. Czasami wykazywali jeszcze poczucie humoru, na przykład gdy nadciągał kapitan Reeves ze swym planem, skalówką, poziomcą i innymi własnoręcznie sfabrykowanymi przyrządami i ślizgał się po powierzchni wody na chwiejnej tratwie, w towarzystwie małego inżyniera japońskiego, który nie odstępował go na krok, naśladował wszystkie jego gesty i z powagą notował cyfry w swym notesie.

Ponieważ oficerowie postępowali ściśle według życzeń pułkownika, losy mostu w zasadzie leżały w jego potężnych rękach. Wiedział o tym. Toteż czuł usprawiedliwioną dumę zwierzchnika, który kocha odpowiedzialność i szuka jej, lecz także – w równym stopniu – bierze na swoje barki cały ciężar kłopotów związanych z tym zaszczytem i z tym stanowiskiem.

Wzrastająca liczba chorych martwiła go najbardziej. Widział, jak jego kompanie dosłownie topnieją w oczach. Powoli, dzień po dniu, godzina po godzinie, jakaś część żywego organizmu ludzkiego roztopiała się w otaczającym wszechświecie. Ten wszechświat ziemi, ogromnej i bujnej roślinności, wody i wilgotnego powietrza usianego moskitami nie wydawał się jednak wzruszać tą daniną. Z arytmetycznego punktu widzenia była to tylko ścisła wymiana cząsteczek, których strata, boleśnie przez jeńców odczuwana, wyrażała się w tysiącach kilogramów, nie przynosząc na zewnątrz żadnej widocznej korzyści.

Clipton obawiał się poważnej epidemii, na przykład cholery, która wybuchła w innych obozach. Dotychczas uniknięto tej klęski dzięki rygorystycznej dyscyplinie, ale przypadków malarii, dyzenterii i beri – beri było bez liku. Z dnia na dzień wzrastała liczba osób, które Clipton zmuszony był uznać za niezdolne do pracy. Dzięki kilku paczkom Czerwonego Krzyża, które uniknęły zagrabienia przez Japończyków i zostały przeznaczone dla chorych, udało mu się zapewnić prawie że odpowiednią dietę tym, którzy mogli jeść. Dla jeńców, którzy ciągnąc kafar pozrywali sobie nie tylko mięśnie, ale wykończyli się nerwowo do tego stopnia, że miewali halucynacje i koszarne wizje, dla tych jeńców kojącym balsamem był sam wypoczynek.

Pułkownik Nicholson, który kochał swych żołnierzy, wspierał z początku Cliptona całą powagą swego autorytetu, aby usprawiedliwić wobec Japończyków owe zwolnienia z pracy. Uprzedził z góry ewentualne protesty Saito wymagając dodatkowego wysiłku od zdrowych.

Ale od dłuższego już czasu wydawało mu się, że Clipton przesadza. Podejrzewał go, że wyraźnie przekracza uprawnienia lekarza i – przez słabość – uznaje za chorych tych jeńców, którzy mogliby jeszcze pracować. Do wyznaczonej daty ukończenia robót pozostał zaledwie miesiąc – nie była to z pewnością odpowiednia pora na popuszczanie cugli. Tego ranka przyszedł do szpitala, aby osobiście zorientować się w sytuacji, rozmówić się na serio z Cliptonem i sprowadzić lekarza, gdyby zaszła

potrzeba, na właściwą drogę w sposób stanowczy, lecz taktowny, jak przystoi wobec oficera – specjalisty w rozmowie na temat tak drażliwy.

–Cóż dolega temu na przykład? – zapytał zatrzymując się i zwracając do chorego. – Co ci jest, mój chłopcze?

Przechadzał się między dwoma rzędami jeńców, leżących na bambusowych pryzkach. Jedni dygotali w gorączce, inni leżeli bezwładnie. Spod nędznych koców wyglądały trupie twarze. Clipton wtrącił żywo, tonem dość ostrym:

–Czterdzieści stopni gorączki dziś w nocy, Sir. Malaria.

–Dobrze, dobrze – odparł pułkownik przechodząc dalej. – a ten?

–Wrzody tropikalne. Wczoraj dłuubałem mu w nodze, o... tym nożem. Nie miałem innego przyrządu. Zrobiłem mu dziurę wielkości piłki do golfa, Sir.

–Więc to było to – mruknął pułkownik Nicholson. – Słyszałem, jak ktoś krzyczał wczoraj wieczorem.

–Tak, to było to. Czterech kolegów musiało go trzymać. Spodziewam się, że uratuję mu nogę... ale nie jestem pewien – dorzucił zniżonym głosem. – Naprawdę chciałby pan, żebym go wysłał na most, Sir?

–Proszę nie mówić głupstw, Clipton. Naturalnie, że nie. Z chwilą kiedy pańskim zdaniem... Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie idzie o to, żeby zmuszać do pracy chorych czy poranionych. Trzeba tylko, żebyśmy sobie wszyscy zdali sprawę z jednego: musimy ukończyć pracę w ciągu miesiąca. Wiem, że wymaga to ogromnego wysiłku, ale nic na to nie mogę poradzić. W konsekwencji za każdym razem, kiedy zabiera mi pan człowieka, praca staje się tym cięższa dla innych. Powinien pan mieć to stale na uwadze, pojmuję pan? Jeśli nawet ktoś nie jest w najlepszej formie fizycznej, może przecież być użyteczny pomagając przy lekkich pracach, na przykład przy lżejszych pracach montażowych lub wykończeniowych, do których zabierze się wkrótce Hughes!

–Przypuszczam, że ma pan zamiar pomalować most, Sir?

–Nie możemy o tym myśleć, Clipton! – gwałtownie odparł pułkownik. – Moglibyśmy najwyżej pomalować wapnem. Co za wspaniały cel dla samolotów! Zapomina pan, że toczy się wojna!

–To prawda, Sir. Toczy się wojna.

–Nie, żadnego luksusu. Jestem temu przeciwny. Wystarczy, że most będzie wyglądał porządnie i że będzie starannie wykończony... Przyszedłem właśnie, żeby

panu to powiedzieć, Clipton. Trzeba dać ludziom do zrozumienia, że to jest sprawa solidarności... A co jest temu, na przykład?

–Ciężka rana na ramieniu, której nabawił się dźwigając belki na budowę pańskiego przeklętego mostu, Sir! – wybuchnął Clipton. – Mam dwudziestu takich jak on. Naturalnie, przy ogólnym stanie ich zdrowia rany nie goją się, tylko jątrzą. Nie mam żadnych środków, żeby ich odpowiednio leczyć.

–Zastanawiam się – powiedział pułkownik Nicholson, uparcie idąc za swoją myślą i przymykając oczy na niewłaściwe odezwanie się Cliptona – zastanawiam się, czy w takim wypadku świeże powietrze i odpowiednie zajęcie nie przyczyniłoby się do ich wyzdrowienia bardziej niż bezczynność i zamknięcie w pańskim baraku. No, Clipton, co pan o tym myśli? Poza tym nie odsyła się u nas człowieka do szpitala z powodu zadraśnięcia w ramię. Myślę, że po zastanowieniu zgodzi się pan w końcu z moim zdaniem.

–U nas, Sir... u nas... u nas!

Podniósł ręce ku niebu gestem bezsilności i rozpaczy. Pułkownik zaciągnął go od chorych do przyległej komórki i w dalszym ciągu bronił swego stanowiska, powołując się na wszystkie racje, jakie zwierzchnik może przytoczyć w wypadku, gdy pragnie raczej przekonać niż rozkazać.

W końcu, gdy Clipton nie wydawał się przekonany, wysunął najpoważniejszy argument: jeśli lekarz będzie nadal tak postępował, Japończycy sami zajmą się opróżnieniem szpitala i uczynią to nie oszczędzając nikogo.

–Saito mi zagroził, że użyje drakońskich środków – powiedział.

Było to pobożne kłamstwo. Saito w tym czasie doszedł już do wniosku, że gwałt mija się z celem, i w gruncie rzeczy był bardzo zadowolony widząc, jak pod jego oficjalnym kierownictwem powstaje najpiękniejszy obiekt na całej linii. Pułkownik Nicholson uważał, że ma prawo zniekształcić w ten sposób prawdę, chociaż dręczyło to jego sumienie. Nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie żadnego środka, który pomagał w ukończeniu mostu – tego mostu, któremu brakowało zaledwie kilkadziesiąt stóp, by nieprzerwaną linią przeciąć dolinę rzeki Kwai.

Wobec tej groźby Clipton, przeklinając w duchu pułkownika, ustąpił. Zwolnił ze szpitala mniej więcej jedną czwartą chorych, mimo wielkich skrupułów, jakie opanowywały go za każdym razem, gdy musiał dokonać wyboru. W ten sposób odesłał do pracy gromadę ludzi kulawych, z lżejszymi ranami oraz chorych chronicznie na malarię, którzy mogli jednak poruszać nogami.

Nie protestowali. Wiara pułkownika była z rodzaju tych, co przenoszą góry, budują piramidy, katedry lub mosty i sprawiają, że umierający pracują z uśmiechem na

ustach. Przekonał ich apel skierowany do poczucia solidarności. Bez szemrania wrócili nad rzekę. Nieszczęśnicy, których jedno ramię unieruchamiał bezkształtny, brudny opatrunek, chwyтали sznur od kafara zdrową ręką, ciągnęli miarowo resztkami woli i sił, uwieszając się całym swym mizernym ciężarem i dorzucając ten ofiarny, bolesny wysiłek do sumy cierpień, które z wolna doprowadzały most na rzece Kwai do jego ostatecznego kształtu.

Dzięki temu przyływowi sił roboczych most został wkrótce ukończony. Pozostało już tylko „wygładzić go”, jak mówił pułkownik, tak aby budowla była wykończona w najdrobniejszych szczegółach.

CZĘŚĆ CZWARTA

WIELKA AKCJA

I

Kilka tygodni po wyprawie Joyce'a Warden odbył tę samą drogę i po wyczerpującej wspinaczce dotarł – on także – do punktu obserwacyjnego. Położył się wśród paproci i teraz on z kolei obserwował znajdujący się w dole most na rzece Kwai.

Warden był przeciwnieństwem romantyka. Z początku obrzucił most szybkim spojrzeniem, co wystarczyło mu, by z satysfakcją rozpoznać w nim obiekt narysowany przez Joyce'a i stwierdzić, że jest ukończony. Towarzyszyło mu czterech partyzantów. Powiedział im, że w tej chwili są mu niepotrzebni. Usiedli więc w ulubionej pozie, zapalili wodną fajkę i spokojnie obserwowali jego czynności.

On zaś najpierw zainstalował radiostację i nawiązał kontakt z kilkoma stacjami. Jedna z nich, niezwykle cenna w okupowanym kraju, dostarczała mu codziennie informacji na temat bliskiego wyjazdu długiego konwoju, który miał zainaugurować linię kolejową Burmy i Syjamu. Odebrane meldunki uspokoiły go. Nie było żadnej zmiany rozkazów.

Przygotował więc – tak wygodnie, jak to było możliwe – swój śpiwór i moskitierę, starannie ułożył kilka przyborów toaletowych, a następnie zrobił to samo z rzeczami Shearsa, który miał przyłączyć się do niego na tym wzgórzu. Warden był przewidujący, a poza tym starszy i stateczniejszy od Joyce'a. Miał więcej doświadczenia.

Znał dżunglę z kilku wypraw, które urządził sobie kiedyś podczas profesorskich wakacji. Wiedział, jak wysoko człowiek cywilizowany ceni szczoteczkę do zębów i o ile dłużej można tu wytrzymać, jeśli się ma wygodne poślanie, a po przebudzeniu filiżankę gorącej kawy. Gdyby po akcji znaleźli się w tarapatach, można było zrezygnować z tych rzeczy potrzebnych ludziom cywilizowanym; traciły one wtedy swoje znaczenie. Teraz jednak miały im pomóc do utrzymania się w jak najlepszej formie, aż do chwili działania. Zadowolony ze swych przygotowań, Warden zjadł coś, przespał się przez trzy godziny, a potem wrócił na punkt obserwacyjny i obmyślał, jak by tu najlepiej wywiązać się ze swego zadania.

Zgodnie z planem naszkicowanym przez Joyce'a, wielokrotnie diskutowanym, a wreszcie ustalonym definitywnie przez wszystkich trzech i pewnego dnia na rozkaz Shearsa wprowadzonym w życie, grupa Oddziału 316 została rozdzielona. Shears, Joyce i dwóch syjamskich ochotników, w towarzystwie kilku tragarzy, wyruszyli w

kierunku miejsca położonego nad rzeką znacznie powyżej mostu, gdyż materiału wybuchowego nie można było ładować na tratwę w pobliżu obozu. Poszli nawet dość daleko, nakładając drogi, żeby ominąć kilka wiosek krajowców. Czterech ludzi miało podpłynąć nocą do mostu i przygotować całe urządzenie. Byłoby dużym błędem przypuszczać, że wysadzenie mostu jest sprawą prostą. Joyce miał pozostać ukryty na nieprzyjacielskim brzegu, oczekując nadejścia pociągu. Shears miał wrócić do Wardena, aby razem z nim zająć się osłoną odwrotu.

Warden powinien był rozlokować się na punkcie obserwacyjnym, utrzymywać kontakt radiowy, śledzić, co działo się wokół mostu, i wyznaczyć stanowiska, z których można by osłaniać odwrot Joyce'a. Zadanie jego nie było ściśle określone. „Number one” zostawił mu pewną inicjatywę. Miał postępować tak, jak mógł najlepiej, stosownie do okoliczności.

–Jeśli dostrzeże pan możliwość jakiejś akcji dodatkowej, naturalnie bez narażania się na ryzyko, że pana odkryją, nie zabraniam – powiedział Shears. – Zasady Oddziału 316 są zawsze takie same. Niech pan jednak pamięta, że głównym celem jest most i że w żadnym wypadku nie wolno panu narazić szans powodzenia tej akcji. Liczę na to, że będzie pan równocześnie rozsądny i aktywny.

Wiedział, iż może liczyć na to, że Warden będzie równocześnie aktywny i rozsądny. Gdy był na to czas, Warden systematycznie rozważał konsekwencje wszystkich swoich przyszłych poczynań.

Rozejrzawszy się po okolicy, Warden postanawia tutaj właśnie, na szczycie tego wzgórza, umieścić swą kieszonkową artylerię – dwa lekkie moździerze, jakie ma do dyspozycji – i pozostawić na tym posterunku dwóch syjamskich partyzantów. Będą oni podczas akcji ostrzeliwać szczątki pociągu, żołnierzy, którzy próbowaliby uciekać po wybuchu, i tych, którzy pośpieszą im na pomoc.

Mieściło się to doskonale w ramach planu, który mu ogólnikowo nakreślił jego dowódca, kiedy powołał się na niezmiennie zasady Oddziału 316. Zasady te można by streścić w następujący sposób: „Nigdy nie uważać operacji za całkowicie ukończoną; nigdy nie spocząć na laurach, dopóki istnieje choćby najmniejsza możliwość nękania nieprzyjaciela.” (Także i w tej dziedzinie – jak w wielu innych – zabiegano o anglosaskie „wykończenie”.) Otóż nie ulegało wątpliwości, że deszcz drobnych pocisków spadający z góry na ocalałych z katastrofy przyczyni się nieźle do ostatecznego pognębienia nieprzyjaciela. Wysunięty do przodu punkt obserwacyjny nadawał się doskonale na ten cel. Ta dodatkowa akcja miała w oczach Wardena jeszcze jedną dobrą stronę: odwróci uwagę Japończyków, a zatem pośrednio pomoże w osłanianiu odwrotu Joyce'a.

Warden długo czołga się wśród dzikich paproci i rododendronów, zanim znajduje stanowiska, które zadowolają go w zupełności. Odkrywszy je przywołuje

Syjamczyków, wyznacza dwóch i wyjaśnia im dokładnie, co mają robić, gdy nadejdzie moment działania. Ci pojmują w lot i zdaje się, że doceniają jego pomysł.

Jest już prawie czwarta po południu, gdy Warden kończy te przygotowania. Zaczyna się zastanawiać, co mógłby jeszcze zrobić, gdy oto słyszy muzykę dobiegającą z doliny. Podejmuje więc obserwację, śledząc przez lornetkę poruszenia jeńców i nieprzyjaciela. Na moście nie ma nikogo, ale w obozie, na drugim brzegu rzeki, panuje dziwne ożywienie. Warden orientuje się bardzo szybko, że z okazji pomyślnego ukończenia dzieła jeńcom pozwolono – a może ich zmuszono – urządzić uroczystości. Meldunek przyjęty przed kilkanaście dniami pozwalał spodziewać się tych radosnych manifestacji, nakazanych z łaski Jego Cesarskiej Wysokości.

Instrument, z którego płynie melodia, jest prymitywny, sfabrykowany zapewne na miejscu, z czego się dało, lecz ręka, która brzdąka w struny, należy do Europejczyka. Warden zna dość dobrze dzikie melodie Japończyków, żeby się nie mylić. Zresztą wkrótce dobiega echo pieśni. Głos osłabiony wyczerpaniem, nędzą, lecz którego akcent nie budzi wątpliwości, śpiewa stare szkockie melodie. Znany refren, powtarzany chórem, unosi się nad doliną. Ten patetyczny koncert, słuchany w samotności punktu obserwacyjnego, sprawia Wardenowi przykrość. Z wysiłkiem odpędza melancholijne myśli i udaje mu się wreszcie skoncentrować uwagę na obowiązkach swej misji. Wydarzenia interesują go już tylko przez swój związek z przygotowaniami do wielkiej akcji.

Na krótko przed zachodem słońca odnosi wrażenie, że w obozie przygotowuje się bankiet. Jeńcy kręcą się przy kuchniach. W stronie baraków japońskich daje się zauważyć zgietk; wielu żołnierzy tłoczy się krzycząc i śmiejąc się. Strażnicy stojący u wejścia do obozu kierują ku nim łakome spojrzenia. Jasne, że Japończycy także przygotowują się, by uczcić zakończenie robót.

Umysł Wardena pracuje intensywnie. Jego zrównoważone usposobienie nie przeszkadza mu chwytać na gorąco okazji, skoro się nadarza. Obmyśla podjęcie akcji jeszcze tej nocy, według szybko ustalonego planu, który brał pod uwagę jeszcze przed przybyciem na punkt obserwacyjny. Opierając się na swej głębokiej znajomości ludzi Warden uważa, że przy tak sprzyjających okolicznościach jak: ten odosobniony zakątek dżungli, dowódca alkoholik i wyżywienie niemal równie skąpe jak racje jeńców, wszyscy Japończycy upiją się do nieprzytomności jeszcze przed północą. Doskonała sposobność, by działać przy minimalnym ryzyku, jak to zalecał „Number one”, i przygotować kilka dodatkowych pułapek, które będą czymś w rodzaju pikantnej przyprawy do głównej akcji, a na które wszyscy członkowie Oddziału 316 są szczególnie łakomi. Warden rozważa możliwości powodzenia, stwierdza, że byłoby karygodne nie skorzystać z tego cudownego zbiegu okoliczności, postanawia zejść ku rzece i zaczyna przygotowywać lekki ładunek... A zresztą, czyż nie wypada, aby i on – na przekór własnej roztropności – zbliżył się przynajmniej raz do tego mostu?

Do stóp wzgórza dociera na krótko przed północą. Uroczystość miała przebieg zgodny z jego przewidywaniami. Podczas swego milczącego marszu śledził jej etapy według nasilenia wrzawy, która dochodziła do jego uszu: barbarzyńskie wrzaski, brzmiące jak parodia brytyjskich pieśni, od dawna już zamilkłych. Teraz panuje zupełna cisza. Warden nasłuchuje jeszcze raz, ukryty wraz z dwoma partyzantami na skraju lasu, niedaleko od toru kolejowego, który – jak to wyjaśniał Joyce – po przebyciu mostu biegnie wzdłuż rzeki. Warden daje znak Syjamczykom. Obciążeni ładunkami, trzech ludzie ostrożnie kierują się w stronę toru.

Warden jest przekonany, że uda mu się przeprowadzić całą operację zupełnie bezpiecznie. Na tym brzegu nie ma ani śladu nieprzyjaciela. W tym odosobnionym zakątku Japończycy zażywali tak zupełnego spokoju, że zatracili całą czujność. O tej godzinie wszyscy żołnierze, a nawet wszyscy oficerowie leżą pewnie, pogrążeni we śnie. Warden ustawia jednak jednego z Syjamczyków na straży, a przy pomocy drugiego rozpoczyna systematyczne przygotowania.

Jego plan jest prosty, klasyczny. Jest to jedna z podstawowych operacji, której zasady wykłada się w szkole przy „Plastic Destructions Co. Ltd.” w Kalkucie w samych początkach nauczania. Wykonanie jej nie nastęcza specjalnych trudności: z obu stron szyn należy usunąć żwir, którym podsypany jest tor, i w powstałe w ten sposób wgłębienie włożyć ładunek plastyku, tak by przylegał do spodu szyny. Moc tego materiału wybuchowego jest tak wielka, że wystarczy odpowiednio założony ładunek o wadze zaledwie jednego kilograma. Energia zawarta w tej bryłce pod działaniem detonatora wyzwala się gwałtownie w formie gazu, który osiąga prędkość wielu tysięcy metrów na sekundę. Nagły wybuch kruszy i niszczy najmocniejszą stal.

Detonator jest więc umieszczony w plastyku. (Wciśnięcie go jest równie łatwe jak przekrojenie nożem kostki masła.) Lont wybuchowy, zwany „błyskawicznym”, łączy go z cudownie prostym, małym mechanizmem, również ukrytym we wgłębieniu wydrążonym pod szyną. Urządzenie to składa się z dwóch płytek, odsuniętych od siebie silną sprężyną, z umieszczoną pomiędzy nimi spłonką. Jedna z płytek przylega do szyny, a drugą silnie przyciska się kamieniem. Sam lont zagrzebany jest w ziemi. Dwóch fachowców może założyć to urządzenie w ciągu pół godziny. Jeśli pracę wykona się starannie, pułapka jest niewidoczna.

Gdy jedno z kół lokomotywy naciska mechanizm, płytka górna przygniata płytkę dolną. Spłonka za pośrednictwem lontu powoduje działanie detonatora. Plastyk eksploduje. Z kawałka stali zostają szczątki. Pociąg wypada z szyn. Przy odrobinie szczęścia i przy nieco silniejszym ładunku lokomotywa może przewrócić się do góry kołami. Jedną z zalet tego systemu jest to, że działanie mechanizmu powoduje sam pociąg, zaś ten, kto go założył, może znajdować się w odległości kilku kilometrów; drugą – że wybuch nie może nastąpić przedwcześnie, na przykład pod naciskiem łapy zwierzęcia. Trzeba na to wielkiego ciężaru, takiego jak ciężar lokomotywy lub wagonu.

Mądry, przewidujący Warden rozumuje w ten sposób: pierwszy pociąg przybędzie z Bangkoku, od prawego brzegu, czyli, w zasadzie, wyleci w powietrze wraz z mostem i runie do rzeki. To główny cel akcji. W konsekwencji linia kolejowa przerwana, ruch wstrzymany. Japończycy z wściekłością rzucają się do naprawy szkód. Chcą to przeprowadzić możliwie najszybciej, aby przywrócić ruch i pomścić ten zamach, który jest równocześnie ciężkim ciosem wymierzonym w ich prestiż w tym kraju. Sprowadzają niezliczone drużyny robocze, pracują bez wytchnienia. Mozolą się całymi dniami, tygodniami, może nawet miesiącami. Kiedy wreszcie tor jest naprawiony, most odbudowany, przejeżdża nowy konwój. Tym razem most spełnia swoje zadanie, lecz wkrótce potem... drugi pociąg wylatuje w powietrze. Niezależnie od szkód materialnych sabotaż wpłynie bez wątpienia deprymująco na nieprzyjaciela. Warden przygotowuje nieco większy ładunek, niż jest koniecznie potrzebny, i umieszcza go tak, aby pociąg wyskoczył z szyn od strony rzeki. Jeżeli bogowie będą łaskawi, może się zdarzyć, że lokomotywa wraz z częścią wagonów przekoziółkuje do wody.

Warden szybko ukończył pierwszą część swego programu. Posiada doświadczenie w tego rodzaju pracy: ćwiczył się długo w bezszelestnym usuwaniu żwiru, w modelowaniu plastyku i w zakładaniu mechanizmu. Pracuje niemal machinalnie i z przyjemnością stwierdza, że syjamski partyzant, debiutant w tego rodzaju pracy, skutecznie mu pomaga. Jego nauka nie poszła w las. Warden profesor cieszy się z tego. Do świtu pozostaje mu jeszcze sporo czasu. Przyniósł z sobą drugie urządzenie tego samego rodzaju, lecz nieco inne. Nie waha się zainstalować go kilkaset metrów dalej, w kierunku przeciwnym do mostu. Byłoby zbrodnią nie wykorzystać takiej nocy.

Przewidujący Warden znowu się zastanawia. Po dwóch zamachach na tym samym odcinku nieprzyjaciel przeważnie ma się na baczności i przystępuje do systematycznej kontroli linii. Ale nigdy nic nie wiadomo. Czasem, przeciwnie, nie dopuszcza myśli o możliwości trzeciego zamachu, właśnie dlatego, że były już dwa. Zresztą jeśli pułapka jest dobrze zamaskowana, nie odkryje jej nawet najdokładniejsza kontrola, chyba żeby usunięto wszystkie żwir. Warden zakłada swój drugi aparacik. Różni on się od pierwszego tym, że zaopatrzony jest w urządzenie, które ma urozmaicić efekty i sprawić nową niespodziankę. Urządzenie to składa się z pewnego rodzaju przekaźnika. Pierwszy pociąg nie powoduje eksplozji, lecz tylko uruchamia przekaźnik. Detonator i plastyk działają dopiero przy przejściu drugiego konwoju. Myśl przyświecająca technikowi Oddziału 316, który opracował ten delikatny system, jest jasna i racjonalny umysł Wardena potrafi ją docenić. Często po serii zamachów i po naprawieniu linii nieprzyjaciel poprzedza ważny konwój jednym lub dwoma wagonami pełnymi kamieni i ciągniętymi przez starą lokomotywę. Pierwszy pociąg przejeżdża bezpiecznie. Nieprzyjaciel jest więc pewien, że wszystko pójdzie dobrze. Uspokojony, nie zachowuje żadnych środków ostrożności, wysyła właściwy pociąg... i, masz tobie, właściwy pociąg wylatuje w powietrze!

„Nigdy nie uważać operacji za ukończoną, jeśli nie sprawiło się przeciwnikowi tylu kłopotów, ile to tylko możliwe” – oto leitmotiv „Plastic Destructions Co. Ltd.”. „Starajcie się zawsze mnożyć przykre niespodzianki, wynajdywać nowe pułapki, które sieją zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela wówczas, gdy sądzi, że pozostawiono go wreszcie w spokoju” – powtarzają bezustannie zwierzchnicy towarzystwa. Warden przyjął te zasady za swoje. Gdy przygotował drugą niespodziankę i zatarł wszystkie ślady, zaczął się znowu zastanawiać, usiłując znaleźć okazję do splątania jakiegoś nowego figla.

Na wszelki wypadek przyniósł z sobą inne pułapki. Jedna z nich, której ma kilka sztuk, składa się z pewnego rodzaju naboju osadzonego w ruchomej deszczuлке, obracającej się wokół swej osi i opadającej na drugą deszczułkę, nieruchomą, w której tkwi gwóźdź. Te mechanizmy przeznaczone są przeciwko ludziom. Przykrywa się je lekką warstwą ziemi. Trudno sobie wyobrazić prostsze urządzenie. Ciężar człowieka powoduje uderzenie spłonki w gwóźdź. W ten sposób wystrzelony zostaje pocisk, który przeszywa nogę piechura albo w wypadku szczególnie pomyślnym trafia go w czoło, jeśli ten maszeruje ze spuszczoną głową. Instruktorzy szkoły specjalnej w Kalkucie zalecali rozmieszczać dużą ilość tych aparacików w sąsiedztwie „przygotowanej” linii kolejowej. Po wybuchu, gdy ci, którzy ocaleli (a tacy są zawsze), biegną jak szaleńcy na wszystkie strony, pułapki wyrzucają pociski, skoro tylko się na nie nastąpi, i powiększają panikę.

Warden chciałby zużytkować w ten sposób resztę swego ładunku, ale przezorność i rozsądek odradzały mu zastosowanie tych ostatnich „przypraw”. Istniało ryzyko ich odkrycia, a cel numer jeden jest zbyt ważny, żeby można było sobie pozwolić na narażanie go. Niech ktoś nadeptnie na jedną z tych pułapek, a czujność Japończyków natychmiast skieruje się przeciw przypuszczalnemu sabotażowi.

Świt się zbliża. Zrównoważony Warden z westchnieniem rezygnuje z dalszego działania i wraca na punkt obserwacyjny. Jest jednak zadowolony, że zostawia za sobą teren nieźle przygotowany, nasycony przyprawami, które nadadzą właściwego smaku wielkiej akcji.

Jeden z partyzantów gwałtownie się poruszył. Usłyszał jakiś podejrzany szelest w gąszczu olbrzymich paproci, które pokrywały szczyt wzgórza. Czterech Syjamczyków zastygło na kilka chwil w całkowitym bezruchu. Warden chwycił pistolet maszynowy i przygotował się na wszelki wypadek. Trochę w dole pod nimi ktoś zagwizdał cicho trzy razy. Jeden z Syjamczyków odpowiedział, a potem, potrząsając ręką, zwrócił się do Wardena:

–"Number one" – rzekł.

Wkrótce Shears w towarzystwie dwóch krajowców połączył się z grupą na punkcie obserwacyjnym.

–Ma pan ostatnie wiadomości? – zapytał niespokojnie, skoro tylko spostrzegł Wardena.

–Wszystko w porządku. Nic się nie zmieniło. Jestem tu od trzech dni. To będzie jutro. Pociąg wyjedzie z Bangkoku w nocy i będzie tu około dziesiątej rano. A co u pana?

–Wszystko gotowe – odparł Shears, wyciągając się na ziemi z westchnieniem ulgi.

Obawiał się, że plany Japończyków w ostatniej chwili mogły ulec zmianie. Warden także żył w strachu od poprzedniego wieczora. Wiedział, że akcja musi być przygotowana w nocy, i spędził całe godziny nasłuchując jak ślepiec najbliższych szmerów dobiegających znad rzeki Kwai, myśląc o towarzyszach, którzy pracowali w wodzie, tuż pod nim, obliczając w nieskończoność szansę powodzenia i próbując przewidzieć wszystkie przypadki, które mogłyby je udaremnić. Nie usłyszał nic podejznanego. Zgodnie z programem Shears miał się z nim połączyć o świcie. Teraz było już po dziesiątej.

–Cieszę się, że wreszcie pana widzę. Czekałem na pana niecierpliwie.

–Ta robota zabrała nam całą noc.

Warden przyjrzał mu się uważniej i spostrzegł, że Shears był wyczerpany. Jego ubranie, jeszcze wilgotne, parowało w słońcu. Zapadła twarz, głęboko podkrążone ze zmęczenia oczy, broda nie golona od wielu dni, wszystko to czyniło go niepodobnym do człowieka. Warden podał mu kubek alkoholu i zauważył, jak niezgrabnie Shears go pochwycił. Ręce miał popękane i pokryte ranami. Wyblakła skóra była pomarszczona, miejscami zdarta. Z trudem poruszał palcami. Warden podał mu przygotowaną koszulę i szorty. I czekał.

–Czy jest pan całkiem pewien, że nic się nie przygotowuje na dzisiaj? – nastawał Shears.

–Zupełnie. Jeszcze dziś rano odebrałem meldunek. Shears pociągnął łyk i ostrożnie zaczął się masować.

–Przykra praca – powiedział krzywiąc się. – Zdaje mi się, że do końca życia będę pamiętał tę lodowatą rzekę Ale wszystko poszło dobrze.

–A dzieciak? – zapytał Warden.

–Dzieciak jest nadzwyczajny. Nie osłabł ani na chwilę. Harował więcej ode mnie i nie jest zmęczony. Stoi na swoim posterunku na prawym brzegu. Uparł się, żeby tam zostać już tej nocy i nie ruszać się stamtąd aż do nadejścia pociągu.

–A jeśli go odkryją?

–Jest dobrze schowany. Istnieje ryzyko, ale należało je podjąć. Trzeba teraz unikać pętania się w pobliżu mostu. Ponadto pociąg może nadejść wcześniej. Jestem pewien, że on nie będzie dziś spał. Jest młody i silny. Siedzi w gąszczu, do którego można dojść tylko od strony rzeki, a brzeg jest wysoki. Można stąd zobaczyć to miejsce. On widzi poprzez liście tylko jedną rzecz: most. A zresztą usłyszy, jak pociąg będzie nadchodził.

–Był pan tam?

–Byłem razem z nim. Miał rację. To idealne miejsce. Shears wziął lornetkę i próbował zorientować się w nieznanym krajobrazie.

–Trudno określić to miejsce – powiedział. – Stąd wszystko wygląda inaczej. Ale myślę, że to tam, jakieś trzydzieści stóp za tym wielkim, rdzawym drzewem, którego gałęzie zanurzają się w wodzie.

–Teraz wszystko zależy od niego.

–Wszystko zależy od niego, a ja mam do niego zaufanie.

–Czy on ma sztylet?

–Ma sztylet. I jestem przekonany, że będzie go umiał użyć.

–Tego nigdy nie wie się naprzód – rzekł Warden.

–Nigdy się nie wie, ale ja w niego wierzę.

–A po wybuchu?

–Ja przepłynąłem rzekę w ciągu pięciu minut, a on pływa prawie dwa razy szybciej ode mnie. Będziemy osłaniali jego powrót.

Warden opowiedział Shearsowi o wydanych przez siebie dyspozycjach. Poprzedniego dnia raz jeszcze zszedł z punktu obserwacyjnego, tym razem przed zapadnięciem zmroku, ale nie wysunął się na teren nieosłonięty. Czołgając się wyszukał możliwie najlepsze miejsce do ustawienia karabinu maszynowego, który posiadała jego grupa, i wyznaczył stanowiska dla partyzantów, którzy mieli razić ogniem karabinowym ewentualny pościg. Wszystkie te pozycje były starannie oznaczone. Tak zorganizowana osłona w połączeniu z pociskami z moździerza powinna stanowić wystarczającą ochronę na przeciąg kilku minut.

„Number one” zaakceptował ten plan w całości. A potem, ponieważ był zbyt zmęczony, żeby zasnąć, opowiedział przyjacielowi o przebiegu akcji w ciągu ubiegłej nocy. Warden słuchał chciwie i relacja ta pocieszyła go trochę, że nie brał bezpośredniego udziału w tych przygotowaniach. Pozostawało im już tylko oczekiwać następnego dnia. Jak powiedzieli, powodzenie akcji zależało teraz od Joyce'a; od Joyce'a i od nie dającego się przewidzieć losu. Z trudem tłumili niecierpliwość i starali się opanować troskę o główną osobę dramatu, Joyce'a, który, zaczajony w krzakach, czekał na nieprzyjacielskim brzegu. Skoro tylko zapadła decyzja w sprawie podjęcia akcji, „Number one” opracował szczegółowy program działania. Przydzielił każdemu z członków wyprawy odpowiednie zadanie, aby wszyscy mogli z góry obmyślić i przećwiczyć swe „role”. W ten sposób, gdy nadejdzie godzina działania, każdy będzie w stanie zachować czujność i zaradzić w razie nieprzewidzianego wypadku.

Dziecinadą byłoby przypuszczać, że most da się wysadzić w powietrze bez poważnych przygotowań. Opierając się na szkicach i wskazówkach Joyce'a, Warden – tak jak niegdyś kapitan Reeves – opracował plan; plan zniszczenia. Był to szkic mostu w dużej skali; wszystkie filary były ponumerowane, każdy ładunek plastyku zaznaczony dokładnie w miejscu, którego wymagała technika wysadzania, a kunsztowna sieć kabli i lontów powodujących wybuch naznaczona była czerwoną linią. Każdy z członków wyprawy miał wkrótce plan ten wryty w pamięci.

„Number one” uznał jednak to przygotowanie teoretyczne za niewystarczające. Przeprowadził wiele nocnych prób na starym, opuszczonym moście, który znajdował się niedaleko od ich kwatery. Ładunki plastyku zastąpiono oczywiście workami z ziemią. Ludzie, którzy mieli zakładać całe urządzenie, on, Joyce i dwaj syjamscy ochotnicy, uczyli się bezszelestnie podpływać do mostu w ciemnościach specjalnie na tę okazję zbudowaną lekką bambusową tratwą, na której umocowano sprzęt. Warden służył za arbitra. Był wymagający i kazał powtarzać próby dopóty, aż operacja została wykonana bezbłędnie. Cała czwórka przyzwyczaiła się więc pracować w wodzie bez najmniejszego hałasu, solidnie przytwierdzać pozorowane ładunki do pali i łączyć je skomplikowaną siecią kabli, jak przewidywał plan

zniszczenia. W końcu „Number one” oświadczył, że jest zadowolony. Teraz pozostało już tylko przygotować materiał wybuchowy i mnóstwo ważnych drobiazgów, takich jak nieprzemakalne opakowanie dla sprzętu, któremu woda mogła zaszkodzić.

Wyprawa ruszyła w drogę. Ścieżkami znanymi tylko im samym przewodnicy zaprowadzili ich w miejsce położone nad rzeką, daleko powyżej mostu, gdzie można było zupełnie bezpiecznie dokonać załadunku środków wybuchowych. Wielu krajowców ochotniczo zgłosiło się na tragarzy.

Plastyk podzielono na ładunki po pięć kilogramów. Każdy z nich miał być przymocowany do jednego filara. Plan zniszczenia przewidywał podminowanie sześciu kolejnych filarów w każdym rzędzie, co w całości dawało dwadzieścia cztery ładunki. W ten sposób most zostałby pozbawiony podpory na przestrzeni dwudziestu metrów, co zupełnie wystarczało, aby runął pod ciężarem pociągu. Przewidujący Shears na wszelki wypadek zabrał tuzin dodatkowych ładunków. Miały one ewentualnie posłużyć przy jakiejś akcji dodatkowej. Doskonale pamiętał zasady przyjęte przez Oddział 316.

Wszystkie powyższe liczby zostały ustalone podczas długich dyskusji na podstawie obliczeń, w których za punkt wyjściowy przyjęto informacje zebrane osobiście przez Joyce'a. Tabela, którą wszyscy, trzej znali na pamięć, podawała ciężar ładunku konieczny do wysadzenia belki określonego kształtu, wielkości i materiału. Ciężar ten zależał od kształtu i rozmiarów belki. W obecnym przypadku teoretycznie powinno by wystarczyć trzy kilogramy plastyku. Przy czterech kilogramach wynik – w wypadku prostej akcji – prawie pewny. „Number one” postanowił w końcu wzmocnić jeszcze tę dawkę.

Miał po temu słuszne powody. Druga zasada „Plastic Destructions Co. Ltd.” głosiła, że zawsze należy zwiększać cyfry podane przez techników. Po zakończeniu kursu teoretycznego pułkownik Green, kierujący wyższą szkołą w Kalkucie, miał zwyczaj dodawać na ten temat kilka słów, podyktowanych zdrowym rozsądkiem i jego własnym doświadczeniem inżyniera.

–Kiedy obliczycie już wagę za pomocą tabel – mówił – i to zawsze raczej na wyrost, dorzucicie jeszcze trochę. Przy trudnej akcji musicie być absolutnie pewni. Jeśli macie najmniejszą wątpliwość, lepiej dać sto funtów więcej niż jeden za mało. Będziecie mieli żalną minę, jeśli – po wielu nocach mordęgi nad zmontowaniem całego urządzenia, naraziwszy życie własne i waszych ludzi, doprowadzisz do końca wszystko za cenę tysiąca trudności – będziecie mieli żalną minę, powtarzam, jeśli dla zaoszczędzenia odrobiny materiału akcja uda się tylko częściowo. Jeśli przęsa, ledwie popękane, utrzymają się, co pozwoli na szybką naprawę. Mówię wam to z doświadczenia. Zdarzyło mi się raz coś takiego i nie znam uczucia bardziej przygnębiającego.

Shears poprzysiągł, że jemu taka katastrofa nigdy się nie zdarzy, i szeroko stosował tę zasadę. Z drugiej strony, nie należało popadać w inną ostateczność i obarczać się niepotrzebnie ciężarem, gdyż grupa była niewielka.

Teoretycznie transport rzeką nie nastręczał trudności. Wśród wielu zalet plastik posiada i tę, że jego gęstość równa jest niemal gęstości wody. Człowiek płynący może bez trudu holować dość dużą jego ilość.

Przybyli nad rzekę Kwai o świcie. Odprawili tragarzy. Czterej ludzie, ukryci w gęstwinie, oczekiwali nocy.

–Czas musiał się wam dłużyć – rzekł Warden. – Spaliście?

–Trochę. Próbowaliśmy, ale pan wie, jak to jest... gdy zbliża się moment działania. Całe popołudnie spędziliśmy na gadaniu, Joyce i ja. Chciałem odwrócić jego myśli od mostu. Na to mieliśmy czas w nocy.

–O czym rozmawialiście? – pytał Warden, który chciał poznać wszystkie szczegóły.

–Opowiadał mi trochę o swoim dawnym życiu... W gruncie rzeczy ten chłopak jest trochę melancholikiem... Razem wzięwszy, historia dość banalna... Inżynier konstruktor w dużej firmie... Och, nic nadzwyczajnego; nie chwalił się. Coś w rodzaju urzędnika biurowego. Zawsze to sobie tak mniej więcej wyobrażałem. Około dwudziestu młodych ludzi w wieku Joyce'a, którzy pracują pochyleni nad stołami kreślarskimi, od rana do wieczora, we wspólnej sali. Wyobraża pan to sobie? Jeśli nie rysował, to robił obliczenia przy pomocy tablic inżynierskich i suwaka. Nic pasjonującego. Nie wygląda na to, żeby zbyt sobie cenił to zajęcie... Zdaje się, że powitał wojnę jako niespodziewaną okazję. Dziwne, że gryziپیórek wylądował w Oddziale 316.

–Są w nim także profesorowie... – powiedział Warden. – Znałem kilku takich jak on. Nie są najgorsi...

–Niekoniecznie też najlepsi. Trudno tu mówić o jakiejś ogólnej zasadzie. Wspomina zresztą swą przeszłość bez goryczy... Po prostu – melancholik.

–To udany chłopak, jestem tego pewien... Jakiego rodzaju były te jego rysunki?

–Co za zbieg okoliczności! Firma zajmowała się mostami. Oczywiście nie drewnianymi! Przedsiębiorstwo nie interesowało się również budową mostów, lecz tylko częściami metalowymi mostów typu standardowego. Konstruowali po prostu elementy mostowe i dostarczali je przedsiębiorcom... że wystarczało tylko je złożyć! Co do niego, to nie wychodził z biura. W ciągu dwóch ostatnich lat przed wojną rysował stale tę samą część. Specjalizacja i to wszystko, co się z nią łączy – zdaje pan sobie z tego sprawę? Nie uważał tego za porywające... Nie chodziło nawet o

jakąś wielką część, on ją nazwał belką. Zadaniem jego było określić profil, który miałby najlepszą wytrzymałość, a równocześnie wymagałby jak najmniej metalu; przynajmniej tak go zrozumiałem. Nie znam się zupełnie na tych rzeczach. Chodziło o oszczędność... Firma nie lubiła marnować surowca... Dwa lata robić coś takiego! Chłopak w jego wieku! Gdyby pan słyszał, jak mówił o tej swojej belecze! Głos mu drżał. Jestem' przekonany, Warden, że ta belka tłumaczy częściowo jego entuzjazm dla obecnej akcji.

–To fakt, że nigdy nie widziałem istoty podobnie przejętej ideą zniszczenia mostu... Czasami przychodzi mi na myśl, Shears, że Oddział 316 został stworzony przez Boga dla ludzi jego pokroju. Gdyby nie istniał, należałoby go wynaleźć... A pan sam, gdyby nie zbrzydła panu regularna armia...

–A pan, gdyby był zupełnie zadowolony ze stanowiska profesora uniwersytetu... Dajmy temu spokój! Jakkolwiek tam było, kiedy wybuchła wojna, on wciąż jeszcze zajmował się swoją belką. Wyjaśniał mi bardzo poważnie, że w ciągu dwóch lat udało mu się – na papierze – zaoszczędzić półtora funta metalu. Zdaje się, że to było niezłe osiągnięcie, ale jego przełożeni uważali, że mógłby oszczędzić jeszcze więcej... Miał tak pracować jeszcze przez szereg miesięcy... Do wojska wstąpił w pierwszych dniach wojny. Kiedy usłyszał o istnieniu Oddziału 316, nie biegł, ale leciał do niego jak na skrzydłach, Warden!... I są ludzie, którzy nie wierzą w powołanie!... Jednak to ciekawe, Warden. Gdyby nie ta belecza, może nie leżałby teraz w krzakach, o sto jardów od wroga, ze sztyletem za pasem i włącznikiem do spowodowania eksplozji przy boku.

Shears i Joyce gawędzili w ten sposób aż do wieczora, podczas gdy dwaj Syjamczycy szeptem wymieniali uwagi na temat wyprawy. Shearsa ogarniały co pewien czas skrupuły; zadawał sobie pytanie, czy do odegrania głównej roli wybrał spośród nich trzech właśnie tego, który istotnie miał największe szansę powodzenia, i czy nie dał się zasugerować jego żarliwymi prośbami.

–Czy jest pan zupełnie pewien, że potrafi pan działać równie energicznie jak Warden albo ja, niezależnie od okoliczności? – poważnie zapytał po raz ostatni.

–Teraz jestem pewien, Sir. Trzeba mi pozwolić działać.

Shears nie nastawał dłużej i nie wrócił już do rozważań na temat swej decyzji.

Ładunek rozpoczęli przed zmierzchem. Brzeg był zupełnie pusty. Bambusowa tratwa, którą sami zbudowali, ufając w tym wypadku tylko sobie, składała się z dwóch oddzielnych części, by łatwiej ją było transportować przez dżunglę. Spuścili ją na wodę i połączyli obie części przy pomocy dwóch gałęzi i sznurów. Całość tworzyła sztywną platformę. Potem umocowali sprzęt, najsolidniej, jak tylko było można. W innych paczkach znajdowały się zwoje lontu, bateria, kabel i włącznik elektryczny. Te wrażliwe przedmioty owinięto, rzecz jasna, w nieprzemakalne płótna. Jeżeli chodzi o detonatory, Shears zachował podwójną ostrożność. Jeden dał Joyce'owi, drugi wziął sam. Ukryli je w pasach, na brzuchu. Detonatory były właściwie jedynymi naprawdę wrażliwymi przedmiotami, bo plastik był zasadniczo odporny na uderzenia.

–Chyba wam jednak było trochę ciężko z tymi paczkami na brzuchu – zauważył Warden.

–Pan dobrze wie, że nigdy się nie myśli o takich rzeczach... To było najmniejsze ryzyko w tej przeprawie... A jednak zapewniam pana, że nas porządnie wytrzymało. Przekłęci niech będą ci Syjamczycy, którzy obiecywali nam wygodną żeglugę!

Według informacji krajowców droga powinna była trwać mniej niż pół godziny. Toteż wyruszyli dopiero po zapadnięciu nocy. W rzeczywistości płynęli dłużej niż godzinę i droga nie była łatwa. Rzeka Kwai płynęła spokojnie jedynie w sąsiedztwie mostu, poza tym rwała jak strumień. Zaledwie ruszyli, prąd rzucił ich w ciemność, między niewidoczne skały, których nie mogli omijać, rozpaczliwie chroniąc swój niebezpieczny i cenny ładunek.

–Gdybym znał rzekę, wybrałbym inny sposób dotarcia do celu i zaryzykowałbym załadunek materiału w pobliżu mostu. Tego rodzaju proste informacje, Warden, zawsze są fałszywe, zresztą bez względu na to, czy pochodzą od krajowców, czy od Europejczyków. Wiele razy się z tym spotkałem. I jeszcze raz dałem się nabrać. Nie

wyobraża pan sobie trudności manewrowania „łodzią podwodną” w tym strumieniu.

„Łodzią podwodną” nazwali tratwę, obciążoną na krawędziach żelastwem, która w ciągu niemal całej przeprawy płynęła na pół pod wodą. Jej balast został mądrze odmierzony, tak aby pozostawiona sama sobie utrzymywała się na granicy pływalności. Zwykle naciśnięcie palcem wystarczało więc, aby zupełnie zniknęła pod powierzchnią.

–Ten pierwszy prąd pędził nas z hukiem wodospadu Niagara, trząśł nami, miotał, rzucał ponad lub pod tratwę, to znów od jednego brzegu do drugiego; raz sięgaliśmy dna, to znów wylatywaliśmy na gałęzie przybrzeżnych drzew. Gdy wreszcie udało mi się ogarnąć nieco naszą sytuację (zajęło mi to trochę czasu, byłem na wpół ogłuszony), wydałem wszystkim rozkaz, żeby uczepili się „łodzi podwodnej” i nie puszczali jej za żadną cenę; żeby myśleli tylko o tym. Było to wszystko, co mogliśmy zrobić, ale to cud, że nikt nie rozbił sobie czaszki... Naprawdę, ładny bigos, i to właśnie wtedy, kiedy trzeba było zebrać wszystkie siły przed poważną robotą. Fale były takie jak podczas burzy na morzu. Dostałem mdłości... I nie można było ominąć przeszkód! Czasem – rozumie pan, Warden? – czasem nie wiedzieliśmy nawet, w którą stronę płyniemy. Wydaje się to panu dziwne? Kiedy rzeka się zwęża, a dżungla zamyka się nad głową, założę się, że nie będzie pan wiedział, w jakim kierunku pan płynie. Pędziliśmy z prądem. Pomijając fale, woda była nieruchoma jak w jeziorze. Tylko napotykanne przeszkody wskazywały nam kierunek i szybkość, z jaką pędzimy... kiedy wpadaliśmy na nie. Problem względności! Nie wiem, czy pan to sobie dobrze uzmysławia...

Musiało to być naprawdę niezwykle przeżycie. Starał się je opisać jak najwierniej. Warden słuchał z przejęciem.

–Rozumiem, Shears. I tratwa wytrzymała?

–To drugi cud! Gdy jakimś trafem moja głowa znalazła się nad wodą, słyszałem, jak tratwa trzeszczała, a jednak nie rozleciała się... Tylko w pewnej chwili... To chłopak uratował sytuację. On jest pierwsza klasa, Warden. Niech mi pan pozwoli opowiedzieć... Zanim skończył się ten pierwszy prąd, zaczęliśmy się jednak przyzwyczajać trochę do ciemności, gdy nagle rzuciło nas na olbrzymią skałę, która wynurzała się na samym środku rzeki. Doprawdy, Warden, wylecieliśmy w powietrze na poduszeczce wody, potem zagarnęła nas fala i odrzuciła w bok. Nie uwierzyłbym, że to możliwe. Zobaczyłem skałę, gdy była zaledwie parę stóp przede mną. Nie miałem czasu; myślałem tylko o tym, żeby wysunąć nogi do przodu i ścisnąć konwulsyjnie laskę bambusa. Dwaj Syjamczycy puścili tratwę. Na szczęście znaleźliśmy ich trochę dalej. Przypadek!... A on, wie pan, co zrobił? Miał tylko ułamek sekundy do namysłu. Rzucił się na tratwę z rozkrzyżowanymi rękami. Wie pan po co, Warden? Żeby przytrzymać razem obie jej części. Tak, sznur pękł. Poprzeczne drążki rozluźniły się i dwie połowy zaczęły się rozłączać. Musiało je

rozdzielić zderzenie. Katastrofa... On to zobaczył jednym rzutem oka. Zdecydował się błyskawicznie. Miał odruch działania i powiodło mu się. Znajdował się przede mną. Widziałem, jak „łódź podwodna” wynurza się z wody, skacze w powietrze, podobna do jednego z tych łososi, które płyną pod prąd; właśnie tak, a on na niej, uczepiony ze wszystkich sił do bambusów. Nie puścił ich. Potem powięzowało się drążki, jak było można... Niech pan zwróci uwagę, że w tej pozycji jego detonatory znajdowały się w bezpośrednim kontakcie z plastykiem i że musiało go niebywale łupnąć... Widzę go nad moją głową, mówię panu. Błyskawica!... To był jedyny moment, kiedy pomyślałem, że transportujemy materiały wybuchowe. To nic. Jestem przekonany, że to było jeszcze najmniejsze ryzyko. I on zrozumiał to w ćwierć sekundy. Niezwykły chłopak, Warden, jestem tego pewien. Musi mu się udać.

–Godne uwagi połączenie zimnej krwi i szybkości refleksu – ocenił Warden.

Shears podjął cicho:

–Musi mu się udać, Warden. Ta akcja stała się jego osobistą sprawą i nikt nie powinien przeszkodzić mu w doprowadzeniu jej do końca. To jego wielka szansa. On o tym wie. Pan i ja jesteśmy tylko pomocnikami. Nasz czas już minął... Teraz trzeba myśleć tylko o tym, żeby mu ułatwić zadanie. Los mostu jest w dobrych rękach.

Gdy pierwszy prąd się skończył, nastąpił chwilowy spokój, tak że mogli umocnić tratwę. Potem wytrzesło ich jeszcze w wąskim przesmyku. Stracili trochę czasu przed grupą skał, grodzących część biegu rzeki, wokół których utworzył się potężny, powolny wir – tratwa kręciła się w kółko, nie mogąc wrócić na nurt.

W końcu wyrwali się z tej pułapki. Rzeka rozszerzyła się, uspokajając się od razu, co wywarło na nich wrażenie, jak gdyby wypłynęli na ogromne, spokojne jezioro. Oczy ich rozróżniały kontury brzegów i udało im się utrzymać pośrodku rzecznej nurtu. Wkrótce spostrzegli most.

Shears przerwał swą relację i w milczeniu spojrział w dolinę.

–Jakie to dziwne: patrzeć tak na most z góry... I widzieć go w całości. Z dołu, w nocy, wygląda zupełnie inaczej. Widziałem tylko kolejno jego poszczególne fragmenty. To właśnie one są dla nas ważne przed... potem zresztą także... Tylko w momencie, gdyśmy się zbliżali do mostu, sylwetka jego rysowała się na tle nieba z niewiarygodną wyrazistością. Drżałem, żeby nas nie spostrzeżono. Wydawało mi się, że widać nas jak w biały dzień. Złudzenie, oczywiście. Byliśmy po nosy w wodzie. Łódź podwodna była w zanurzeniu. Wykazywała nawet tendencję do zatonięcia. Niektóre bambusy popękały. Ale wszystko poszło dobrze. Nie było światła. Bez szmeru wśliznęliśmy się w cień mostu. Żadnego wstrząsu. Przywiązaliśmy tratwę do jednego z filarów środkowego rzędu i zaczęła się praca. Byliśmy już zdrętwiali z zimna.

–Żadnych specjalnych kłopotów? – zapytał Warden.

–Żadnych „specjalnych” kłopotów, jeśli pan sobie życzy; pod warunkiem, że tego rodzaju robotę uważa pan za zwyczajną, Warden...

Znów urwał, jak gdyby zahipnotyzowany widokiem mostu, oświetlonego jeszcze przez słońce; jasne drewno odcinało się wyraźnie na tle żółtawej wody.

–Wszystko to wydaje mi się snem, Warden. Doświadczyłem już dawniej tego wrażenia. Z nastaniem dnia człowiek pyta sam siebie, czy to prawda, czy to rzeczywistość, czy ładunki są tam istotnie, czy naprawdę wystarczy mały ruch dźwignią włącznika. Wydaje się to zupełnie niemożliwe. Joyce jest tam, chyba jakieś sto jardów od japońskiego posterunku. Jest tam, za tym rdzawym drzewem, i obserwuje most. Założę się że od czasu, gdy go opuściłem, nie ruszył się z miejsca. Niech pan tylko pomyśli o wszystkim, co może się zdarzyć przed jutrem, Warden! Wystarczy, żeby żołnierz japoński zapuścił się dla zabawy w dżunglę w pogoni za wężem... Nie powinienem był go zostawić. Mógł wrócić na swój posterunek dopiero w nocy.

–Ma sztylet – powiedział Warden. – Wszystko zależy od niego. Niech mi pan opowie, jak skończyła się ta noc.

Po dłuższym przebywaniu w wodzie skóra ludzka staje się tak wrażliwa, że samo dotknięcie chropowatego przedmiotu wystarczy, aby ją zranić. Specjalnie uwrażliwione są ręce. Przy najłżejszym otarciu skóra schodzi płatami z palców. Najpierw musieli się uporać z odwiązaniem ładunku; sznury, którymi go przymocowano, wyrabiane przez krajowców, były grube i najeżone jakby kłującą szczecią.

–To się może wydawać dziecinną zabawką, Warden, ale w stanie, w jakim byliśmy... I jeszcze trzeba było robić to w wodzie, bezszelestnie! Niech pan popatrzy na moje ręce. Joyce ma takie same.

Raz jeszcze spojrzął w dolinę. Nie mógł oderwać myśli od Joyce'a, który czekał na nieprzyjacielskim brzegu. Podniósł ręce, obejrzał uważnie głęboko popękana skórę, która stwardniała na słońcu, a potem, z bezsilnym gestem, powrócił do opowiadania.

Wszyscy mieli ostre sztylety, lecz zdrętwiałe palce ledwie mogły nimi władać. A poza tym, mimo że plastik jest mało wrażliwym materiałem wybuchowym, niewskazane jest jednak grzebanie w nim metalowym narzędziem. Shears szybko się zorientował, że obaj Syjamczycy na nic się nie przydadzą.

–Obawiałem się tego. Mówiłem to chłopcu tuż przed załadunkiem. Teraz mogliśmy liczyć już tylko na nas dwóch. Tamci się załamali. Drżeli, uczepli do filara. Odesłałem ich. Czekali na mnie u stóp góry. Zostałem z nim sam. Przy pracy tego

rodzaju, Warden, wytrzymałość fizyczna nie wystarcza. Chłopak trzymał się wspaniale; ja też dawałem sobie radę. Myślę, że byłem u kresu sił. Starzeję się.

Odwiązali ładunki, jeden po drugim, i umocowali je w miejscu przewidzianym w planie zniszczenia. Musieli bez przerwy walczyć z porywającym ich prądem. Uczepieni nogami do filara musieli zanurzyć plastik dostatecznie głęboko, aby go nie zauważono, a następnie przyłożyć go do pala w taki sposób, żeby siła wybuchu była najskuteczniejsza. Po omacku przywiązywali go pod wodą tymi przekłętymi, ostrymi i kłującymi sznurami, które znaczyły na ich dłoniach krwawe bruzdy. Zwykle uchwycenie sznurów i wiązanie ich w węzeł stawało się niewypowiedzianą męczarnią. W końcu dawali nurka i pomagali sobie zębami.

Te przygotowania zabrały im większą część nocy. Następne zadanie było mniej przykre, za to bardziej delikatne. Detonatory zamocowano równocześnie z ładunkami. Trzeba było je teraz połączyć siecią „błyskawicznych” lontów, tak aby wszystkie wybuchły równocześnie. Praca ta wymaga dużego opanowania, gdyż jeden błąd może popsuć wszystko. Montaż sieci wybuchowej przypomina nieco montaż sieci elektrycznej; każdy element musi być na swoim miejscu. Ten zaś był specjalnie skomplikowany, gdyż „Number one” – także i tutaj – zabezpieczył się, dla wszelkiej pewności podwajając ilość lontów i detonatorów. Odcinki lontu były dość długie i aby je zatopić, przyczepiono do nich kawałki starego żelastwa, użyte poprzednio do obciążenia tratwy.

–W końcu wszystko było gotowe. Myślę, że zrobiliśmy to nie najgorzej. Postanowiłem sprawdzić jeszcze raz wszystkie filary. Ale to było niepotrzebne. Z Joyce'em mogłem być spokojny. Nic się tam nie ruszy, jestem pewien.

Byli wyczerpani, potłuczeni i skostniali, ale ich podniecenie wzrastało w miarę, jak praca zbliżała się ku końcowi. Rozebrali łódź podwodną i puścili z prądem kawałki bambusa, jeden po drugim. Pozostało im tylko dostać się na ląd, płynąc ku prawemu brzegowi, przy czym jeden trzymał baterię w nieprzemakalnym opakowaniu, a drugi rozwijał kabel, także miejscami obciążony i podtrzymywany ostatnim wydrażonym prętem bambusowym. Wyszli na ląd dokładnie w punkcie ustalonym przez Joyce'a. Stromy brzeg pokryty był roślinnością, która dochodziła aż do samej wody. Ukryli kabel w poszyciu i zagłębili się w dżunglę na jakieś dziesięć metrów. Joyce zainstalował baterię i włącznik.

–To tam za tym rdzawym drzewem, którego gałęzie zanurzają się w rzece. Jestem tego pewien – powiedział raz jeszcze Shears.

–Sprawa wygląda dobrze – powiedział Warden. – Dzień się już kończy, a jego nie wykryli. Stąd byśmy to zobaczyli. Nikt się nie zapuścił w tamtą stronę. W obozie też nie ma dużego ruchu. Jeńcy wczoraj odeszli.

–Jeńcy odeszli?

–Widziałem, że duży oddział opuszczał obóz. Ta uroczystość musiała się odbyć z okazji zakończenia prac, a Japończycy nie chcą pewnie trzymać tu ludzi nie zatrudnionych.

–To jeszcze lepiej.

–Zostało tylko paru. Myślę, że to kulawi, którzy nie mogą maszerować... I wtedy zostawił go pan, Shears?

–Zostawiłem go. Nie miałem tam nic do roboty, a zbliżał się świt. Daj Boże, żeby go nie odkryli!

–Ma sztylet... – rzekł Warden. – Wszystko pójdzie dobrze. Wieczór zapada. Dolina rzeki Kwai pogrąża się w mroku. Nic się już nie może zdarzyć.

–Zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidzianego, Warden. Wie pan o tym tak dobrze jak ja. Nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje, ale jeszcze nigdy nie widziałem, żeby akcja rozwinęła się według przygotowanego planu.

–To prawda. Ja także to zauważyłem.

–Jak „to” będzie wyglądało tutaj, w tym wypadku?... Zostawiłem go. Miałem jeszcze w kieszeniach mały woreczek ryżu i manierkę whisky – resztkę naszych zapasów, które niosłem tak ostrożnie jak detonatory. Każdy z nas wypił po łyku, resztę mu zostawiłem. Zapewnił mnie po raz ostatni, że jest siebie całkiem pewien. Zostawiłem go samego.

IV

Shears słuchał nieustającego szumu rzeki Kwai, który sączy się przez syjamską dżunglę, i czuje się dziwnie przygnębiony.

W tym nieodłącznym akompaniamencie swych myśli i czynów, do którego zdołał się już przyzwyczaić, nie może uchwycić dziś rano znanego natężenia ani rytmu. Długo trwa nieporuszony, niespokojny, cały zmieniony w czujność. Inne, nieokreślone elementy otoczenia z wolna stają się także niezrozumiale dziwne.

Odnosi wrażenie, że coś się zmieniło w otoczeniu, z którym się niejako zespolił podczas nocy spędzonej w wodzie i dnia przeżytego na szczycie góry. Zaczęło się to na krótko przed świtem. Najpierw doznał niezrozumiałego uczucia zaskoczenia, a potem zaczął go dręczyć dziwny niepokój. Wrażenie to tajemnymi drogami zaczęło stopniowo przenikać do jego świadomości i przekształcać się w myśl, na razie niejasną, lecz dążącą gorączkowo do swego sprecyzowania. O świcie może powiedzieć sobie tylko: „Coś się zmieniło w atmosferze otaczającej most i rzekę Kwai.”

–Coś się zmieniło... – powtarza szeptem. Owo swoiste wyczucie „atmosfery” nie myli go prawie nigdy. Jego niepokój pogłębia się i przekształca niemal w trwogę, którą próbuje rozproszyć logicznym rozumowaniem.

–Oczywiście, coś się zmieniło. To całkiem naturalne. Muzyka brzmi inaczej, zależnie od miejsca, z którego się jej słucha. Znajduję się teraz w lesie, u stóp wzgórza. Słyszysz się tutaj inaczej niż na szczycie lub w wodzie... Jeśli to dłużej potrwa, będę miał halucynacje.

Patrzy uważnie poprzez liście, ale nie spostrzega nic szczególnego. Świt ledwie wydobywa rzekę z mroku. Przeciwległy brzeg jest na razie tylko szarą, zwartą masą. Stara się myśleć jedynie o planie walki i o pozycjach poszczególnych grup, oczekujących godziny rozpoczęcia akcji. Godzina ta jest bliska. W ciągu nocy zszedł z punktu obserwacyjnego razem z czterema partyzantami. Usadowili się oni na posterunkach ustalonych przez Wardena, niezbyt daleko i nieco powyżej linii kolejowej. Sam Warden został na górze przy moździerzach z dwoma Syjamczykami. On będzie panował nad całym teatrem wydarzeń, gotowy do działania także po wielkiej akcji. Tak postanowił „Number one”. Dał przyjacielowi do zrozumienia, że na każdym ważnym posterunku konieczny jest dowódca, Brytyjczyk, który, jeśli zajdzie potrzeba, będzie mógł powziąć samodzielne decyzje. Nie można przewidzieć wszystkiego i z góry wydać niezmiennych rozkazów. Warden zgodził się z tym. Co do trzeciego, najważniejszego z nich – na nim opiera się cała akcja. Joyce jest teraz tam, dokładnie naprzeciw Shearsa, już od dwudziestu czterech godzin z górą. Oczekuje pociągu. Konwój wyjechał nocą z Bangkoku. Doniósł o tym meldunek.

„Coś się zmieniło w atmosferze...” Syjamczyk ze stanowiska karabinu maszynowego daje także sygnały pełne niepokoju. Teraz klęka, by lepiej przyjrzeć się rzece. Trwoga Shearsa nie ustępuje. Uczucie to wciąż szuka dla siebie dokładniejszego wyrazu, choć równocześnie wymyka się analizie. Mózg Shearsa zaciekle pracuje nad rozwiązaniem dręczącej zagadki.

Mógłby przysiąc, że szum rzeki się zmienił. Człowiek, pracujący w zawodzie takim jak Shears, instynktownie i bardzo szybko chwytą symfonię odgłosów przyrody. Ta umiejętność przydała mu się już w dwóch czy w trzech wypadkach. Ostry szum wirów, charakterystyczny szelest cząsteczek wody uderzających o piasek, trzask gałęzi giętych przez prąd – wszystko to składało się tego ranka na inny, mniej hałaśliwy koncert... tak, z pewnością mniej hałaśliwy niż wczoraj wieczorem. Shears zastanawia się, czy przypadkiem nie traci słuchu. A może jego nerwy są w tak złym stanie?

Ale niemożliwe, żeby Syjamczyk ogłuchł równocześnie. I jeszcze jedno: nagle nowy składnik tego dziwnego wrażenia dociera do świadomości Shearsa. Zmienił się także zapach. Dziś rano zapach rzeki Kwai jest także inny. Przeważają w nim wyziewy szlamu, prawie takie jak nad brzegiem stawu.

–River Kwai down!^[3] – krzyczy nagle Syjamczyk. I kiedy brzask zaczyna oświetlać szczegóły przeciwległego brzegu, Shears nagle pojmuje. Gałęzie drzewa, wielkiego rdzawego drzewa, za którym ukrył się Joyce, nie dotykają już wody. Rzeka Kwai opadła. W ciągu nocy poziom jej się obniżył. O ile? Może o jedną stopę? Przed drzewem, u stóp szkarpy, wynurza się teraz kamienista plaża, pokryta jeszcze kroplami wody i błyszcząca we wschodzącym słońcu.

W chwilę po dokonaniu tego odkrycia Shears odczuwa satysfakcję, że znalazł wytłumaczenie swego niepokoju, i odzyskuje zaufanie do swych nerwów. Miał dobrego nosa. A umysł jego dobrze funkcjonuje. Zmieniły się prądy, i te w rzece, i te w powietrzu. Czuć to rzeczywiście w całej atmosferze. Nowo odsłonięty brzeg, jeszcze wilgotny, wydaje ten zapach szlamu.

Katastrofy nie docierają do naszej świadomości od razu. Bezwładność umysłu wymaga zwłoki. Shears dopiero stopniowo zdaje sobie sprawę z fatalnych następstw tego faktu.

Rzeka Kwai opadła! Przed rdzawym drzewem widać teraz szeroką płaszczyznę, która wczoraj znajdowała się pod wodą. Drut... Kabel!... Shearsowi wymyka się ordynarne przekleństwo. Kabel... Wyjął lornetę i zachłannie bada powierzchnię gruntu, który wynurzył się w ciągu nocy.

Kabel jest widoczny. Długi odcinek leży teraz na suchej ziemi. Shears śledzi go wzrokiem, od krawędzi wody aż po szkarpe; ciemne pasmo, do którego tu i ówdzie

przyczepiła się trawa naniesiona przez wodę.

Mimo to nie rzuca się zbyt w oczy. Shears dostrzegł go, ponieważ go szukał. Jeśli nie zapłacze się tam jakiś Japończyk, mogą go nie zauważyć... Ale ów brzeg, dotychczas niedostępny!... Teraz jest to plaża, ciągnąca się od stóp szkarpy aż do... prawdopodobnie aż do mostu (stąd go nie widać), plaża, która – gdy Shears patrzy tak na nią rozwścieczonym wzrokiem – zdaje się zapraszać do przechadzki. Z drugiej strony, oczekując na pociąg Japończycy czynią zapewne jakieś przygotowania, które nie pozwolą im wałęsać się nad wodą. Shears ociera czoło.

Akcja nigdy nie układa się ściśle według ustalonego planu. Zawsze w ostatniej chwili jakiś banalny, trywialny, czasem groteskowy incydent zakłóca najlepiej przygotowany program. „Number one” wyrzuca sobie jako karygodne zaniedbanie fakt, że nie przewidział opadnięcia rzeki... I trzeba trafu, że zdarzyło się to właśnie tej nocy; nie o noc później lub dwie noce wcześniej!

Ta okropna plaża bez kępki trawy, naga, naga jak prawda, kłuje w oczy. Rzeka Kwai znacznie opadła. O jedną stopę? o dwie? Może jeszcze więcej?... Dobry Boże!

Shearsowi robi się nagle słabo. Opiera się o drzewo, żeby ukryć przed Syjamczykami drżenie ciała. Drugi raz w życiu doznaje podobnego wstrząsu. Pierwszy raz – to było wtedy, gdy poczuł, jak spływa mu po rękach krew przeciwnika. Serce naprawdę przestaje mu bić, a całe ciało oblewa się zimnym potem.

–Dwie stopy? a może więcej?... Boże wszechmogący! a ładunki! Ładunki plastyku przyczepione do filarów mostu!

Gdy Shears w milczeniu uściśnął mu rękę i zostawił go na posterunku, Joyce przez długą chwilę stał jak odurzony. Świadomość, że może teraz liczyć tylko na własne siły, uderzała mu do głowy jak opary alkoholu. Nie czuł zmęczenia minionej nocy ani lodowatego dotyku ubrania przesiąkniętego wodą. Po raz pierwszy doświadczył owego poczucia siły i władzy, jakie daje całkowite odosobnienie na szczycie góry lub pośród ciemności.

Gdy się ocknął z tego upojenia, musiał sam siebie przywołać do rozsądku, aby – zanim bliski już świt nastanie – wykonać kilka niezbędnych czynności i nie zawieść w decydującej chwili. Gdyby myśl ta nie przyszła mu do głowy, siedziałby tak jeszcze, nieruchomo wsparty o drzewo, z ręką na dźwigni włącznika, z oczami utkwionymi w most, którego czarna nawierzchnia odcinała się na tle usianego gwiazdami nieba, widocznego między nieprzejrzaną masą zarośli a mniej gęstym listowiem wielkich drzew. Pozycją tę przyjął instynktownie po odejściu Shearsa.

Podniósł się, zdjął ubranie, wykręcił je i roztarł skostniałe ciało. Włożył z powrotem szorty i koszulę, które, choć wilgotne, chroniły go przed zimnem nadchodzącego świtu. Zjadł, ile mógł, ryżu, który zostawił mu Shears, i wypił pełną szklankę whisky. Doszedł do wniosku, że jest zbyt późno, żeby wyjść z kryjówki i pójść na poszukiwanie wody. Część alkoholu zużył do obmycia ran na rękach i nogach. Znów usiadł pod drzewem i czekał. Tego dnia nic się nie zdarzyło. Tak jak przewidywał. Pociąg miał przyjść dopiero jutro; ale wydawało mu się, że skoro był tu, na miejscu, mógł kierować biegiem wydarzeń.

Kilka razy widział na moście Japończyków. Wyglądało, że nic nie podejrzewają, i żaden nie spojrzał w jego stronę. Jak to kiedyś wymarzył, upatrzył sobie na moście punkt łatwy do odnalezienia, skrzyżowanie poręczy, które leżało na jednej linii z nim i z suchą gałęzią. Punkt ten znajdował się pośrodku mostu, to znaczy dokładnie na początku podminowanego miejsca. Gdy lokomotywa do niego dotrze, a raczej gdy znajdzie się o kilka stóp przed nim, naciśnie z całej siły dźwignię włącznika. Odczepił kabel i – śledząc w myśli nadjeżdżającą lokomotywę – przećwiczył ten prosty ruch przeszło dwadzieścia razy, aby potem wykonać go instynktownie. Aparat funkcjonował bez zarzutu. Oczyszczył go przecież i wysuszył starannie, troskliwie usuwając najmniejszą plamkę. Jego własne odruchy były także w zupełnym porządku.

Dzień minął szybko. Z nadejściem nocy zszedł ze szkarpy, wypił kilka łyków błotnistej wody, napełnił manierkę, a potem wrócił do swej kryjówki. Nie zmieniając siedzącej pozycji pozwolił sobie na drzemkę. Był pewien, że jeśliby z nie znanych powodów czas nadejścia pociągu uległ zmianie, usłyszy go, gdy będzie nadjeżdżał. Przebywając w dżungli, bardzo szybko przywyka się do zachowywania podczas snu

czułości dzikich zwierząt.

Popadał na krótko w drzemkę, to znów budził się i czuwał długie minuty. Tak we śnie, jak na jawie fragmenty obecnej przygody przeplatały się ze wspomnieniami przeszłości, o której rozmawiał z Shearsem, zanim wypłynęli na rzekę.

Znów był w zakurzonej biurze projektów, gdzie kilka najcenniejszych lat jego życia upłynęło podczas nieskończonej długich, melancholijnych godzin i dni, kiedy pochylał się nad kartonem rysunkowym oświetlonym lampą z reflektorem. Belka, ów kawałek metalu, którego w rzeczywistości nigdy nie zobaczył, przybierała na papierze swój symboliczny kształt w dwóch wymiarach, które zaciążyły nad jego młodością. Pod jego wzrokiem wyłaniał się cały rysunek, poszczególne rzuty i liczne przekroje z wszystkimi szczegółami żeber, których umiejętne rozmieszczenie pozwoliło mu – po dwóch latach błędnych poszukiwań – zaoszczędzić na tym wszystkim półtora funta stali.

Na tych obrazach, wokół żeber belki zarysowały się teraz małe, brunatne prostokąty, podobne do tych, które Warden naszkicował dokoła dwudziestu czterech filarów na planie mostu. Tytuł wizji, którego ułożenie kosztowało go wiele bolesnych wysiłków i niezliczonych prób, tytuł ten powstawał litera po literze, lecz gmatwał się pod jego spojrzeniem. Na próżno usiłował odczytać litery. Rozsypywały się po całym kartonie, aż wreszcie zebrały się razem, jak to czasem bywa na filmie, i utworzyły nowe słowo. Było to słowo: ZNISZCZENIE, wypisane wielkimi, czarnymi literami, lśniącym atramentem, w którym odbijał się blask reflektora. Wyraz ten zacierał wszystkie inne obrazy i widniał samotnie na ekranie jego wizji.

Mówiąc prawdę, wizja ta nie była jego obsesją. Gdyby chciał, mógł się od niej uwolnić. Wystarczyłoby otworzyć oczy. Skrawek nocy, w którym mrocznie rysował się most na rzece Kwai, odpędzał zakurzone widma minionych lat i przywoływał go do rzeczywistości; do jego rzeczywistości. Po tym wydarzeniu jego życie nie będzie już takie jak dawniej. Upajał się już nektarem sukcesu, przeczuwając własną przemianę.

O świcie, prawie o tej samej porze co Shears, Joyce także doznawał dziwnego uczucia niepokoju w związku z wyczuwalną zmianą atmosfery nad rzeką Kwai. Zmiana ta następowała tak powoli, że nie odczuł jej w czasie drzemki. Ze swego ukrycia widział jedynie nawierzchnię mostu. Rzeką znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku, pewien był jednak, że się nie myli. Świadomość ta oładnęła nim wkrótce do tego stopnia, że postanowił działać. Poczłgał się przez krzaki w kierunku wody, dotarł do ostatnich drzew i spojrział. Zrozumiał przyczynę swego niepokoju w tej samej chwili, gdy zobaczył kabel na kamienistej plaży.

Drogą tych samych rozumowań co Snears pojął stopniowo znaczenie nieodwracalnej klęski. Doznał tego samego wstrząsu na myśl o ładunkach plastyku.

Ze swego nowego posterunku mógł dojrzeć filary mostu. Wystarczyło podnieść oczy. Zmusił się do wykonania tego ruchu.

Trzeba było dość długich obserwacji, aby ocenić stopień ryzyka spowodowanego dziwnym zachowaniem się rzeki Kwai. A nawet i wtedy nie był w stanie określić go dokładnie i wahał się między nadzieją i trwogą, patrząc na grę tysięcy zmarszczek, które prąd tworzył wokół mostu. Najpierw załała go fala rozkosznego optymizmu, niosąc odprężenie nerwom, które sparaliżowało przerażenie. Rzeka nie opadła aż tak bardzo. Ładunki znajdowały się jeszcze pod wodą.

...Przynajmniej tak mu się wydawało z tego dość nisko położonego miejsca. Ale z góry? z mostu? a nawet stąd? Przypatrzysz się lepiej zauważył teraz dość długą falę, podobną do tej, jaka wytwarza się nad zatopionym wrakiem. Fala ta otaczała filary mostu, te filary, które znał tak dobrze, na których zostawił strzępki własnego ciała. Z pewnością się nie łudził. Fala wokół tych właśnie filarów była większa niż wokół innych... I przez chwilę wydawało mu się, że na jednym z nich odróżnia brązową plamę na tle jaśniejszego drzewa. Wynurzała się ona od czasu do czasu, jak grzbiet ryby, lecz w chwilę później widać już było tylko wiry... Ładunki znajdowały się prawdopodobnie tuż pod powierzchnią wody. Czujny strażnik przechyliwszy się nieco przez poręcz z pewnością mógłby dostrzec plastik na filarach zewnętrznych rzędów.

A może rzeka opadnie jeszcze bardziej? a może w pewnej chwili ładunki staną się całkowicie widoczne i wynurzą się ociekające jeszcze wodą, błyszczące w jaskrawym świetle syjamskiego nieba! Groteskowa absurdalność tego obrazu ścięła mu krew w żyłach. Któraż to godzina? Ile jest jeszcze czasu do?... Słońce ledwie zaczęło oświetlać dolinę. Pociągu oczekiwano dopiero o dziesiątej. Ich cierpliwość, praca, trudy, cierpienia – wszystko to stało się nagle godne politowania i niemal śmieszne wskutek bezlitosnej fantazji górskiego strumienia. Powodzenie wielkiej akcji – dla której poświęcił za jednym zamachem wszystkie nie wykorzystane zasoby energii życiowej i siły zaoszczędzone w latach biurowej wegetacji – stało się nagle igraszką przypadku, rzuconą na szalę wagi nieczulej na aspiracje Joyce'a. Przeznaczenie jego miało się dopełnić w ciągu tych minut, które dzieliły go od nadejścia pociągu; wypełnić się poza nim samym, według wyższych racji, być może, zgodnie z jakimś sumieniem, lecz sumieniem obcym, bezlitosnym i lekceważącym zapał, który nim kierował, z sumieniem, które kierowało sprawami ludzi z tak wysoka, że nie mogło go osiągnąć żadne pragnienie, prośba czy rozpacz.

Pewność, że wykrycie względnie niewykrycie ładunków jest teraz niezależne od jakichkolwiek jego wysiłków, w paradoksalny sposób uspokoiła go trochę. Zabronił sobie o tym myśleć, a nawet życzyć sobie czegokolwiek. Nie miał prawa trwonić ani odrobiny energii na roztrząsanie wydarzeń, które miały swój początek w świecie nadprzyrodzonym. Musiał o nich zapomnieć, aby skoncentrować wszystkie swe siły na tym, co jeszcze mógł zrobić. Na tym, i tylko na tym musiał skupić całą uwagę.

Akcja wciąż jeszcze miała szansę powodzenia; musiał tylko przewidzieć jej ewentualny przebieg. Miał zwyczaj zastanawiać się nad tym, co będzie musiał zrobić. Shears to zauważył.

Jeżeli Japończycy odkryją ładunki plastyku, pociąg zostanie zatrzymany przed mostem. Będzie musiał wówczas nacisnąć dźwignię aparatu, zanim sam zostanie wykryty. Szkody dadzą się naprawić. Będzie to zatem powodzenie tylko połowiczne, ale nie było na to rady.

Sytuacja przedstawiała się inaczej, jeśli chodzi o kabel. Mógł go zauważyć tylko ktoś przechodzący plażą o kilka kroków od Joyce'a. Wtedy zawsze jeszcze mógł interweniować osobiście. Może w tym momencie na moście ani na przeciwległym brzegu nie będzie nikogo, kto mógłby go zobaczyć? a szkarpa zasłaniała kamienistą plażę przed Japończykami znajdującymi się w obozie. Upłynie prawdopodobnie chwila, zanim człowiek, który zobaczy kabel, podniesie alarm. Wówczas on, Joyce, będzie musiał działać, działać bardzo szybko. Nie mógł więc spuszczać z oka plaży ani mostu.

Zastanowił się jeszcze, wrócił do poprzedniej kryjówki i przeniósł swój sprzęt na nowe stanowisko, osłonięte rzadkimi zaroślami, skąd równocześnie mógł obserwować most i otwartą przestrzeń, na której leżał kabel. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Zdjął szorty i koszulę. Został w slipach. Tak mniej więcej wyglądał uniform roboczy jeńców. Gdyby go zobaczono z daleka, mógł ujść za jeńca. Ostrożnie ulokował aparat i uklęknął przy nim. Wyciągnął sztylet z pochwy. Położył obok siebie na trawie ten ważny szczegół ekwipunku, o którym nigdy nie zapominano przy wyprawach „Plastic Destructions Co. Ltd.”, i czekał.

Czas płynął rozpaczliwie wolno, powstrzymywany i tłumiony jak fala na opadłej rzece Kwai; sekundy, odmierzone głuchym szumem cząsteczek wody, przeciągały się w nieskończoność, przybliżając niedostrzegalnie pełną zasadzek przyszłość i odsuwając w przeszłość chwile cennego bezpieczeństwa, nieskończenie małe i tragicznie krótkie w stosunku do jego pragnień. Tropikalne światło ogarniało wilgotną dolinę i migotało w kroplach wody na czarnym piasku świeżo odsłoniętej plaży. Słońce oświetliło krzyżownice mostu, skryło się na chwilę za jego nawierzchnią, a w końcu wzniosło się ponad tę zaporę, rzucając tuż przed nim gigantyczny cień tego dzieła ludzkich rąk. Cień ten znaczył się na kamienistej plaży linią prostą, równoległą do kabla, załamywał się i falował na wodzie tysiącem zmarszczek, a w końcu zlał się z masywem gór po drugiej stronie rzeki. Wskutek upału pęknięcia na poszarpanych rękach Joyce'a stwardniały i bezlitośnie piekły go rany, które obsiadły legiony kolorowych mrówek. Ale fizyczne cierpienia nie odrywały go od jego myśli i były jedynie bolesnym akompaniamentem nowej obsesji, która w pewnej chwili zaczęła świdrować mózg Joyce'a.

Niepokój ten powstał w nim, gdy starał się krok za krokiem ustalić przebieg akcji na

wypadek, gdyby los postawił mu na drodze życia nową przeszkodę... Kamienista plaża mogła skusić kogoś z Japończyków do beztrudnej przechadzki nad brzegiem rzeki. Zdziwiłby się, spostrzegając kabel... Przystaje. Schyla się, żeby go wziąć do ręki; przez moment stoi nieruchomo. Wtedy właśnie on, Joyce, musiałby zadziałać. Uważa za konieczne wyobrazić sobie z góry, jak to robi. Shears powiedział mu kiedyś, że zbyt wiele się zastanawia.

Na samą myśl o tym Joyce drętwiał. Nie mógł tego uniknąć. Czuł w głębi duszy, że czyn ten jest nieuchronny; zdeterminowany od dawna jako naturalna konsekwencja wydarzeń, zmierzających nieuchronnie ku owemu ostatecznemu egzaminowi jego możliwości. Była to próba, której bał się najbardziej, odrażająca próba; poświęcenie i wstręt, jakim go ten czyn przejmował, powinny wystarczyć, by przeważyć szalę w stronę zwycięstwa, wyrwijąc go przytłaczającym mackom przeznaczenia.

Skupił wszystkie władze umysłowe na technice samego ciosu; gorączkowo powtarzał sobie otrzymane instrukcje; próbował poddać się duszą i ciałem dynamice wykonania – nie mógł jednakże odpędzić zmory natychmiastowych następstw.

Przypomniał sobie niespokojne pytanie, jakie zadał mu kiedyś dowódca. „Czy w odpowiedniej chwili potrafi pan z zimną krwią posłużyć się tym narzędziem?” Nie był wówczas pewien samego siebie, nie mógł zatem dać kategorycznej odpowiedzi. W chwili gdy wyruszali na rzekę, upewnił się, że tak; a teraz znów nie był pewien niczego. Popatrzył na broń leżącą obok niego na trawie.

Był to sztylet o długim i cienkim ostrzu. Rękojeść miał dość krótką, tak aby można ją ująć wygodnie; zrobiona z metalu, tworzyła razem z ostrzem jeden ciężki blok. Teoretycy Oddziału 316 wiele razy zmieniali kształt i profil tej broni. Wskazówki jej użycia były precyzyjne. Nie wystarczyło zacisnąć pięść i walić na oślep – to było zbyt łatwe, każdy tak potrafił. Wszelkie niszczenie wymaga pewnej techniki. Instruktorzy nauczyli Joyce'a dwóch sposobów używania tej broni. Jeżeli przeciwnik atakował, należało bronić się trzymając sztylet przed sobą, ostrzem i końcem do góry, i uderzyć od dołu. Sam ruch nie był ponad jego siły. Mógłby go wykonać prawie instynktownie. Ale tutaj zachodził inny przypadek. Przeciwnik go nie atakował. Nie potrzebował się bronić. W przypadku, który jak sądził, niedługo będzie miał miejsce, należało więc zastosować drugi sposób. Nie wymaga on prawie wysiłku fizycznego, ale dużo zręczności i zimnej krwi. Metodę tę polecano uczniom przy unieszkodliwianiu w nocy strażnika, aby nie dać mu czasu ani możliwości wszczęcia alarmu. Trzeba było zaatakować go z tyłu; nie uderzać w plecy (to także byłoby zbyt łatwe!). Należało przeciąć mu gardło. Aby uzyskać jak największą precyzję ciosu, sztylet powinno się trzymać w zaciśniętej ręce dłońią do góry, z kciukiem wzdłuż nasady ostrza; samo ostrze – poziomo i prostopadle do ciała ofiary. Cios należało zadać od prawej do lewej, silnie, lecz niezbyt gwałtownie, bo sztylet mógł się ześliznąć, i w określone miejsce, to znaczy kilka centymetrów poniżej ucha. Trzeba było wycelować i trafić właśnie w to miejsce, a nie w inne, gdyż przeciwnik mógł

krzyknąć. Taki był schemat tej operacji. Wymagała ona także innych ruchów pomocniczych, lecz nie bez znaczenia, które trzeba było wykonać natychmiast po zadaniu ciosu. Ale wskazówek, które – z pewną dozą humoru – instruktorzy z Kalkuty dawali w tym przedmiocie, Joyce nie miał odwagi powtórzyć nawet szeptem.

Nie udawało mu się odpędzić wizji koniecznych następstw. Zmusił się wobec tego do wyobrażenia ich sobie w szczegółach, z całą wyrazistością i odpychającą barwą. Starał się przeanalizować najbardziej odrażające strony tego czynu w obłądnej nadziei, że się z nimi oswoi i osiągnie ów stan obojętności, którą niesie za sobą przyzwyczajenie. Przeżywał tę scenę dziesięć, dwadzieścia razy i stopniowo udawało mu się wytworzyć przed sobą na plaży już nie zjawę, nie jakiś wytwór fantazji, lecz prawdziwego człowieka z krwi i kości, japońskiego żołnierza w mundurze, w dziwacznej czapce z wystającym spod niej uchem, a nieco niżej mały skrawek brunatnej skóry, w który celował, podnosząc bezszelestnie na pół wyciągnięte ramię. Starał się wyczuć, ocenić siłę oporu, z którym się napotka, wyobrazić sobie tryskającą krew i skurcz mordowanego, podczas gdy sztylet w jego zaciśniętej dłoni szybko wykonywał jeszcze kilka pomocniczych ruchów, a lewe ramię opuszczało się błyskawicznie na szyję ofiary. Nurzał się bez końca w największych okropnościach, jakie mógł sobie wyobrazić. Robił wszystko, co mógł, by ciało swe zamienić w posłuszną i nieczułą maszynę, tak że w końcu poczuł we wszystkich członkach przetłaczające zmęczenie.

Wciąż jeszcze nie był siebie pewny. Spostrzegł z przerażeniem, że jego metoda teoretycznego przygotowania się do czynu nie skutkowałą. Obawa przed załamaniem się dręczyła go równie bezlitośnie jak rozpamiętywanie obowiązku. Musiał wybrać między dwoma równie okropnymi czynami: jeden, haniebny, niósł ze sobą wieczny wstyd i wyrzuty sumienia i napawał go takim wstrętem jak krwawe okrucieństwo drugiego; był jednak łatwiejszy do wykonania, wymagał bowiem jedynie biernego tchórzostwa, i ta łatwizna w bolesny sposób pociągała Joyce'a. Zrozumiał na koniec, że nie potrafi nigdy z zimną krwią i w pełni świadomości dokonać owego ruchu, który tak uparcie odtwarzał sobie w myśli. Musiał więc za wszelką cenę pozbyć się tej obsesji, znaleźć na nią jakieś lekarstwo, podniecające lub oszalamiające, które skierowałoby jego myśli na inne tory. Potrzeba mu było innej pomocy niż bezowocne rozpamiętywanie przerażającego obowiązku.

Pomoc z zewnątrz?... Potoczył dookoła błagalnym spojrzeniem. Był sam, nagi, na obcej ziemi, przyczajony w krzakach jak dzikie zwierzę z dżungli, otoczony wrogami wszelkiego rodzaju. Jedyłą bronią, jaką posiadał, był ów potworny sztylet, który parzył mu dłoń. Na próżno szukał oparcia w krajobrazie, który tak niedawno rozpalił jego wyobraźnię. W dolinie rzeki Kwai wszystko tchnęło teraz wrogością. Cień mostu oddalał się z minuty na minutę. Sam most był już tylko martwą, bezwartościową budowlą. Znikąd nie mógł spodziewać się pomocy. Nie miał już alkoholu, a nawet ryżu. Przełknięcie jakiegokolwiek pokarmu przyniosłoby mu ulgę.

Pomoc nie mogła nadejść z zewnątrz. Był zdany jedynie na własne siły. Chciał tego. Cieszył się z tego. Upajało go to i napełniało dumą. Własna siła wydawała mu się niepokonana. Nie mogła przecież nagle zniknąć, pozostawiając go jak maszynę z uszkodzonym silnikiem! Zamknął oczy i spojrzał w głąb samego siebie. Jeżeli istniała możliwość ocalenia, tkwiła w nim samym, a nie na ziemi lub w niebiosach. W jego obecnej niedoli jedynym dostępnym mu promykiem nadziei było pełne hipnotycznej siły migotanie obrazów wewnętrznych, jakie wywołuje zatrucie myśli. Jego ratunkiem była wyobraźnia. Shearsa zawsze to niepokoiło. Przezorny Warden nie chciał rozstrzygać, czy była to zaleta, czy wada.

Zwalczyć udrękę jednej obsesji przez narzucenie sobie innej! Dokonać przeglądu swego kapitału duchowego, prześledzić skrupulatnie świat własnych pojęć i zasad i szukać między tymi duchowymi świadkami własnej egzystencji dopóty, aż znajdzie wizję dostatecznie silną, by opanowała bez reszty jego świadomość. Gorączkowo dokonywał tego przeglądu. Nienawiść do Japończyków i poczucie obowiązku straciły swą wagę i nie miały nad nim żadnej mocy. Joyce myślał o swych zwierzchnikach, przyjaciółach, którzy całkowicie mu zaufali i czekali teraz na przeciwległym brzegu. Ale i to nie było dość ważne. Wystarczyło zaledwie, aby skłonić go do ofiary z własnego życia. Nawet upojenie sukcesem było teraz wizją zbyt słabą. Chyba że sukces ten miałby bardziej intensywne kolory niż ta przygasła aureola, której wyblakłe promienie straciły wszelką moc oddziaływania.

Nagle jakiś obraz przemknął mu przez myśl. Na chwilę, krótką jak błyskawica, zaśnił pełnym blaskiem. Zanim go jeszcze rozpoznał, wyczuł podświadomie, że zawiera on w sobie ziarno nadziei. Starał się wywołać go znów. Obraz powrócił. Była to wizja z ubiegłej nocy: karton rysunkowy pod lampą z reflektorem, niezliczone szkice belki, do których dołączały się brunatne prostokąty, a wokół tego biegł tytuł, wielkimi, błyszczącymi literami bez końca powtarzając słowo: ZNISZCZENIE.

Obraz nie wygasał. Od momentu gdy podświadomie go przywołał, obraz ten owładnął całkowicie jego umysłem i Joyce czuł, że jest on dostatecznie zwarty i potężny, aby zatrzeć wszystkie obsesje i wszystkie obawy jego udręczonego mózgu. Wizja ta odurzała jak alkohol i koła jak opium. Poddał się jej bez reszty i strzegł, by go nie odbiegła.

Wprowadziwszy się w ten stan dobrowolnej hipnozy, ze spokojem patrzył na żołnierzy japońskich, którzy ukazali się na moście na rzece Kwai.

VI

Shears zauważył japońskich żołnierzy i ogarnęły go nowe obawy.

Jemu także czas bezlitośnie się dłuży. Opanował już niepokój, jaki ogarnął go na myśl o ładunkach. Wysłał partyzantów na stanowiska i poczołgał się w górę po stoku. Zatrzymał się w punkcie, z którego mógł widzieć równocześnie most i rzekę Kwai. Dostrzegł i zbadał przez lornetkę drobne fale wokół filarów. Zdawało mu się, że widzi, jak kawałek brunatnej masy wynurza się, to znów znika pod wodą, zgodnie z igraszką wirów. Instynktownie, z wewnętrznej potrzeby i z poczucia obowiązku, Shears zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób mógłby zainterweniować osobiście i odwrócić ten cios losu. „Zawsze jeszcze można coś zrobić, podjąć jakąś akcję” – twierdzą zwierzchnicy Oddziału 316. Po raz pierwszy, od czasu, gdy uprawiał ten zawód, Shears nie znalazł żadnego wyjścia i przeklinał swoją bezsilność.

Dla niego kości są rzucone. Podobnie jak Warden, który bez wątpienia także zauważył ze szczytu góry zdradę rzeki Kwai, nie miał możliwości odparowania ciosu. Może Joyce? Ale czy on w ogóle zauważył zmianę? i kto może wiedzieć, czy wykaże dość silnej woli i szybkiej orientacji, których wymagają tragiczne sytuacje? Shears, który wiedział z doświadczenia, jakie trudności spotyka się w podobnych wypadkach, wyrzucał sobie gorzko, że nie zajął miejsca Joyce'a.

Minęły dwie godziny, długie jak wieczność. Z miejsca, do którego dotarł, widzi baraki obozu i żołnierzy japońskich spacerujących w galowych mundurach. O sto metrów od rzeki stoi cała kompania; czekają na pociąg, aby oddać honory osobistościom biorącym udział w inauguracji linii. Może przygotowania do tej ceremonii odwrócą ich uwagę? Shears liczył na to. Ale oto japoński patrol wychodzi z wartowni i kieruje się w stronę mostu.

Żołnierze, prowadzeni przez sierżanta, wchodzą na most i idą w dwóch rzędach po obu stronach szyn. Maszerują powoli, beztrosko, z karabinami niedbale przewieszonymi przez ramię. Zadaniem ich jest obejrzeć wszystko po raz ostatni przed nadejściem pociągu. Od czasu do czasu któryś z nich zatrzymuje się i przechyla przez poręcz. Czyni to najwidoczniej, aby uspokoić sumienie i być w zgodzie z otrzymanymi instrukcjami. Shears wmawia sobie, że żołnierze robią to bez przekonania – i tak zapewne jest w rzeczywistości. Nic przecież nie powinno dotknąć mostu na rzece Kwai, który zbudowano pod ich dozorem w tej zapadłej dolinie. „Patrzą, a nie widzą” – powtarza sobie Shears, śledząc, jak posuwają się naprzód. Każdy krok żołnierzy odbija się echem w jego głowie. Stara się nie spuszczać ich z oka i śledzić najmniejszy ruch, podczas gdy w sercu jego rodzi się podświadoma modlitwa do Boga, demona czy jakiejś innej tajemniczej potęgi, jeśli taka istnieje. Machinalnie ocenia szybkość ich marszu i długość odcinka, który przebywają na sekundę. Przeszli już więcej niż połowę mostu. Sierżant opiera się łokciem o poręcz i

mówi coś do żołnierza, wskazując palcem na rzekę. Shears wpija zęby w rękę, żeby nie krzyknąć. Sierżant śmieje się. Prawdopodobnie mówi coś na temat obniżenia się poziomu wody. Idą dalej. Shears miał słuszość: patrzą, ale nie widzą. Wydaje mu się, że kiedy tak towarzyszy im wzrokiem, ma wpływ na ich spostrzegawczość. Sugestia na odległość... Ostatni żołnierz zniknął. Niczego nie zauważyli...

Wracają. Przemierzają most w odwrotnym kierunku, z tą samą beztroską. Jeden z nich nachyla się całym ciałem nad niebezpiecznym odcinkiem, potem z powrotem zajmuje swe miejsce w szeregu.

Przeszli. Shears ociera twarz. Oddalają się. „Nic nie spostrzegli.” Machinalnie powtarza te słowa szeptem, aby przekonać samego siebie, że stał się cud. Patrzy za nimi chciwie i nie spuszcza z nich wzroku, dopóki nie połączą się z kompanią. Zanim jeszcze da się unieść nowej nadziei, przenika go dziwne uczucie dumy.

–Na ich miejscu – mruczy – bardziej bym uważał. Każdy angielski żołnierz może popełnić sabotaż... No! Pociąg musi być już niedaleko.

Jakby w odpowiedzi na tę ostatnią myśl, na nieprzyjacielskim brzegu ochryplym głosem wydano rozkazy. Wśród ludzi zapanowało poruszenie. Shears patrzy w dal. Na horyzoncie, od strony równiny, mała chmurka czarnego dymu oznajmia zbliżanie się pierwszego japońskiego konwoju, który podąża przez Syjam, pierwszego pociągu, który przewiezie japońskich generałów, żołnierzy i amunicję przez most na rzece Kwai.

Shearsa ogarnia wzruszenie. Oczy napełniają mu łzy wdzięczności dla tajemniczej potęgi.

–Nic już nie może nam teraz przeszkodzić • – mówi jeszcze szeptem. – Przypadek wyczerpał już swe fortele. Pociąg będzie tu za dwadzieścia minut.

Opanowuje podniecenie i schodzi do stóp wzgórza, aby objąć dowództwo nad grupą osłaniającą. Gdy zgięty we dwoje przesuwa się ostrożnie wśród krzewów, by nie zdradzić swojej obecności, nie widzi, że do mostu na przeciwległym brzegu zbliża się oficer o imponującej postawie, ubrany w mundur angielskiego pułkownika.

W momencie gdy „Number one” – oszołomiony nawalem wrażeń, podniecony wizją oślepiającego wybuchu, płomieni i zgliszcz, które będą widowym znakiem powodzenia akcji – dociera na swój posterunek, w tym samym momencie pułkownik Nicholson wkracza na most na rzece Kwai.

Z oczyma jaśniejszymi niż tropikalne niebo po przejściu huraganu, w zgodzie z sumieniem, z całym światem, z Bogiem, chłonąc wszystkimi porami swej różowej skóry rozkosz zasłużonego wypoczynku, jaki należy się dobremu rzemieślnikowi po wykonaniu trudnej pracy, dumny z pokonania własną odwagą i wytrwałością

piętrzących się trudności i z dzieła, którego dokonał on sam i jego żołnierze w tym zakątku Syjamu, który teraz wydawał mu się niemal jego własnością, pełen radości, która wynagradza zwierzchnika za wszelkie trudy z chwilą, gdy ich rezultat jest widoczny dla wszystkich, sącząc powoli upajający nektar zwycięstwa, głęboko przekonany o wysokiej jakości swego dzieła, pragnąc po raz ostatni przed uroczystym otwarciem, sam, ogarnąć całą jego doskonałość, owoc wysiłku fizycznego i inteligencji, a także dokonać ostatniej inspekcji – pułkownik Nicholson sunął majestatycznym krokiem po moście na rzece Kwai.

Większość jeńców i wszyscy oficerowie wyruszyli dwa dni temu pieszo do punktu zbornego, skąd miano wysłać ich do innych robót na Malaje, na wyspy lub do Japonii. Budowa linii kolejowej została ukończona. Jego Cesarska Wysokość z Tokio polecił, a nawet kazał wszystkim oddziałom wojskowym w Burmie i Syjamie uczcić odpowiednio to wydarzenie.

W obozie nad rzeką Kwai obchodzono je ze szczególną pompą. Zajął się tym pułkownik Nicholson. Wzdłuż całej linii kolejowej uroczystość tę poprzedziły zwykłe przemówienia wyższych oficerów, generałów i pułkowników japońskich, którzy, stojąc na podwyższeniach, ubrani w czarne buty i szare rękawiczki, wymachiwali rękami i potrząsali głową, zniekształcając pociesznie język Zachodu wobec legionów białych ludzi, kulawych, chorych, pokrytych wrzodami i ostatecznie wycieńczonych po wielomiesięcznym pobycie w tym piekle.

Saito powiedział parę słów, rozwodząc się z zachwytem nad obszarem południowoazjatyckim i pozwalając sobie dorzucić wyrazy wdzięczności za lojalność, którą okazali jeńcy. Clipton, którego pogodne usposobienie zostało w ostatnim okresie wystawione na ciężkie próby, gdy musiał patrzeć na ludzi bliskich śmierci, idących jednak do pracy, by ukończyć most, był bliski płaczu z wściekłości. Musiał następnie wysłuchać krótkiego przemówienia pułkownika Nicholsona, w którym dowódca wyraził żołnierzom uznanie za ich dzielność i zaparcie się siebie. Pułkownik zakończył słowami, że ich cierpienia nie poszły na marne, a on dumny jest, iż dowodził takimi ludźmi. Ich postawa i godność, z jaką znosili nieszczęścia, będą przykładem dla całego narodu.

Potem odbyła się uroczystość. Pułkownik bardzo się nią zainteresował i brał czynny udział w jej przygotowaniu. Wiedział, że dla jego ludzi nie ma nic gorszego od próżniactwa, kazał więc przygotować mnóstwo rozrywek, nad czym przez wiele dni pracowali bez wytchnienia. Odśpiewano nie tylko szereg pieśni przy akompaniamencie muzyki, lecz wystawiono również komedię, odegraną przez, żołnierzy, a nawet balet, który go szczerze ubawił.

–Widzi pan, Clipton – powiedział. – Czasem mnie pan krytykował, ale ja robiłem swoje; utrzymałem morale, ocaliłem to, co najważniejsze. Ludzie wytrwali.

Nazajutrz jeńcy wyruszyli w drogę. Zostali tylko ciężko chorzy i kulawi. Miano ich przewieźć do Bangkoku następnym pociągiem z Burmy. Oficerowie odeszli razem z żołnierzami. Reeves i Hughes, szczerze zmartwieni, musieli towarzyszyć konwojowi i nie było im dane ujrzeć pierwszego pociągu przejeżdżającego przez most, którego budowa kosztowała ich tyle trudu. Nicholsonowi pozwolono jednak zostać z chorymi. Ze względu na jego zasługi Saito nie mógł odmówić mu tej grzeczności, o którą pułkownik poprosił ze zwykłą sobie godnością.

Maszerował teraz wielkimi, energicznymi krokami, które rozbrzmiewały triumfalnie po nawierzchni mostu. Zwyciężył. Most został zbudowany i chociaż nie taki znów wspaniały, był jednak dostatecznie „wypracowany”, by rozślawić zalety ludzi Zachodu pod syjamskim niebem. W tej chwili tutaj właśnie było jego miejsce, miejsce dowódcy, który dokonuje ostatniego przeglądu przed triumfalną defiladą. Nie mógł być gdzie indziej. Myśl, że dane mu było pozostać, pocieszała go nieco po odejściu wiernych współpracowników i żołnierzy, którzy również zasłużyli sobie na to, aby dzielić sławę.

Na szczęście on znajdował się tutaj. Most był solidny – wiedział o tym. Nie miał słabych stron. Spełniał żądane warunki. Ale dowódca odpowiedzialny za wykonaną pracę powinien jeszcze raz obejrzeć wszystko – tego także był pewien. Nigdy nie można przewidzieć wszystkiego. Doświadczenie życiowe nauczyło go, jego również, że w ostatniej chwili zawsze może się zdarzyć jakiś wypadek, zawsze można dostrzec jakąś usterkę. W takim wypadku nawet najlepszy z podwładnych nie potrafi podjąć szybkiej decyzji. Nie przywiązywał oczywiście żadnej wagi do meldunku złożonego przez patrol japoński, który Saito wysłał dzisiaj rano. Chciał wszystko zobaczyć sam. Idąc badał wzrokiem jakość każdej belki, poprawność każdego spojenia.

Doszedłszy do środka mostu przechylił się przez poręcz, tak jak to czynił co pięć czy sześć metrów. Spojrzał na jeden z filarów i ze zdumienia stanął jak wryty.

Oko znawcy spostrzegło natychmiast zmarszczki na powierzchni wody, zarysowane i spowodowane przez znajdujący się pod nią ładunek. Przyjrząwszy się uważniej pułkownik Nicholson ujrzął wokół pala brunatną masę. Zawahał się przez chwilę, potem znów ruszył i przystanął o kilka metrów dalej, ponad drugim filarem. Nachylił się.

–To dziwne – mruknął.

Raz jeszcze się zawahał, przeszedł przez tor i spojrzał z drugiej strony. I tu także zauważył brunatną masę, ledwie pokrytą wodą. Wywołało to w nim nieokreśloną obawę, jak gdyby spostrzegł plamę szpecącą jego dzieło. Postanowił iść dalej, doszedł aż do końca mostu, wykonał półobrót, ruszył z powrotem, tak jak to zrobił patrol; znowu się zatrzymał i stał długo, zatopiony w myślach, pochyliwszy głowę.

Wreszcie wzruszył ramionami i skierował się ku prawemu brzegowi. Mówił sam do siebie.

–Przed dwoma dniami nie było tego tutaj – mrucał. – To prawda, że poziom wody był wyższy... To pewnie kupa śmieci, których resztki przyczepiły się do filarów. A jednak...

Cień podejrzenia przemknął mu przez mózg, ale odkrycie było tak zaskakujące, że nie mógł go zgłębić. Dobre samopoczucie znikło bez śladu. Zawrócił, by jeszcze raz obejrzeć to niezwykle zjawisko; wreszcie, nie znalazłszy żadnego wytłumaczenia, podniecony zszedł z mostu.

–To niemożliwe... – mrucał, rozważając na nowo niejasne podejrzenie. – Chyba żeby chińscy komuniści...

Sabotaż łączył się w jego pojęciu nierozzerwalnie z wywrotową działalnością.

–Tutaj to niemożliwe – powtórzył. Nie przywróciło mu to jednak dobrego humoru.

Widać już było z daleka pociąg, mozolnie sunący torem pułkownik obliczył, że nie nadejdzie przed upływem dziesięciu minut. Saito, który chodził tam i z powrotem między mostem i kompanią wojska, zauważył, że Nicholson zbliża się do niego, i doznał uczucia zakłopotania, jak zawsze w obecności pułkownika. Podchodząc do Japończyka Nicholson podjął nagłą decyzję.

–Pułkowniku Saito – powiedział autorytatywnym tonem. – Zdarzyła się rzecz dość dziwna. Chodźmy lepiej obejrzeć to z bliska, zanim nadjedzie pociąg.

Nie czekając na odpowiedź, szybko ześliznął się ze szkarpy. Miał zamiar wziąć jedną z uwiązanych pod mostem łódek krajowców i opłynąć filary dookoła. Gdy dotarł na plażę, instynktownie objął ją badawczym spojrzeniem i spostrzegł kabel wijący się po lśniących kamieniach. Pułkownik Nicholson zmarszczył brwi i skierował się w tę stronę.

VII

Shears zobaczył Nicholsona właśnie w chwili, gdy ten schodził ze szkarpy ze zwinnością, którą zachował dzięki racjonalnie uprawianej gimnastyce i życiu w błogim spokoju tradycyjnych zasad. Pułkownik japoński szedł tuż za nim. Shears wtedy dopiero zrozumiał, że nieprzyjazny los nie odkrył jeszcze wszystkich kart. Joyce widział Nicholsona już od dłuższego czasu. Pogrążony w stanie hipnozy, który udało mu się wywołać, obserwował zachowanie pułkownika na moście, nie odczuwając przy tym jakichś nowych emocji. Gdy za plecami Nicholsona ujrzał na plaży sylwetkę Saito, chwycił za sztylet.

Shears zauważył, że zbliżający się Nicholson wydaje się ciągnąć za sobą japońskiego oficera. Absurdalność tej sytuacji wprawiła go w rodzaj histerii, tak że zaczął mówić sam do siebie:

–I to właśnie on go prowadzi! To Anglik go tam ciągnie! Wystarczyłoby mu wytłumaczyć, powiedzieć jedno słowo, tylko jedno słowo...

Z daleka słychać było sapanie lokomotywy. Wszyscy Japończycy pozostali zapewne na swych stanowiskach, gotowi do oddania honorów. Dwaj ludzie na plaży byli od strony obozu niewidoczni. „Number one” poruszył się z wściekłością, ogarniając w jednej chwili wytworzoną sytuację i instynktownie zdając sobie sprawę, co powinien w tej chwili zrobić człowiek, który zaciągnął się pod sztandary „Plastic Destructions Co. Ltd.”. On także chwycił sztylet. Wyrwał go z za pasa i trzymał przed sobą w przepisowy sposób, odwróciwszy zaciśniętą pięść dłonią do góry, z kciukiem wzdłuż nasady ostrza – nie po to, aby go użyć, lecz w nedorzecznej nadziei zasugerowania Joyce'a i kierując się tym samym instynktem, który nieco wcześniej kazał mu śledzić wzrokiem poruszenia patrolu.

Pułkownik Nicholson zatrzymał się przed kablem. Saito nadchodził, kołysząc się na swych krótkich nogach. Wszystkie przeżycia dzisiejszego ranka były śmieszne wobec tego, co Shears odczuwał w tym momencie. Zaczął wołać głośno, wymachując sztyletem dokoła własnej głowy.

–On tego nie zrobi! Nie odważy się! To są rzeczy, których nie można wymagać od chłopca w jego wieku, normalnie wychowanego, który młodość spędził w biurze. Byłem głupcem, że na to pozwoliłem. To ja powinienem być na jego miejscu. On tego nie zrobi!

Saito dogonił pułkownika Nicholsona, który schylił się i wziął kabel do ręki. Serce Shearsa waliło jak młotem, a z ust wypadały strzępy oszalałych myśli i rozpaczliwych skarg:

–On tego nie zrobi! Jeszcze trzy minuty; za trzy minuty nadejdzie pociąg! On tego

nie zrobi!

Syjamski partyzant, leżący koło swej broni, patrzył na niego z przerażeniem. Na szczęście dżungla tłumiła dźwięki głosu. Shears skupił się w sobie, zaciskając pięść na nieruchomym sztylcie.

–Nie odważy się! Boże wszechmogący, odbierz mu wrażliwość! Spraw, żeby oszalał na dziesięć sekund!...

W momencie, gdy wygłaszał tę niedorzeczną modlitwę, zauważył, że pod rdzawym drzewem poruszyły się liście i rozsunęły krzewy. Shears zeszywniał i wstrzymał oddech. Joyce, zgięty we dwoje, bezszelestnie ześlizgiwał się ze szkarpy, trzymając w ręce sztylet. Shears nie spuścił już z niego wzroku.

Saito, którego mózg pracował powoli, przykucnął nad brzegiem wody, plecami do lasu, w pozie charakterystycznej dla ludzi Wschodu, którą przybierał instynktownie, gdy jakaś osobiwa okoliczność nie pozwalała mu panować nad odruchami. Z kolei on chwycił kabel. Shears usłyszał zdanie wymówione po angielsku:

–To jest naprawdę niepokojące, pułkowniku Saito.

Potem zapadło krótkie milczenie. Japończyk rozdzielał palcami poszczególne druty. Joyce, nie spostrzeżony, stanął za nimi.

–Mój Boże! – krzyknął nagle pułkownik Nicholson. – Pułkowniku Saito, most jest podminowany! To, co widziałem na filarach, to – przeklęte ładunki! a ten kabel...

Odwrócił się w stronę dżungli, podczas gdy Saito zastanawiał się nad wagą tych słów. Shears otworzył szerzej oczy. W momencie gdy ręką wykonywał ruch od prawej do lewej, spostrzegł na przeciwległym brzegu odbłask słońca. Zaraz też dostrzegł w postawie kucającego człowieka zmianę, jakiej oczekiwał.

Zrobił to. Udało mu się. Żaden mięsień jego napiętego ciała nie osłabł aż do chwili, gdy stał zagłębiła się, niemal bez oporu. Spokojnie wykonał ruchy pomocnicze. Równocześnie, w myśl otrzymanych instrukcji, jak i dlatego, że odczuwał przemożną potrzebę uczipienia się czegoś stałego, opuścił lewe ramię zaciskając je na przeciętej szyi wroga. Saito w śmiertelnym spazmie wyprężył nogi, prostując się do połowy. Joyce przycisnął go z całych sił do siebie, aby go zdusić, a także chcąc opanować drżenie ogarniające mu nogi.

Japończyk opadł mu na rękę. Nawet nie krzyknął. Zacharczał tylko, co Shears dosłyszał, ponieważ nadśłuchiwał. Joyce przez kilka sekund stał jak sparaliżowany pod ciężarem wroga, który opadł nań i zalewał go krwią. Znalazł dość siły, żeby odnieść to zwycięstwo. Nie był pewien, czy starczy mu teraz siły, by się uwolnić. Wreszcie pochylił się. Szybkim ruchem odrzucił bezwładne ciało, które zanurzyło się

do połowy w wodzie, i rozejrzał się wokół siebie.

Obydwa brzegi były puste. Joyce zwyciężył, lecz duma nie potrafiła zagłuszyć w nim uczucia wstrętu i zgrozy. Z trudem wyprostował ręce i kolana. Teraz pozostało mu wykonać tylko kilka prostych ruchów. Przede wszystkim – wyjaśnić sytuację. Dwa słowa powinny wystarczyć. Pułkownik Nicholson stał nieporuszony, skamieniały szybkością tej sceny.

–Oficer, angielski oficer, Sir – wymamrotał Joyce. – Most wyleci w powietrze. Proszę się oddalić.

Nie rozpoznawał własnego głosu. Poruszanie wargami sprawiało mu niewymowny ból. A tamten zdawał się nie słyszeć!

–Angielski oficer, Sir – powtórzył rozpaczliwie. – Oddział 316 z Kalkuty. Komandos. Rozkaz wysadzenia mostu.

Pułkownik Nicholson wreszcie się ocknął. Dziwny błysk załśnił mu w oczach. Przemówił głuchym głosem:

–Wysadzić most?

–Proszę się oddalić, Sir. Pociąg się zbliża. Mogą pana uznać za współwinnego.

Pułkownik wciąż stał przed nim bez ruchu.

Nie było czasu na dyskusje. Trzeba było działać. Słysząc było wyraźnie sapanie lokomotywy. Joyce zauważył, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Na czworakach wspiął się po szkarpie na swoje stanowisko.

–Wysadzić most! – powtórzył pułkownik Nicholson. Nie poruszył się. Tępo patrzył na żmudną wspinaczkę.

Joyce'a, jak gdyby starał się odnaleźć sens jego słów. Nagle ocknął się i ruszył jego śladem. Gwałtownie rozsunał zasłonę z liści, która się za nim zamknęła, i zobaczył kryjówkę, a w niej aparat. Joyce trzymał rękę na dźwigni.

–Wysadzić most! – krzyknął raz jeszcze pułkownik.

–Angielski oficer, Sir... – bełkotał Joyce niemal z płaczem. – Angielski oficer z Kalkuty... Rozkazy...

Nie dokończył zdania. Pułkownik Nicholson rzucił się na niego z rykiem.

–Help!

VIII

„Dwóch ludzi zabitych. Kilka drobnych szkód, ale most nietknięty dzięki bohaterstwu brytyjskiego pułkownika.”

Tak brzmiał zwięzły raport, który Warden – jedyny ocalały z trójki – wysłał do Kalkuty po swym powrocie na kwaterę.

Czytając ten meldunek pułkownik Green pomyślał, że w tej sprawie jest wiele ciemnych punktów, i zażądał wyjaśnień. Warden odpowiedział, że nie ma nic do dorzucenia. Jego szef doszedł zatem do wniosku, że przebywał on już dość długo w dżungli syjamskiej i że nie można pozostawiać jednego człowieka na tym niebezpiecznym posterunku, w rejonie, który Japończycy prawdopodobnie będą przeszukiwać. Oddział 316 otrzymał w tym czasie nowe cenne pomoce. Dla utrzymania kontaktu z Syjamczykami zrzucono na spadochronach w oddalonym sektorze inną ekipę, a Warden został odwołany do centrali. Łódź podwodna zabrała go z odludnego zakątka nad Zatoką Bengalską, dokąd udało mu się dotrzeć po dwóch tygodniach marszu, pełnego przygód. W trzy dni potem Warden był już w Kalkucie i stawiał się przed pułkownikiem Greenem.

Najpierw opowiedział pokrótce o przygotowaniach do akcji, a potem przeszedł do jej wykonania. Ze szczytu wzgórza patrzył na całą scenę i żaden szczegół nie uszedł jego uwagi. Z początku mówił właściwym sobie chłodnym i statecznym tonem, ale w toku opowiadania postawa jego uległa zmianie. W ciągu miesiąca, który przeżył jako jedyny biały pośród syjamskich partyzantów, wzbierała w nim burza nie wypowiedzianych uczuć. Fragmenty dramatu przewijały się bez końca przez jego udręczony mózg, a on, wierny zasadom logiki, starał się podświadomie znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie dla tego, co się stało, i umieścić je w kategoriach ogólnie przyjętych zasad.

Owoc tych obłądnych rozważań ujrzał wreszcie światło dzienne w biurze Oddziału 316. Nie mógł utrzymać się w granicach suchego, wojskowego raportu. Musiał z siebie wyrzucić ten potok wątpliwości, osłupienia, wściekłości i przerażenia i wypowiedzieć na głos to, co w jego pojęciu spowodowało tak absurdalny koniec. Obowiązek nakazywał mu jednak bezstronnie oceniać wydarzenia. Starał się o to i chwilami mu się udawało, lecz potem na nowo ponosiło go uczucie. W rezultacie to, co mówił, było przedziwną mieszaniną złorzeczeń bez związku i gorącej mowy obrończej; czasem dorzucał jakiś paradoks o swoistej filozofii lub wymieniał jakiś „fakt”.

Pułkownik Green słuchał cierpliwie i z ciekawością owego fantastycznego opisu elokwencji, nie mogąc doszukać się w nim osławionego spokoju i systematyczności profesora Wardena. Jego interesowały przede wszystkim fakty. Mimo to z rzadka

tylko przerywał swemu podwładnemu. Miał doświadczenie w postępowaniu z ludźmi, którzy powracali z misji, gdzie dali z siebie wszystko, a w rezultacie ponieśli żalną klęskę, za którą nie byli odpowiedzialni. W takim wypadku pozostawiał dość duży margines na „ludzkie uczucia”, przymykał oczy na zbędne refleksje i wydawał się nie zwracać uwagi na ton, czasami wykazujący brak szacunku.

–...Może mi pan powiedzieć, że dzieciak zachował się jak głupiec, Sir. Jak głupiec, zapewne, ale nikt nie byłby mądrzejszy w tej sytuacji. Obserwowałem go. Nie spuszczałem z oka ani na sekundę. Domyśliłem się, co powiedział temu pułkownikowi. Zrobił to, co sam zrobiłbym na jego miejscu. Widziałem go, jak się czołgał. Pociąg nadjeżdżał. Ja sam nie rozumiałem, kiedy tamten rzucił się za nim. Pojąłem to dopiero stopniowo, gdy zastanowiłem się... A Shears twierdził, że on się za wiele zastanawia! Mój Boże, odwrotnie – za mało! Trzeba mu było więcej bystrości, przenikliwości. Wtedy by wiedział, że w naszym zawodzie nie wystarczy poderżnąć pierwsze lepsze gardło, że trzeba poderżnąć gardło właściwe. To pan pewnie ma na myśli, prawda, Sir?

Szczególna przenikliwość była tutaj potrzebna, żeby zorientować się, kto jest wrogiem naprawdę niebezpiecznym, żeby zrozumieć, że ten czcigodny bałwan nie pozwoli zniszczyć swego dzieła. To było przecież jego wielkie osiągnięcie, jego zwycięstwo. Od sześciu miesięcy żył jak w transie. Człowiek o wyczulonej inteligencji powinien to być odgadnąć ze sposobu, w jaki kroczył po moście. Śledziłem go przez lornetkę, Sir... Gdyby to był karabin!... Przypominam sobie jego błogi uśmiech zwycięzcy... Ideał człowieka pełnego energii, jak by powiedziano w Oddziale 316, Sir! Niestety nigdy go nie złamie; zawsze spadnie na cztery łapy! Wezwał Japończyków na pomoc!

Ta stara bestia o jasnych oczach marzyła zapewne przez całe życie o stworzeniu czegoś trwałego. W braku miasta lub katedry chwycił się tego mostu. I pan chciał, żeby pozwolił go zniszczyć?!... Ach, ci starzy pułkownicy naszej starej armii, Sir! Jestem pewien, że w najwcześniejszej młodości przeczytał wszystkie książki naszego czcigodnego Kiplinga, i założę się, że całe zdania z niego tańczyły w tej trzęsącej się głowie, podczas gdy most piął się ku górze.

„...Yours is the earth arid everything that's in it, and which is more, you'll be a man, my son!” [\[4\] Jakbym to słyszał.](#)

Miał poczucie obowiązku i szacunek dla dobrze wykonanej pracy... A także umiłowanie działania... jak pan, jak my wszyscy, Sir!... Głupia mistyka działania, wspólna naszym stenotypistkom i wielkim wodzom!... Nie wiem już sam, do czego zmierzam, gdy o tym myślę. A myślę o tym od miesiąca, Sir. Może ten przerażający głupiec był w gruncie rzeczy godny szacunku? Może jego ideał posiadał prawdziwą wartość?... Był równie święty jak nasz?... A może ten sam co nasz? Może jego zadziwiające urojenia miały swoje źródło w tym, co i nas pobudza do działania? w

owym tajemniczym eterze, gdzie wrą namiętności popychające do czynów, Sir! Może tam „rezultat” nie ma najmniejszego znaczenia, a liczy się tylko istotna wartość wysiłku? a może, jak mi się wydaje, to królestwo obłądu jest piekłem, którego diabelskie wnętrzości rodzą uczucia zakażone złymi siłami, wybuchającymi w tym „rezultacie”, zawsze potwornym. Powtarzam panu, że zastanawiałem się nad tym od miesiąca, Sir. My, na przykład, przychodzimy do tego kraju, żeby uczyć Azjatów, jak używać plastyku do niszczenia pociągów i wysadzania mostów. A zatem...

–Proszę mi opowiedzieć, jak się to skończyło – przerwał pułkownik Green spokojnym głosem. – Nic nie istnieje poza samą akcją.

–Nic nie istnieje poza samą akcją, Sir... A spojrzenie Joyce'a, kiedy wyszedł ze swej kryjówki!... I nie zawiódł. Uderzył zgodnie z przepisami, jestem świadkiem. Rzeczywiście, trzeba mu było nieco więcej rozsądku... Tamten rzucił się na niego z taką furją, że obaj stoczyli się ze szkarpy ku rzece. Zatrzymali się dopiero nad wodą. Jeśli ktoś patrzył gołym okiem, mogło się wydawać, że znieruchomieli. Ja widziałem szczegóły przez lornetkę... Jeden leżał na drugim. Ciało w mundurze miażdżyło ciało nagie, umazane krwią, gniotło je całym ciężarem, podczas gdy ręce z wściekłością ścisnęły gardło... Widziałem go bardzo wyraźnie. Leżał wyciągnięty, z rozkrzyżowanymi ramionami, tuż obok trupa, w którym tkwił jeszcze sztylet. Jestem pewien, że w tym momencie zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki. Wiem, że zrozumiał, nareszcie zrozumiał, że się pomylił co do pułkownika.

Widziałem go. Dłoń jego była tuż przy rękojeści sztyletu. Zacisnęła się na niej. A on zebrał się w sobie. Domyślałem się, że mięśnie jego się napinają. Przez chwilę sądziłem, że się zdecyduje. Ale było za późno. Nie miał już siły. Dał z siebie wszystko. Już nie mógł... Albo – nie chciał. Przeciwnik, który go dusił, hipnotyzował go równocześnie. Wypuścił sztylet i poddał się... Kompletne załamanie, Sir. Wie pan, jak to jest, kiedy człowiek się poddaje? Zdecydował się na klęskę. Poruszył wargami i wypowiedział jakieś słowo. Nikt się nie dowie, czy to było bluźnierstwo, czy modlitwa... czy po prostu jakieś słowo pełne melancholijnego rozczarowania i rozpaczki! To nie był buntownik, Sir, przynajmniej na zewnątrz. Do przełożonych odnosił się zawsze z szacunkiem. Mój Boże! Zaledwie mogliśmy go skłonić z Shearsem, żeby nie podrywał się na baczność za każdym razem, kiedy do nas mówił! Założę się, że powiedział mu „Sir”, zanim zamknął oczy, Sir!... Wszystko zależało od niego. To był koniec.

W tej samej chwili zaszło wiele innych wydarzeń, wiele „faktów”, jak pan mówi, Sir. Poplątały mi się w głowie, ale je sobie uporządkowałem. Pociąg był już blisko. Łoskot lokomotywy wzrastał z sekundy na sekundę... ale nie na tyle, by zagłuszyć wrzaski tego szaleńca, który wzywał pomocy swym donośnym głosem, przywykłym do komendy!... Ja byłem bezsilny, Sir... Nie mogłbym zrobić nic więcej niż Joyce; ani ja, ani nikt... może Shears? Shears! Właśnie wtedy usłyszałem nowe krzyki. To był głos Shearsa. Rozlegał się po całej dolinie. Głos rozwścieczonego szaleńca, Sir.

Rozróżniłem tylko jedno słowo: „Uderz!” On także zrozumiał, i to szybciej ode mnie. Ale to się już na nic nie przydało.

Parę chwil potem zobaczyłem człowieka w wodzie. Płynął w stronę nieprzyjacielskiego brzegu. To był on, Shears. On także był zwolennikiem działania za wszelką cenę! Bezsensowny akt! Oszalał tak jak i ja po wrażeniach tego ranka. Nie miał żadnej szansy. Ja sam o mało nie rzuciłem się na pomoc, chociaż samo zejście z góry wymagało więcej niż dwóch godzin!

Nie miał najmniejszej szansy. Płynął jak szalenciec, ale przepłynięcie rzeki wymagało wielu minut. A tymczasem, Sir, pociąg wjechał na most, na wspaniały most na rzece Kwai, zbudowany przez naszych rodaków! w tej samej chwili... pamiętam, że w tej samej chwili grupa japońskich żołnierzy, których ściągnęły wrzaski, zbiegła ze szkarpy.

To właśnie oni napadli na Shearsa, jak wychodził z wody. Wymierzył dwa ciosy sztyletem, nie przeoczyłem najmniejszego drobiazgu, Sir. Nie chciał dać się wziąć żywcem, ale dostał kolbą w głowę. Upadł. Joyce już się nie ruszał. Pułkownik podnosił się. Żołnierze przecięli kabel. Nic już nie można było zrobić, Sir.

–Zawsze jeszcze można coś zrobić, Sir... – powiedział pułkownik Green.

–Zawsze jeszcze można coś zrobić, Sir... No więc, nastąpiła eksplozja. Pociąg, o którego zatrzymaniu nikt nie pomyślał, wyleciał w powietrze natknąwszy się na minę, którą założyłem za mostem, tuż pod moim punktem obserwacyjnym. Zawsze to coś. Ja nie myślałem już o tym. Lokomotywa wypadła z szyn i stoczyła się do rzeki pociągając za sobą dwa lub trzy wagony. Paru ludzi się utopiło. Straty w materiale dość duże, ale zniszczenie można naprawić w ciągu kilku dni – oto rezultat... Wywołało to jednak pewne wrażenie na przeciwległym brzegu.

–Sądzę, że mimo wszystko widok był dość okazały – zauważył pocieszająco pułkownik Green.

–Bardzo okazały dla tych, którzy to naprawdę lubią, Sir... Co do mnie, zastanawiałem się, czy nie mógłbym mu dodać jeszcze jakiegoś powabu. Ja także starałem się wprowadzić w czyn nasze zasady, Sir. Naprawdę głowiłem się wtedy, czy można jeszcze dokonać czegoś w związku z akcją.

–Zawsze można próbować coś zrobić w związku z akcją – dobiegł go z oddali głos pułkownika Greena.

–Zawsze można próbować coś zrobić... Musi to być prawda, skoro wszyscy tak mówią. Była to dewiza Shearsa. Przypomniałem ją sobie.

Warden zamilkł na chwilę, przygnębiony tym ostatnim wspomnieniem, potem podjął

znużonym głosem:

–Ja także zastanawiałem się, Sir. Zastanawiałem się nad tym bardzo głęboko, podczas gdy grupa żołnierzy wokół Joyce'a i Shearsa powiększała się z każdą chwilą. Shears na pewno jeszcze żył, Joyce może też, mimo tego, co zrobiła z nim ta nędzna kanalia.

Widziałem możliwość tylko jednej akcji, Sir. Dwaj partyzanci byli wciąż na swoich stanowiskach przy moździerzach. Mogli strzelać równie dobrze w gromadę Japończyków, jak w most, co było również wskazane. Wycelowałem. Zaczekałem jeszcze chwilę. Widziałem, jak żołnierze podnosili więźniów i przygotowywali się do odprowadzenia ich. Obydwaj jeszcze żyli. To było najgorsze. Pułkownik Nicholson szedł na końcu ze spuszczoną głową, jak gdyby się głęboko nad czymś zastanawiał... Jego rozmyślania, Sir!... Zdecydowałem się od razu, dopóki jeszcze był czas.

Kazałem strzelać. Syjamczycy zrozumieli natychmiast. Dobrześmy ich wyćwiczyli, Sir. Był to piękny fajerwerk. Jeszcze jedno wspaniałe widowisko oglądane z mego obserwatorium! Różaniec pocisków! Sam siadłem przy jednym moździerzu. Celuję doskonale.

–Dobre wyniki? – przerwał pułkownik Green.

–Dobre wyniki, Sir. Pierwsze pociski padły w środek grupy. Miałem szczęście! Obydwóch naszych rozerwało w kawałki. Upewniłem się o tym przez lornetkę. Proszę mi wierzyć, Sir, naprawdę proszę mi wierzyć, że nie lubię zostawiać nie dokończonych pracy!... Powinienem powiedzieć, że rozerwało wszystkich trzech. Pułkownika także. Nic z niego nie zostało! Trzech od jednego zamachu! Sukces!

Potem? Potem, Sir, wystrzelałem cały zapas amunicji. Było tego niemało... Granaty też. Stanowisko miałem świetnie wybrane! Ogólne lanie, Sir. Przyznaję, że byłem trochę rozdrażniony. Skrupiło się po trosze na wszystkim: na reszcie kompanii japońskiej, która nadbiegła z obozu, na wykolejonym pociągu, z którego dobiegał koncert jęków, a także na samym moście. Dwaj Syjamczycy byli tak samo zaciętrzewieni jak ja... Japończycy odpowiedzieli ogniem. Wkrótce wytworzyła się wokół chmura dymu i dotarła aż do nas, osłaniając stopniowo most i dolinę rzeki Kwai. Owinęła nas szara, dusząca mgła. Nie mieliśmy już amunicji, nie było czym strzelać. Wycofaliśmy się.

Od tego czasu zastanawiałem się nad podjętą wówczas decyzją, Sir. I wydaje mi się jeszcze teraz, że nie mogłem zrobić nic lepszego, że wybrałem jedyną możliwą linię postępowania, że to było naprawdę najrozsądniejsze, co pozostało do zrobienia...

–Tak, to było najrozsądniejsze – przyznał pułkownik Green.

Pierre Boulle, ur. w 1912 r. w Awinionie, jest autorem kilku powieści i wielu opowiadań. Najwybitniejszą jego książką jest „Most na rzece Kwai”, powieść, która stała się głośna jako scenariusz filmu pod tym samym tytułem. Akcja rozgrywa się na terenie Syjamu w czasie II wojny światowej w obozie angielskich jeńców wojennych internowanych przez Japończyków. Autor przedstawia problem swoście pojmwanej ambicji osobistej i narodowej, która w konsekwencji prowadzi do dramatycznych konfliktów. W Polsce „Most na rzece Kwai” został wydany po raz pierwszy w 1959 r. nakładem PIW.

[1] Szeregowcy.

[2] „Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością dla Plastyku i Zniszczeń.”

[3] Rzeka Kwai opaść!

[4] „Twoją będzie ziemia i wszystko, co jest na niej, a co więcej, będziesz człowiekiem, mój synu!”

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/